

POWIEŚCI KRÓLOWEJ ROMANSU

Barbara Cartland

Namiętność
i kwiat

Książnica

Cartland Barbara

Namiętność i kwiat

Lokita odetchnęła głęboko, ale nie była w stanie nic powiedzieć. Książę ujął bardzo delikatnie jej spoczywającą na kolanach rękę. Spoglądał na długie, szczupłe palce, które potrafiły być tak pełne ekspresji, gdy tańczyła i na drobną, miękką, różową dłoń z wyrytymi na niej liniami przeznaczenia.

Potem podniósł ją do ust. Nie złożył pocałunku, lecz zaledwie muskał skórę wargami, przesuwając je po każdym z palców, a potem po zewnętrznej stronie dłoni, aż do przegubu. Spostrzegłszy, że dziewczyna drży, zapytał:

—Czy coś czujesz?

—Tak ? wyszeptała powoli.

—Powiedz mi co.

—To bardzo... dziwne uczucie... Prawie tak samo jest kiedy tańczę... i mam wrażenie... że są koło mnie aniołowie... i ktoś, kogo Kocham... Ale to wszystko dzieje się poza mną... A teraz... czuję to w środku... w głębi serca...

OD AUTORKI

Opisy Paryża z roku 1867, roku Międzynarodowej Wystawy, odpowiadają rzeczywistości, podobnie jak wzmianki o restauracjach, intelektualistach i księciu Napoleonie.

Pełne przepychu inscenizacje były typowe dla ówczesnego teatru i „Kopciuszką” wystawiano w *Théâtre Imperial du Chatelet* w pięciu aktach i trzydziestu odsłonach, tak jak zostało to opisane w powieści.

Car Mikołaj I, okrutny, mściwy i nikczemny, był z całą pewnością najbardziej przerażającym monarchą w Europie. W 1841 roku królowa Wiktoria napisała: „Jest niewątpliwie bardzo atrakcyjnym mężczyzną, ciągle przystojnym, o pięknym profilu... ale nie widziałam dotąd u nikogo równie groźnego spojrzenia... Ten człowiek ma umysł barbarzyńcy.”

Car Aleksander wysłał do senatu tajny ukaz, w którym nadał dzieciom swej kochanki, księżniczki Katarzyny Dołgorukiej, nazwiska i tytuły książęce.

ROZDZIAŁ 1

Rok 1867

Jego Wysokość książę Iwan Wołkoński! — zaanonsował głośno lokaj w liberii ambasady brytyjskiej.

Zajęty właśnie pisaniem listu lord Marston odwrócił się od biurka i spojrzał z niedowierzaniem, a potem skoczył na równe nogi.

— Iwanie, drogi przyjacielu! — wykrzyknął. — Nie miałem pojęcia, że zjawisz się w Paryżu!

— Dopiero co przyjechałem — odparł książę. — I ogromnie ucieszyła mnie wiadomość, że ty też tu jesteś.

— Prysłano mnie tu za karę, żebym zdawał premierowi relację z wystawy — powiedział lord Marston. — Ale teraz, skoro ty przyjechałeś, zaniedbam chyba swoje obowiązki i trochę się zabawimy.

— Nie mam co do tego wątpliwości — stwierdził książę.

Opadł na jeden z wygodnych foteli, a przyjaciel patrząc na niego, pomyślał, że jest jeszcze bardziej pociągający i przystojny niż dawniej.

Lord Marston i książę, kuzyn cara, przyjaźnili się od wczesnej młodości, od czasu kiedy to ojciec lorda sprawował urząd ambasadora w St

Petersburgu. Byli rówieśnikami, a ich młodzieńcze wybryki w Rosji, Francji i Anglii osoby z towarzystwa przyjmowały z dezaprobatą. W istocie to ksiązę inspirował każdy skandaliczny wyskok, gdyż lord Marston, pod wieloma względami typowy Anglik, nigdy nie wdałby się sam w żadną awanturę.

Teraz jego opanowana zwykle twarz jaśniała jednak radością, a wzrok miał promienny, gdy usiadłszy naprzeciwko przyjaciela, zapytał:

— Powiedz mi, Iwanie, co u ciebie słyhać?

Oczy księcia błyszcząły. To właśnie one najbardziej przyciągały uwagę wszystkich. Były niemal fioletowe, obramowane długimi, ciemnymi rzęsami, a w ich głębi można było dostrzec wszystkie targające księciem dzikie, namiętne uczucia. I właśnie te oczy czyniły księcia tak atrakcyjnym dla kobiet, że gdziekolwiek się pojawił, zostawiał za sobą złamane serca.

Miał niemal klasyczne rysy i szczupłą, wysportowaną sylwetkę człowieka, który znaczną część życia spędza w siodle. Nawet w nieprzebranym tłumie przystojnych mężczyzn, stanowiących ozdobę carskiego dworu, ksiązę Iwan zdecydowanie się wyróżniał.

— Któż to tym razem zmusił cię do ucieczki przed, jestem pewien, że słuszną karą? — spytał lord Marston.

— Ona była doprawdy rozkoszna. — Ksiązę uśmiechnął się. — Ale co za dużo, to niezdrowo, więc kiedy caryca poleciła carowi, żeby przywołał mnie do porządku, uznałem, że najlepiej będzie zniknąć.

Lord Marston wybuchnął śmiechem.

— Domyślałem się, że chodzi o przypadek cher-chez lafemme\ Czeka tu na ciebie wiele dawnych miłości i mnóstwo pięknych dam, na które przyjemnie popatrzeć. — Przerwał i dopiero po chwili ciągnął dalej: — Jak nietrudno sobie wyobrazić, wszystkie ściągnęły do Paryża na wystawę, ale w rezultacie miasto jest nieprzyjemnie zatłoczone.

— Tego się spodziewałem — odrzekł książę. — Ale śmiem twierdzić, że jako stali bywalcy najbardziej egzotycznych miejsc nie zostaniemy odprawieni z kwitkiem.

— Możesz być o to zupełnie spokojny — zgodził się skwapliwie lord Marston.

Książę był nie tylko niesamowicie bogaty, lecz również nadzwyczaj hojny. Jeżeli ktokolwiek nie potrafił zapewnić sobie łoża w teatrze, najlepszego stołu w restauracji, czy serdecznego przyjęcia w każdej arystokratycznej rezydencji, to na pewno nie książę Iwan.

— Jak tam w Rosji? — spytał lord Marston.

— Nieprzyjemnie! — odparł krótko książę. Lord Marston wydawał się zaskoczony.

— A cóż to się stało? Myślałem, że po podpisaniu manifestu, który daje chłopom wolność, zapanuje tam idylla.

Książę nagle spoważniał.

— Uważano, że Złoty Wiek będzie trwał wiecznie — odparł. — Ale chłopci nie rozumieją, że prawo własności nakłada na nich obowiązki.

— Pamiętam tamtą niedzielę, gdy w kościołach czytano proklamację i Aleksander został obwołany carem wyzwolicielem — mówił lord Marston.
— Jeszcze teraz słyszę te wiwaty.

— Ja też ich pewnie nie zapomnę — odparł książę — Radość ludu była nie do opisania.

— Więc co się stało?

— Uwolnieni chłopci uwierzyli, że car podarował im ziemię. Teraz słyszą, że muszą płacić regularnie podatki, więc chociaż są wolnymi ludźmi, ich nędza jest jeszcze większa.

— Niemożliwe! — zawołał lord Marston.

— Niestety tak jest — odparł książę. — W wielu częściach kraju wybuchły zamieszki, zdarzało się nawet, że chłopci mordowali właścicieli ziemskich i urzędników.

— Słyszałem o jakichś rozruchach — stwierdził lord Marston. — Ale, jak sam często powtarzałeś, Iwanie, Rosja jest tak daleko.

Mówiąc to przypomniał sobie rodzinne strony księcia i jego posiadłości, w których tak często bywał. Prowadzono tam życie tak bardzo odmienne od tego, jakie wiódł w Anglii, że przywoływane na pamięć obrazy wydawały mu się chwilami jedynie wytworem wyobraźni: rozległe dobra, tysiące chłopów kłaniających się do ziemi swojemu panu i barbarzyński przepych zasypanego śniegiem przez wiele miesięcy w roku domu księcia. W czasach chłopięcych było to dla niego prawdziwe królestwo. Znajdowały się tam ogromne budynki, jakby należące do jednego człowieka miasto, ogrody

zimowe, gdzie w gąszczu tropikalnych roślin stały naturalnych rozmiarów marmurowe posągi, a ekstrawagancję całości podkreślały posadzki, stanowiące mozaikę marmurowych, kwarcowych i lazurytowych płytek z syberyjskich kopalni.

Wystarczyło, by lord Marston zamknął oczy i już widział te pełne fantastycznych skarbów pokoje o zielonych, ciemnoniebieskich czy szkarłatnych ścianach, słyszał trzaskanie wysokich, gorących dzień i noc kaflowych pieców. Przynosili do nich drwa coraz to inni bosonodzy chłopci, którzy zajmowali się też lampami i zapalali setki woskowych świec płonących w całym domu, zarówno w zamieszkałych, jak i w pustych pokojach.

Otoczenie księcia stanowiły: samowary, ikony, wódka, kawior, skrzypce, dzikie konie i bardziej nawet od nich dzicy jeźdźcy. Lord Marston uważał zawsze, że wszystko to jest całkowicie nierzeczywiste, a jednak owo bogactwo nie wypaczało charakteru jego posiadacza.

Rosyjskim arystokratom obce było słowo „ekstrawagancja”. Ukochana Wielkiego Księcia jeździła w saniach ozdobionych szmaragdami, a z Grasse sprowadzano pospiesznie parmeńskie fiołki, gdy chciał udowodnić, że jego afekt nie wygasa. Życie nie było tam w cenie. Pojedynkowano się równie często, jak grano w karty, a do brawurowych, szaleńczych wyczynów dochodziło z powodu zakładu albo z czystego chwalstwa.

Książę Iwan przechadzał się po ogromnych pokojach swych rezydencji z taką samą swobodą, z jaką przemierzał konno bezkresne stepy, roztaczając

wokół pełen radości życia, egzotyczny urok. Jediną chmurą na słonecznym niebie były dla księcia kobiety.

Stanowiły dlań, oczywiście, nieodpartą pokusę, ale — choć często go urzekały i ściagał je tak, jak inni mężczyźni zręcznie i umiejętnie tropią dzikie zwierzę — gdy tylko dawały się złapać, przestawał się nimi interesować. Fascynował go pościg, nie zdobycz, więc kiedy kobieta, poświęcając swą godność, całkowicie mu się poddawała, rozglądał się znad jej ramion za nową miłosną przygodą.

— Muszę cię poinformować — odezwał się lord Marston — że jestem tutaj oficjalnie i nie możesz mnie wciągać w żadne skandale. W przeciwnym razie solidnie mi się oberwie, jak to już nieraz bywało.

— Zachowamy nadzwyczajną rozwagę — obiecał książę niskim miłym głosem, lecz w oczach miał figlarne błyski, toteż patrzący nań lord Marston wykrzyknął:

— Och, Iwanie, Iwanie! Zawsze musisz wpędzać mnie w kłopoty!

— Gdybym tego nie robił, stałbyś się odrażająco pompatycznym wyspiarzem — rzekł książę. — No dobrze. Opowiedziałem ci o Rosji, a co nowego w Paryżu?

— Wszystko, co tylko można sobie wyobrazić — odparł lord Marston.
— Masz ochotę obejrzeć wystawę?

— Dobry Boże! Po co ją zorganizowano?

— Głównie z przyczyn politycznych — wyjaśnił lord Marston. — Po tym, jak w zeszłym roku Prusy pokonały Austrię w bitwie pod Sadową, Francuzi stali się bardzo bojaźliwi.

— A cóż to ma wspólnego z wystawą? — dopytywał się książę.

— Armia francuska nie jest w stanie zorganizować kampanii przeciw Prusom, więc cesarz Napoleon III postanowił zjednać sobie życzliwość Paryżan, fundując im wspaniałe obchody jubileuszowe i królewskie widowiska.

Książę Iwan roześmiał się.

— Pogańskie metody — stwierdził z pogardą.

— Właśnie! — zgodził się jego przyjaciel.

— Nie interesuje mnie ani wystawa, ani dwór — oświadczył książę. — Co poza tym możesz mi zaproponować?

— *Demi-monde*.

— Kobietę z półświatka? — Książę uniósł brwi.

— Czy to nowe określenie na kurtyzany, *les expertes es Sciences, les femmes galaules, les grandes cocottes*?

— Zgadza się — odparł lord Marston. — Wymyślił to słowo przed laty Dumas, by opisać świat *de-classés*. Musiałeś chyba słyszeć o jego sztuce?

— Pewnie tak, ale już zdążyłem zapomnieć — odpowiedział książę.

— Więc ci to wyjaśnię — kontynuował lord Marston. — W drugim akcie bohater tłumaczy pojęcie *demi-monde* innemu mężczyźnie. Porównuje pewne kobiety do kosza brzoskwiń, w którym każdy owoc ma drobną skazę i mówi: „Wszystkie otaczające cię damy popełniły w przeszłości jakiś błąd, ich imię zostało splamione. Mają takie samo pochodzenie jak kobiety z towarzystwa, nie różnią się od tamtych wyglądem ani uprzedzeniami, ale już się do nich nie zaliczają. Stanowią grupę, którą nazywamy *demi-mondaines*".

— Doskonały opis — przyznał książę — A zatem, mój drogi Hugo, chodźmy ich poszukać. Przypuszczam, że La Paiva nadal obnosi się z klejnotami, wartymi całą fortunę.

— Oczywiście — odparł lord Marston.

La Paiva, która stroiła zwykle swe wspaniałe ciało w diamenty, perły i drogie kamienie wartości dwóch milionów franków, uchodziła za wielką *debauchd* owego stulecia. W epoce parweniuszek była najbardziej niemoralna z nich wszystkich. Posądzano ją o brak serca, ale lord Marston wiedział, że do księcia ma słabość jak do żadnego spośród trwoniących dla niej majątki mężczyzn.

— A co z *la Castiglione* ? — dopytywał się książę.

— *Comtesse* jest nadal kochanką cesarza, a jedna z twoich *cheres amies*, madame Mustard, otrzymała ogromną fortunę od króla Niderlandów, który zadurzył się w niej do szaleństwa.

— Ładna sztuka — stwierdził lakonicznie książę.

— Możesz spotkać ją i wszystkie inne piękności w Bois i w pozostałych miejscach, gdzie polują na swe ofiary — powiedział lord Marston. — W ciągu kilku tygodni przepuszczają cały majątek jakiegoś nieszczęśnika, a potem rzucają go jak wyciśniętą pomarańczę.

— Zawsze przyjeżdżam tu z nadzieją, że Paryż się zmienił — odrzekł książę. — A on jest wciąż taki sam.

— Paryż to zawsze Paryż — roześmiał się lord Marston — i nawet ty, Iwanie, nic tu nie zmienisz.

— Nie sądzę, żebym naprawdę tego chciał — odparł książę, jakoś jednak bez przekonania.

Przyjaciel spojrzał na niego, a potem zapytał:

— Czego szukasz, Iwanie? Odkąd się poznaliśmy, zawsze mam wrażenie, że czegoś ci brak. Książę uśmiechnął się.

— Robisz się podobny do mojej drogiej matki, która w zeszłym roku, tuż przed śmiercią, powiedziała, że gdybym zakochał się w „dobrej kobiecie”, byłoby to dla mnie wybawieniem.

— Czy księżna naprawdę tak mówiła?

— Nie raz, lecz tysiąc razy — odparł książę.

— Pragnęła obsesyjnie, żebym się ożenił, ustatkował i miał dużą rodzinę. Oczywiście, nie jestem temu tak zupełnie przeciwny, tylko że... — przerwał.

— Obawiasz się, że byłoby to śmiertelnie nudne? — dokończył za niego lord Marston.

— Z kobietami, które dotychczas znałem — tak! — odparł książę. Wstał i zaczął przechadzać się niespokojnie po kosztownym dywanie. — Prawda jest taka, Hugo — powiedział, a jego głos brzmiał poważnie — że doskonale zdaję sobie sprawę, iż powinienem się ożenić i mieć synów, którzy odziedziczyliby moje rozległe dobra, ale... — przerwał, a lord Marston czekał w milczeniu.

— Odnoszę wrażenie — ciągnął cicho książę — że jestem idealistą albo romantykiem.

— Jesteś i jednym, i drugim — odparł jego przyjaciel. — Zawsze taki byłeś. Pamiętasz, jak snuliśmy razem życiowe plany? Uważałem wtedy, Iwanie, że widzisz siebie w roli dobrotliwego pana, uszczęśliwiającego wierne ci sługi i żyjącego w jakimś nierealnym, wyidealizowanym świecie.

— Niech to diabli! — wykrzyknął książę. — Wychodzę pewnie na półgłówka, ale przypuszczam, że w tym, co mówisz, jest trochę prawdy. Chcę czegoś, Hugo, chcę tego z całego serca, ale nie wiem, co to jest.

Lord Marston spojrział na niego ze zrozumieniem.

Znał księcia lepiej niż ktokolwiek inny i wiedział, że mimo ekstrawaganckiego często zachowania był, tak jak tego pragnął, hojnym i dobrym panem. Nigdzie nie traktowano chłopów lepiej niż u niego. Przed ukazaniem się carskiego manifestu, który nadawał im wolność, w dobrach Wołkońskiego nie prowadzono żadnej agitacji na rzecz walki o

uwłaszczenie. Także w życiu prywatnym książę był niezwykle hojny. Żadna z kobiet, które opuścił, nie mogła się skarżyć na to, że nie obsypywał jej prezentami, a nierzadko dbał również o zabezpieczenie ich przyszłości. Bez względu jednak na to, czy chodziło o arystokratki, czy kobiety z półświatka, książę zawsze im się w końcu wymykał i pędził w kierunku nieokreślonego celu szukając kogoś nowego.

— A niech to diabli! — powiedział książę szybko zmieniając nastrój. — Nie przyjechałem do Paryża, żeby wygłaszać kazania! Na litość Boską, Hugo, daj mi coś do picia.

— Przepraszam, drogi przyjacielu! — wykrzyknął lord Marston. — Twoja nieoczekiwana wizyta tak mnie zaskoczyła, że zapomniałem o dobrych manierach.

Mówiąc to wstał, aby zadzwonić na służbę i w kilka minut później lokaje wnieśli zanurzoną w srebrnym wiaderku butelkę szampana i tacę, na której znajdowały się nie tylko kieliszki, ale także kawior, pasztet z gęsich wątróbek i inne przysmaki.

Książę wypił odrobinę szampana i zauważył:

— Zdaje się, że jest ci tu bardzo wygodnie, ale gdybyś wolał zamieszkać u mnie, wiesz, że będę zachwycony.

— Niezły pomysł — odpowiedział lord Marston. — Nie chciałbym jednak urazić ambasadora i jego czarującej żony. Byli dla mnie wyjątkowo uprzejmi.

Hrabia Cowley od piętnastu lat pełnił funkcję brytyjskiego ambasadora w Paryżu. Był człowiekiem pełnym ogłady, sumiennym i roztroptym, ale to jego żona reprezentowała Brytanię lepiej niż ktokolwiek inny. Ta doświadczona pani domu cieszyła się wśród Francuzów niezwykłą popularnością i miała wspaniałe poczucie humoru. Lord Marston opowiedział, jaki kawał zrobił jej francuski minister spraw zagranicznych, Dromyn de Lhuys.

— Kiedy hrabina dała anons, że poszukuje mamki dla swojej brzemiennej córki, minister, powypychany odpowiednio poduszkami, sam zgłosił się do tej pracy.

Księżę wybuchnął śmiechem.

— To równie dobre, jak niektóre z naszych wybryków, Hugo.

— Przypuszczałem, że się ubawisz — powiedział lord Marston. — Skoro jednak masz zamiar zachowywać się niestosownie, Iwanie, przeprowadzę się lepiej do tej twojej rezydencji na Polach Elizejskich.

— Tak, koniecznie — poprosił księżę. — Zamierzam wydać kilka bardzo niezwykłych przyjęć.

Lord Marston wznosił do góry ręce.

— Wielkie nieba. Iwanie! Pamiętam aż za dobrze, jak wyglądają te twoje przyjęcia. Stracę w Paryżu dobrą opinię!

— Bzdura! — odciął się księżę — Obaj wiemy, że dzięki mnie życie w tym mieście stanie się barwniejsze.

Skromnie powiedziane — pomyślał lord Marston.

W przeszłości bale księcia były tematem rozmów w całym Paryżu, od Pałacu Tuileries po najskromniejsze kafejki na Bulwarach. Stanowiły nie tylko pokaz nieokiełznanej ekstrawagancji, ale i dostarczały bez wątpienia wiele rozrywki. Ci, których nie zaproszono, czuli się tak upokorzeni, iż woleli wyjechać z miasta, aby rzekomo załatwiać jakieś pilne sprawy na prowincji, niż przyznać otwarcie, że ich pominięto.

Dwaj przyjaciele nadal gawędzili, gdy otworzyły się drzwi i wszedł brytyjski ambasador.

Obaj wstali z miejsc, a hrabia obrzuciwszy księcia uważnym spojrzeniem, podał mu rękę.

— Jestem zachwycony widząc Waszą Wysokość — powiedział. — Nazbyt długo nas pan nie odwiedzał.

— Wielce pan łaskawy, ekscelencjo — odparł książę. — Ponieważ jestem tutaj zupełnie sam, mam nadzieję, że zostanie mi wybaczone, jeżeli porwę pańskiego gościa, by dotrzymał mi towarzystwa.

Hrabia popatrzył na lorda Marstona z uśmiechem.

— Wysłał pan już chyba dość raportów, żeby zapłacić premierowi koszt na śmieci. Najwyższa pora trochę się zabawić.

— Dziękuję, milordzie — odparł lord Marston.

Bryczka księcia, zaprzężona w dwa wspaniałe rumaki, czekała na dziedzińcu ambasady. W godzinę później przyjaciele odjechali. Lord

Marston polecił swemu służącemu, by spakował rzeczy i udał się za nim do posiadłości księcia.

— A więc co robimy dziś wieczorem? — zapytał księżę.

— Pojedziesz ze mną zobaczyć coś nowego — odparł lord Marston. — Myślę, że cię to zainteresuje.

— Cóż to takiego?

— Nie zamierzam ci nic więcej powiedzieć. To ma być niespodzianka.

— Bardzo dobrze — odpowiedział księżę. — Ale nalegam, żebyśmy przedtem zjedli dobry obiad.

— Magnys czy Véfour? — spytał lord, Marston

— Véfour — zdecydował bez namysłu księżę. — Chcę jeść, a nie przyglądać się szacownym gościom, którzy zaszczycają swą obecnością Magnys.

Lord Marston uśmiechnął się.

— Znakomicie — powiedział — Zamówimy specjalność zakładu, coś, co kiedyś bardzo lubiłeś.

Miał na myśli wspaniałego reńskiego karpia, którego w wydanych właśnie „*Les Plaisirs de Paris*” Alfreda Delvau uznano za jedną z głównych atrakcji miasta. To właśnie Delvau powiedział: „Przyjemność jest manią Paryżan, ich chorobą i słabością. Kochają gwałtowne uczucia i hałaśliwe rozrywki, wywołujące zamęt i podniecenie.” Lord Marston

pomyślał, że opis ten pasuje w równym stopniu do księcia. Niemniej jednak po kilku tygodniach bywania na przyjęciach wyłącznie na dworze i w ambasadzie oraz odgrywania roli doskonałego dyplomaty i on odczuwał teraz przyspieszone bicie serca.

Powitano ich w Véfour. Restauracja znajdowała się w Palais Royal, który w czasie panowania Ludwika XVI Księżę Orleański przemienił w przybytek hazardu i rozrywki, dzięki czemu stał się z dnia na dzień najbogatszym człowiekiem we Francji. Wciąż jeszcze było to ulubione miejsce łowów *les cocottes*. Lokal miał taki sam wystrój jak tuż po rewolucji. Dzięki sofom z czerwonego pluszu i lustrom w drewnianych, malowanych kasetonach był wygodny, nastrojowy i bardzo odpowiedni dla osób, które chciały koncentrować się na tym, co jedzą.

Księżę i lord Marston zamawiali dania dokonując starannego wyboru.

Mattre d'hotel polecił im „rosyjskiego ptaka”. Księżę okazał zdziwienie, więc lord Marston wyjaśnił:

— Między Paryżem a Rosją rozwinął się na dużą skalę handel dziczyzną. Ptaki pakuje się do wiklinowych koszy z owsem i w ciągu pięciu dni są tutaj.

— Oto co znaczy postęp! — zauważył ironicznie księżę.

— Oprócz tego możesz u nas dostać jaskółcze gniazda z Chin, *ortali* z Włoch albo trufle z Perigord — zażartował lord Marston.

— We Francji chcę jeść ślimaki — odparł zdecydowanie książę i zamówił je.

Potem, w oczekiwaniu najedzenie, usiedli wygodnie i popijając szampana wdali się w rozmowę. Gdy byli sami, zdarzało im się często poruszać tematy, które zaskoczyłyby z pewnością wielu ich przyjaciół: mówili o filozofii, literaturze, polityce. Spierali się i prześcigali w cytatach, obaj byli bowiem znakomitymi erudydami. Po obiedzie nastrój księcia zmienił się z typową dla niego gwałtownością.

— A więc, Hugo — powiedział — dokąd mnie zabierasz?

— Wstrzymaj oddech — odparł lord Marston.

— Idziemy obejrzyć „Kopciuszka”.

— „Kopciuszka”? — wykrzyknął książę.

— *W Théâtre Imperial du Chatelet.*

— Jestem za stary na bajki! — wybuchnął książę.

— Ale nie na tę! — odparł stanowczo jego przyjaciel.

— Ostrzegam cię, że wyjdę, jeśli tylko mi się znudzi.

— Gotów jestem założyć się o dużą sumę, że tak nie będzie.

— No dobrze — odparł z rezygnacją książę.

Opuścili Véfour i wąskim chodnikiem przeszli kawałek do miejsca, gdzie czekał powóz księcia. Była to bardzo wygodna, zamknięta karetka z dwoma lokajami na koźle. Leżało w niej sobolowe futro na wypadek,

gdyby pod wieczór zrobiło się zimno, ale na razie kwietniowe powietrze było ciepłe i przyjemne.

Dwaj przyjaciele siedzieli z założonymi nogami pałac w zamyśleniu długie cygara. Jechali przez Bulwary, pełne jasno oświetlonych kafejek i tłumów przechadzających się w złotym blasku gazowych lamp. Mimo że przedstawienie trwało już ponad godzinę, wejście do teatru blokował spory tłum, a wiele osób próbowało jeszcze dostać bilety.

— Czyżby Paryż powracał do lat dzieciństwa? — zapytał ironicznie książę.

— To nie jest zwykła bajka — wyjaśnił lord Marston. — Ma pięć aktów i trzydzieści odsłon.

Książę jęknął.

— Pełne przepychu inscenizacje to typowa cecha współczesnego teatru — powiedział lord Marston takim tonem, jakby wygłaszał prelekcję. — Zobaczysz Zieloną Grotę, Ognistą Górę, Lazurowe Jezioro, Pałac Świetlików i Złote Obłoki.

Książę znowu jęknął, lord Marston zauważył jednak, że jest tym wszystkim trochę zaintrygowany.

Dojechali do teatru w trakcie pierwszej przerwy. Tłumnie zgromadzeni na widowni mężczyźni usiłowali dostać coś do picia, a wrzawa rozmów była wprost ogłuszająca.

Wszędzie paliły się światła. Wysokie płomienie gazowych lamp rzucały na wielką kryształową kulę żółte i różowe smugi, które odbijały się od niej, wypełniając blaskiem całą przestrzeń od łukowatego sklepienia aż do parteru. Purpurowe draperie kurtyny tonęły w powodzi intensywnego światła różnobarwnych reflektorów, a w łóżach mężczyźni i kobiety obserwowali się wzajemnie przez lornetki.

Lord Marston zamówił na wszelki wypadek dla swego przyjaciela największą lożę, znaną jako Loża Królewska. Gdy tam wchodził, stojący na parterze młodzi mężczyźni w głęboko wyciętych kamizelkach i z gardeniami w butonierkach skierowali na nich lornetki.

Z wielu łóż machano im na powitanie, a księżę kłaniał się rozpoznającym go damom.

— Zasypią cię jutro zaproszeniami — zauważył lord Marston.

Księżę rozglądał się po teatrze okiem konesera.

— Przrzekam ci, Hugo, że dokonam bardzo starannej selekcji.

Zabrział dzwonek obwieszczający koniec przerwy i publiczność wracała na swoje miejsca. Panowało jak zwykle spore zamieszanie, gdyż ci, którzy już się usadowili, musieli ponownie wstawać. Dyrygent wszedł za pulpit. Cichły powoli rozmowy, choć czasem słychać było jeszcze podniesione głosy.

Lord Marston zorientował się, że oglądają właśnie scenę na Ognistej Górze. Pod

opalizującymi skalami skąpanymi w świetle czerwiejszym od rubinu, pracowały gnomy.

Potem podniosły się fale Lazurowego Jeziora i rubinowy ogień góry zalala zimna błękitna poświata, w blasku której pływały półnagie nimfy. Wyglądało to tak fantastycznie, że na widowni zerwała się burza oklasków i przez chwilę nawet książę wydawał się oczarowany.

Po śpiewach gnomów i pieśni pięknego królewicza, który szukał Kopciuszka, scena pogrzyła się w mroku i zaczął się błazeński występ dwóch komików. Ich rubaszne dogadywania wywoływały u publiczności salwy śmiechu. Zainteresowanie księcia spektaklem osłabło. Obserwował teraz pozostałe loże, zastanawiając się niewątpliwie, jak sądził lord Marston, czy jest tam ktoś, z kim miałby ochotę odnowić znajomość.

Gdy komicy zeszli ze sceny, zapanowała nagle ciemność i zaległo milczenie. Orkiestra zaczęła grać bardzo cicho jakąś klasyczną melodię, inną niż wszystko co do tej pory słyszeli.

— Właśnie to chciałem ci pokazać — powiedział lord Marston.

Książę, nieco zdziwiony odwrócił głowę w kierunku sceny. Podniesiono kurtynę i miejsce kolorowych fantazyjnych dekoracji zajęły same rozplywające się jakby w mroku zasłony.

Na scenę wyszła tancerka. Niczym nie przypominała baletnic, które książę dotąd widywał.

Przyzwyczajony do rosyjskiego Królewskiego Baletu, do ciężkich puent, krótkich drapowanych spódniczek, głęboko wyciętych staników i ostrego makijażu, zobaczył w tej dziewczynie coś zupełnie odmiennego. Nosiła grecką tunikę z białego jedwabiu, a rozpuszczone włosy miała lekko zaczesane do tyłu, ni to w stylu klasycznym, ni to w nowoczesnym. Była w sandałach i nie miała żadnych ozdób, ani też, o ile mogli się zorientować widzowie, żadnego makijażu.

Przez chwilę stała na środku sceny zupełnie bez ruchu, a potem zaczęła tańczyć. Jej taniec, a zarazem pantomima, przekazywały prostą historię w tak doskonały i wyrazisty sposób, że nie można było jej nie zrozumieć.

Była szczęśliwym i beztroskim dzieckiem kochającym kwiaty, motyle i ptaki, a kiedy wyciągała ręce w ich kierunku, człowiek miał wrażenie, że widzi trzepoczące skrzydłami ptaki i unoszące się nad kwiatami motyle. Jej taniec był tak doskonały w każdym ruchu, w każdym geście, że publiczność jakby wstrzymywała oddech i z widowni nie dochodził najdrobniejszy szmer. Była radością, była młodością, wierzyła, że Bóg przebywa w swoim niebie, a na ziemi nie istnieje zło. Była tym wszystkim, co każdy pamięta z dzieciństwa, uosobieniem niewinności i piękna. Wydawało się niemal, że trzyma szczęście i piękno w swych ramionach.

Opadła kurtyna i przez chwilę panowała cisza, która jak wiedzą doskonale wszyscy aktorzy, stanowi najwyższą formę uznania. A potem wybuchła burzą oklasków, które zdawały się wstrząsać całym teatrem.

— Ona jest fantastyczna! — zawołał książę — Kto to taki?

— Nazywa się Lokita — odpowiedział lord Marston.

Na widowni znów zapanowała cisza i rozległa się muzyka, ale już zupełnie inna, posępna i przepojona smutkiem.

Odsłonięto kurtynę. Dekoracje pozostały niezmienione a Lokita stała znowu na środku sceny. Miała na sobie czarną pelerynę, a w ręce trzymała wieniec z kwiatów. Stała po prostu w miejscu, a jednak było w niej coś, co ścisnęło widzów za gardło.

Pochyliła się, kładąc kwiaty na grobie kogoś, kogo kochała. Kiedy spoglądała w dół, widać było wyraźnie, że pęka jej serce. Straciła coś niezastąpionego, straciła część siebie, jak gdyby sama spoczęła w grobie i nie należała już do świata żywych. Roniła łzy, a siedzące na widowni kobiety płakały razem z nią. Wyciągała stęsknione ramiona, jakby chcąc przywrócić do życia tego, kto ją opuścił. Pogrążała się coraz bardziej w rozpacz, przytłoczona swą niedolą do tego stopnia, że sama także pragnęła umrzeć.

Nagle w dźwiękach muzyki zabrzmiała nuta nadziei. Dziewczyna uniosła najpierw zapłakaną twarz, potem powoli, tak powoli, że obserwowanie jej sprawiało niemal ból, dźwignęła się z ziemi. Owładnęła nią bez reszty przeświadczenie, że nie ma śmierci, istnieje tylko życie. Świadomość tego przenikała stopniowo jej umysł, serce, duszę. Nagle pojęła w całej pełni, że to prawda. Nie ma śmierci! Nie straciła ukochanej osoby.

Teraz było w niej światło, była wiara! Zrzuciła pelerynę i tańczyła tak jak przedtem taniec szczęścia. Nie była już sama. Dało się niemal dostrzec obok niej kogoś, z kim rozmawia, do kogo się tuli. Byli razem, więc smutek i rozpacz ustąpiły miejsca boskiej radości i uniesieniu. Opadła kurtyna i rozległo się jakby zbiorowe westchnienie. Tak wzdycha człowiek, znalazłszy się w świecie cudów i rozkoszy.

— Dobry Boże! — Książę wydał ten okrzyk zupełnie bezwiednie, a potem, tak jak wszyscy, bił brawo z oczami utkwionymi w kurtynę, czekając aż tancerka wyjdzie ponownie się uklonić.

— Już jej nie zobaczysz. — rzekł lord Marston. Książę spojrzał na niego zaskoczony.

— Nie wychodzi przed kurtynę? Dlaczegoż to?

— Nie wiem. Widzowie nadwerężają sobie ręce i zdzierają gardła, ale ona nie zwraca na to uwagi.

Książę był zdumiony. Nie słyszał jeszcze o żadnej baletnicy, śpiewaczce czy aktorce, której nie cieszyłaby taka burza oklasków. Gdy kurtyna rozsunęła się, ukazując następne barwne dekoracje, powiedział:

— Muszę ją poznać. Chodźmy za kulisy.

— To bezcelowe. Ona nikogo nie przyjmuje.

— Bzdura! — odparł książę — Mnie przyjmie. Wezwij lokaja.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni kartę wizytową i wypisał na odwrocie jakieś zdanie. Lord Marston obserwował go z rozbawieniem, po czym skinął na kogoś ze służby. Księżę podał temu człowiekowi wizytówkę.

— Zanieś to mademoiselle Lokicie — powiedział — i przynieś mi odpowiedź.

Dał służącemu ludwika, ale ten pokręcił głową.

— *C'est impossible, monsieur*

— Nie ma rzeczy niemożliwych — odparł księżę.

— Życzę sobie, by *mademoiselle* zjadła ze mną kolację. Jak możesz przeczytać na moim bilecie wizytowym, jestem księżę Iwan Wołkoński.

— Bardzo mi przykro, monsieur le Prince, ale m'nselle Lokita z nikim nie jada kolacji. — Rzucił okiem na scenę. — Prawdę mówiąc, monsieur, do tej pory wyszła już zapewne z teatru.

— Wyszła z teatru? — zapytał księżę ostrym tonem. — Nie pokazuje się w finale?

— Non, monsieur, m'nselle Lokita z nikim nie rozmawia. Odjeżdża, gdy tylko skończy występ. Księżę odprawił go i zwrócił się do lorda Marstona:

— Czy on mówi prawdę?

— Tak słyszałem — odparł lord. — Lokita stała się sensacją. Opisują ją we wszystkich gazetach, ale odmawia udzielania wywiadów i powszechnie wiadomo, że nigdy nie pokazuje się publicznie.

— Jest fantastyczna! Zdumiewająca! — wykrzyknął książę.—
Uważałem się za eksperta w dziedzinie baletu, ale tego nie da się porównać z niczym, co dotychczas widziałem.

— Spodziewałem się, że to powiesz — stwierdził z uśmiechem lord Marston. — Reszta przedstawienia jest banalna. Wychodzimy?

— Nie, do licha! Nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić — rzekł książę. — Pójdziemy za kulisy sprawdzić, czy mówisz prawdę.

— Bardzo proszę — zgodził się lord Marston — ale zapewniam cię, że tracisz tylko czas.

Książę już nie słuchał, tylko ruszył z łoży w kierunku wejścia na scenę. Widać było, że dobrze zna drogę.

Za kulisami panowało typowe zamieszanie: pośród lin i płócien dekoracji maszyniści obrzucali przekleństwami tych, którzy wchodzili im w drogę, a aktorzy spieszyli z powrotem do swoich garderób. Z ulicy przynoszono kosze kwiatów lub bukiety przyozdobione długimi, satynowymi wstążkami. Gdy przechodzili obok, lord Marston zauważył, że bardzo wiele przeznaczonych było dla Lokity.

W gęstym przegrzanym powietrzu unosiła się charakterystyczna dla teatralnych kulis silna woń: mieszanina zapachu gazu, kleju stosowanego do płóciennych dekoracji, wilgoci ciemnych kątów, używanych w

garderobach ostrych wód kolońskich i mydła, a do tego tuzina różnych perfum. Idąc wąskim korytarzem słyszeli hałasy dobiegające z umywalni, śmiechy pokrzykujących do siebie kobiet i odłos trzaskających nieustannie drzwi.

Księżę odnalazł w stróżówce odźwiernego i zapytał o garderobę Lokity.

— Może pan tam iść, jeżeli sprawi to panu przyjemność, monsieur — powiedział stróż, wprawiony w dobry nastrój garścią ludwików, które księżę wcisnął mu do ręki — ale m'mselle już nie ma.

— A gdzie jest? — zapytał księżę niemal ze złością.

— Wyszła! M'mselle Lokita zawsze wychodzi z teatru, gdy tylko skończy występ.

— Dlaczego to robi? Stróż wzruszył ramionami.

— Skąd mam wiedzieć? M'mselle nie zwierza mi się.

— Może czeka na nią jakiś dżentelmen? Odprowadza ją do domu?

Stróż pokręcił głową.

— Nie, m'mselle Lokita wychodzi tylko z madame, która zawsze jej towarzyszy.

— Jak się nazywa ta madame!

Stróż zastanawiał się chwilę, po czym robiąc błędy w wymowie, powiedział:

— An-der-son.

— To angielskie nazwisko! — wykrzyknął książę — Prawda, Hugo?

— Na to wygląda — zgodził się lord Marston.

— Posłuchaj — książę zwrócił się ponownie do stróża. — Życzę sobie widzieć mademoiselle Lokitę. Jeśli zostawię tu liścik, dopilnujesz, żeby go jutro otrzymała?

— Mogę go oddać madame Anderson — odparł z wahaniem stróż.

— To będzie list do mademoiselle Lokity! Stróż ponownie wzruszył ramionami.

— Wszystkim zajmuje się madame Anderson. Jak mówiłem, monsieur, ta mała w ogóle się nie odzywa. Idzie bez słowa do swojej garderoby, w milczeniu wchodzi na scenę i wychodzi z teatru.

— Nie wierzę w to! — powiedział zrozpaczonym tonem książę, wracając z lordem Marstonem do domu.

— Mówiło już tak wiele osób — stwierdził lord Marston — ale ty musiałeś sam się przekonać.

— Koniecznie chcę ją poznać!

— Wątpię, czy będzie to możliwe, ale spróbuj. Tak czy inaczej, musisz przyznać, że jest nadzwyczajna.

— Oczywiście! Nadzwyczajna, niepowtarzalna, fantastyczna! Ale co mi to daje?

Lord Marston roześmiał się.

— Dokładnie to, co widać: jesteś zawiedziony, a równocześnie — przyznaj się, Iwanie — ogromnie zaintrygowany!

— Oczywiście, że tak—potwierdził księżę — ale zapewniam cię, Hugo, że to mi nie wystarczy. Mam zamiar dowiedzieć się o wiele więcej i nikt ani nic nie przeszkodzi mi w zawarciu znajomości z Lokitą.

Lord Marston rozsiadł się w powozie i wybuchnął śmiechem.

— Lubię obserwować, jak tropisz zdobycz, Iwanie, ale mam wrażenie, choć mogę się mylić, że tym razem polowanie ci nie wyjdzie.

— Wielki Boże! — odparł księżę — Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, nazwałbym go kłamcą. Ale w twoich ustach, Hugo, te słowa brzmią jak wyzwanie! O ile zakład, że odniosę sukces tam, gdzie innym się nie powiodło?

Lord Marston zastanawiał się przez chwilę.

— Nie mam zamiaru zakładać się z tobą o pieniądze, Iwanie. To byłoby zbyt proste. Ale mam nowego konia do polowań — pięknego wspaniałego siwka. Jest, oczywiście, czystej krwi arabem, ale jego wyjątkowość polega na tym, że przeszedł znakomity trening.

— A więc? — zapytał z uśmiechem księżę. Lord Marston odparł powoli:

— Stawiam Kingfishera w zamian za któregoś z twoich najlepszych ogierów!

— Przyjmuję zakład! — odparł książę. — Jeśli jutro rano pojedziemy na przejażdżkę, zobaczysz Sulimana. To wspaniały rumak. Kosztował mnie więcej, niż którykolwiek z kupionych dotychczas koni. A co więcej, nie zamierzam się z nim rozstawać!

— Z przyjemnością przejadę się na nim po Rotten Row — stwierdził z przekonaniem lord Marston.

— Ciekawe, jak Lokita będzie wyglądała na grzbiecie Kingfishera! — odparował książę.

Roześmiali się obaj, po czym książę powiedział:

— Dałbym głowę, że ona nie jest Angielką. Bez względu na to, skąd pochodzi jej duenna.

— Tu się z tobą zgadzam — odrzekł lord Marston.

— A jednak ma jasne włosy.

— Ale jej oczy są ciemne — stwierdził książę.

— Wydaje się to dziwne przy jasnych włosach, a jednak przysięgłbym, że mają zupełnie naturalny kolor.

— Bez wątplenia — przyznał lord Marston.

— Jakim cudem potrafi tak tańczyć? Nie znam żadnej szkoły na świecie, w której by mogli tego nauczyć.

— To samo pytanie zadawały wszystkie paryskie gazety. Wypisywano peany na jej cześć, a jednak po raz pierwszy nawet najbardziej dociekliwi

reporterzy nie zdołali dowiedzieć się niczego o jej prywatnym życiu. — Lord Marston przerwał, po czym dodał powoli: — Nie wiedzą, skąd pochodzi, gdzie mieszka, jakim mówi językiem. Nie wiedzą o niej absolutnie nic!

— To nie do wiary! — wykrzyknął książę. — Gdybyś powiedział mi coś takiego o baletnicy z któregoś krajów, nie uwierzyłbym.

— Miałem dokładnie to samo uczucie — przyznał lord Marston. — Oglądałem występ Lokity czterokrotnie i za każdym razem wychodziłem zdumiony, że w tym pełnym egzaltacji mieście, w którym triumfuje sztuczność, istnieje coś tak z gruntu czystego. Człowiek patrzy, na nią bardziej sercem niż oczami.

— Też tak to odebrałem — powiedział cicho książę. — Ale zdarzyło się coś więcej, Hugo.

Ta dziewczyna przemówiła do mojej duszy i przysięgam, że nigdy dotąd nic podobnego mnie nie spotkało!

ROZDZIAŁ 2

Cała sala rozbrzmiewała oklaskami. Mężczyźni i kobiety podniósłszy się z miejsc

krzyczeli i bili brawo. Hałas był ogłuszający. Gdy Lokita znalazła się za kulisami, podbiegł do niej reżyser.

— Proszę wyjść przed kurtynę, m'mselle! Niech pani wyjdzie, na litość boską! Rozniosą teatr!

Zanim Lokita zdążyła odpowiedzieć, zabrzmiał ostro głos panny Anderson:

— Nie ma mowy! W kontrakcie wyraźnie zastrzeżono, że mademoiselle nie wychodzi przed kurtynę. — Powiedziawszy to owinęła ramiona Lokity wełnianym szalem i poprowadziła ją korytarzem w kierunku garderoby.

— *Mon Dieu! Cest incroyable!* — mruknął reżyser, dając pospiesznie znak orkiestrze, aby zagrała coś głośniego dla uciszenia podekscytowanej publiczności.

Lokita i panna Anderson weszły po żelaznych schodkach na piętro do garderoby, którą przydzielono dziewczynie. Było to niewielkie, kwadratowe pomieszczenie z bardzo niskim sufitem, udrapowanym jasnobrązowym materiałem. Zwisające z miedzianego drążka zasłony z tego samego materiału odgradzały część pokoju. Z wychodzącego na nieduże podwórko okna widać było nagą spękaną ścianę, na którą w mroku nocy padały z garderoby żółte kwadraty światła. Pokój wypełniał zapach kwiatów. Stały wszędzie: na podłodze, na toalecie, na krzesłach. Wszystkie kosze, bukiety i girlandy miały wizytówki ofiarodawców i stanowiły świadectwo typowej dla Paryża ekstrawagancji.

Zamknąwszy za Lokitą drzwi panna Anderson stwierdziła:

— Byłaś dzisiaj bardzo dobra, moja droga. Lokita cicho westchnęła, jakby dopiero przebudziła się ze snu.

— Czułam, że tata jest blisko — powiedziała. — I chyba był ze mnie zadowolony.

Panna Anderson wiedziała, że właśnie dzięki temu przekonaniu Lokita hipnotyzowała publiczność, sprawiając, że w całym teatrze nie znalazłoby się chyba osoby, która nie uroniła choć jednej łzy. Nie chciała jednak, aby Lokita czuła się onieśmielona z powodu tego, co przedstawia na scenie i miała świadomość, że tajemnica jej sukcesu kryje się w fakcie, iż dziewczyna, pogrążona we własnych myślach, wyraża w tańcu to, co czuje. Na głos powiedziała więc tylko:

— Jestem pewna, że ojciec byłby z ciebie bardzo dumny.

— Mam nadzieję — odparła Lokita lekko zdyszonym głosem. — Był dziś przy mnie bliżej niż kiedykolwiek.

Przeszła przez gąszcz kwiatów za kotarę, aby zdjąć grecką tunikę i włożyć na siebie wiszące tam rzeczy. Rozległo się pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytała ostro panna Anderson.

— Następne kwiaty dla m'mselle Lokity! — odpowiedział goniec.

Otworzyła drzwi i odebrawszy koszyk położyła go w jedynym wolnym miejscu, na środku toaletki. Goniec nie odchodził. Wiedziała, że oczekuje napiwku. Kiedy wręczyła mu parę drobnych monet, podziękował i oddalił się pogwizdując.

— Znowu kwiaty? — zapytała Lokita.

Panna Anderson spojrzała na kosz, który właśnie postawiła.

— Białe orchidee.

— Cudownie!

Lokita wyszła zza kotary, przewiązując szarfą w szczupłej talii prostą białą sukienkę, która miała z tyłu ledwie widoczną turniurę.

— Gwiazdziste orchidee! — zawołała. — Andy, są przepiękne!

— Masz w domu dużo kwiatów — stwierdziła panna Anderson. — Te można wysłać z innymi do szpitala.

— Nie, chciałabym je zatrzymać — powiedziała Lokita. — Są takie piękne. Piękniejsze niż wszystko, co dotychczas dostawałam.

Kosz rzeczywiście wyglądał niezwykle. Było w nim coś delikatnego i klasycznego, w przeciwieństwie do innych stojących w garderobie przesadnie zdobnych bukietów. Większość z nich przybrano wielkimi kokardami z satynowych wstążek, które w zestawieniu z delikatnością białych orchidei wydawały się krzykliwe i wulgarne.

— Zabiorę je ze sobą do domu — postanowiła Lokita. — Ciekawe, kto je przysłał.

Mówiąc to zajrzała do kosza, po czym wydała krótki okrzyk.

— Tu jest coś jeszcze, Andy!

— Co takiego? — zapytała panna Anderson.

Lokita wyjęła niewielkie białe pudełko z aksamitu, przy którym znajdowała się karta wizytowa. Gdy podała je pannie Anderson, ta przeczytała na głos:

— Książę Iwan Wołkoński.

Panna Anderson wydała głośny okrzyk, otwierając równocześnie pudełko z biżuterią. W środku znajdował się motyl, ozdobiony błękitnobiałymi diamentami!

Nie było potrzeby odczytywać nazwiska na pudełku, aby zorientować się, że jest to dzieło Oskara Massina, którego biżuteria dawała się porównać z pracami najlepszych złotników osiemnastego wieku. Jego dzieło — klejnot zwany „Kwieciem Bzu”, który został kupiony przez cesarzową i eksponowany był na wystawie, stanowił triumf sztuki jubilerskiej. Massin słynął z biżuterii w formie kwiatów i kłosów zbóż. Zaledwie przed tygodniem Lokita podziwiała w witrynie jego sklepu gałązkę konwalii, lśniących jakby opalizującym światłem.

Panna Anderson wpatrywała się w motyla, który błyszczał przy oświetlających garderobę gazowych lampach i zdawał się niemal trzepotać skrzydełkami.

— Jest naprawdę piękny! — powiedziała Lokita, także mu się przyglądając.

Panna Anderson zatrzasnęła pudełko.

— To obelga! — oświadczyła szorstko.

Lokita utkwiała w niej pytające spojrzenie. Miała pełne wyrazu, ciemnozielone oczy o szmaragdowo-złotawym odcieniu. Ciemne rzęsy nadawały im tajemniczy wygląd i wydawało się czasem, że oczy te kryją sekrety jakiegoś leśnego jeziora.

— To obelga! — powtórzyła panna Anderson.

— Może księżę nie miał złych intencji — powiedziała cicho Lokita.

— Dobrze wiem, co miał na myśli — odparła posępnie panna Anderson.

— Włóż pelerynę. Naciągnij kaptur na twarz. Musimy natychmiast wyjść!

Mówiła tak rozkazującym tonem, że Lokita okazała posłuszeństwo, opatulając się peleryną z ciemnoniebieskiego aksamitu i zakrywając twarz kapturem, tak jak jej kazano. W ten sposób była praktycznie nie do rozpoznania.

Gdy wychodziły z garderoby, rzuciła jeszcze okiem na stojące na stole gwiazdziste orchidee i dopiero idąc korytarzem zdała sobie sprawę, że trzyma ciągle w ręce wizytówkę z nazwiskiem księcia. Panna Anderson poprowadziła ją po żelaznych schodach i wzdłuż korytarza pełnego spieszących na scenę, gotowych do następnego aktu wykonawców.

Dziewczęta śmiały się i chichotały, a mężczyźni poprawiali nerwowo wyszukane kostiumy i peruki. Od strony sali dobiegły nagle dźwięki grającej przeraźliwie głośno orkiestry i podniesione głosy obrzucających się inwektywami dwóch osób wyprowadzonych z równowagi z powodu jakiegoś incydentu, do którego doszło na scenie.

Panna Anderson przeciskała się przez tłum, a Lokita szła tuż za nią. Dotarły w końcu do wejścia dla aktorów, przy którym było względnie spokojnie. Zaledwie się tam znalazły, zobaczyły w drzwiach wysokiego, eleganckiego mężczyznę. Miał na ciemnych włosach lekko przechylony cylinder, a z ramion spływał mu płaszcz, obramowany czerwoną satyną. Jego frak nie miał w dziurce od guzika gardenii, która stanowiła *dernier cri* wśród ubierających się modnie dżentelmenów, lecz gwiazdzistą orchideę.

Panna Anderson odwróciła się, chwyciła Lokitę za ramię i odciągnęła na bok.

— Czy *mademoiselle* Lokita jest w swojej garderobie? — usłyszały pytanie nieznajomego.

Lokita zwróciła uwagę, że nieznajomy ma głęboki dźwięczny głos i pomyślała przyglądając mu się z mroku, że nie widziała dotąd równie wspaniałego mężczyzny. Jej ojciec był przystojny i uwielbiała oglądać go w wieczorowym stroju: w nieskazitelnie białej koszuli i obcisłym długim fraku. Ale ten nieznajomy mężczyzna nosił się niemal po królewsku. Zauważyła też, że jego twarz, choć tak bardzo nieangielska, jest dumna, arystokratyczna, a zarazem nadzwyczaj pociągająca.

— Przekazałeś *mademoiselle* moje kwiaty? — zapytał stróża.

Gdy to mówił, widać było błysk przekazywanego z ręki do ręki złotego ludwika.

— Parę minut temu dotarły na górę, *monsieur le Prince*.

Lokita lekko drgnęła. Teraz wiedziała, kim jest nieznajomy! Był tym księciem, który przysłał jej gwiazdziste orchidee, a także diamentowego motyla, którego panna Anderson trzymała wciąż w ręce.

— Garderoba numer dwadzieścia dziewięć, *monsieur* — oznajmił stróż.

Księżę skinął głową, po czym odwrócił się, minął Lokitę i pannę Anderson, nie zauważając ich w mroku i ruszył żwawo pustym już teraz korytarzem w kierunku żelaznych schodów, po których niedawno zeszły. Zaledwie zniknął im z oczu, panna Anderson podeszła do stróżówki.

— Kiedy Jego Wysokość wróci — oznajmiła głosem zimnym jak lód — wręcz mu to i powiedz, że *mademoiselle* Lokita czuje się znieważona!

Mówiąc to cisnęła stróżowi białe aksamitne pudełko. Zanim Lokita zdążyła zaprotestować, została pospiesznie wyprowadzona na ulicę wyjściem dla aktorów.

W świetle gazowych latarni widać było długi rząd fiaków, zaprzężonych w wychudzone konie, czekających cierpliwie na koniec przedstawienia. Panna Anderson pomogła Lokicie wsiąść do najbliższej dorożki i podała woźnicy adres. Odjechały przez nikogo nie zauważone. Nie pojawił się jeszcze tłum mężczyzn, czekających na dziewczęta z chóru, ani rzesza wielbicielek aktorów, które chciały zobaczyć swych idoli poza sceną.

— Uważam, że to nie było zbyt grzeczne, Andy — stwierdziła Lokita, gdy ruszyły w drogę.

— Ludzi tego pokroju nie można traktować uprzejmie.

— Książę jest bardzo przystojny.

— Co tłumaczy bez wątpienia jego reputację! — zauważyła z przekąsem panna Anderson.

— Wiesz coś o nim, Andy? — zapytała Lokita. — Powiedz mi, kim jest. Tak bardzo interesuje mnie wszystko, co dotyczy Rosji.

— W każdym kraju są rzeczy dobre i złe — odparła panna Anderson — a książę Iwan Wołkoński nie należy, dzięki Bogu, do typowych przedstawicieli rosyjskiego imperium.

— Czy jest kimś ważnym?

— Poprzez związki rodzinne. Jego matka pochodziła z dynastii Romanowów.

— A więc jest spokrewniony z carem!

— Zdaje się, że są kuzynami, ale to nie powód, żebyś się nim interesowała. Kiedy na wystawie będzie mniej tłoczno niż teraz, pójdziemy obejrzeć rosyjski pawilon.

— Bardzo bym chciała — odparła Lokita. — Ale jak długo musimy jeszcze czekać?

— Wystawę otwarto zaledwie pierwszego kwietnia. Na razie, jak donoszą gazety, panuje tam potworny tłok. Zamkną ją dopiero w listopadzie. Będiesz miała dość czasu, żeby wszystko zobaczyć, nie narażając się na stratowanie.

Milczały przez chwilę, po czym Lokita powiedziała:

— Powiedz mi coś więcej o księciu Iwanie Wołkońskim.

— Nie powinnaś się nim interesować.

— Ale to Rosjanin! Och, Andy, czy myślisz, że spotkam jeszcze w życiu jakichś Rosjan, poza, oczywiście, naszym droгим Sergem? — Panna Anderson pozostawiła jej pytanie bez odpowiedzi. Po chwili Lokita dodała:

— Chcę dostać do czytania więcej książek o St Petersburgu i Moskwie. Zabawnie będzie sprawdzić, czy znajdę w nich nazwisko Wołkoński.

— Już ci mówiłam: zapomnij o nim — powiedziała ostro panna Anderson.

— Ale dlaczego? Dlaczego?

— Ponieważ tak mówię!

Lokita wybuchnęła śmiechem, który zabrzmiał jak muzyka.

— Och, Andy. Mówiłaś tak, kiedy byłam dzieckiem. Zapominasz, że mam osiemnaście lat i jestem już dorosła.

— Tym bardziej muszę się o ciebie troszczyć — odparła panna Anderson. Jej głos brzmiał teraz łagodnie, inaczej niż przedtem.

— Zawsze o mnie dbałaś, moja droga Andy. Zastanawiam się często, co bym bez ciebie zrobiła.

Nie zdawała sobie sprawy, że na twarzy siedzącej przy niej kobiety maluje się strach, który czyhał ciągle w zakamarkach jej świadomości. Ale głośno panna Anderson powiedziała tylko:

— Jutro, po konnej przejażdżce w Bois, możemy wybrać się poza Paryż. Wiem, że lubisz wieś.

Lokita miała na tyle sprytu, by zdać sobie sprawę, że ta propozycja ma odciągnąć jej uwagę od księcia, ale oświadczyła głośno:

— Byłoby cudownie, Andy, ale zdaje się, że madame Albertini przychodzi udzielić mi lekcji.

— Na mój gust te jej lekcje to strata czasu — stwierdziła panna Anderson, a w jej głosie znów pojawił się ostry ton. — Madame niczego więcej cię nie nauczy: o czym obie dobrze wiecie.

— Ale tak wiele jej zawdzięczamy. To dzięki niej dostałam angaż w teatrze i hojną pensję, którą mi teraz wypłacają.

— Za każdym razem, kiedy tam idziemy, ubywa mi parę lat życia — oświadczyła panna Anderson mówiąc jakby do siebie. — Nie wyobrażam sobie, co by powiedział na to twój ojciec. — On o wszystkim wie — stwierdziła cicho Lokita. — I gdy czułam dzisiaj koło siebie jego obecność, byłam pewna, że mnie rozumie.

Mówiła z tak absolutnym przekonaniem, że panna Anderson nic nie odpowiedziała.

Jechały w milczeniu aż do chwili, gdy minąwszy Pola Elizejskie i pokonawszy jeszcze kawałek drogi dotarły do niewielkiego domu, stojącego w pełnym drzew ogrodzie na skraju Bois. Był mały, szary i miał tak symetrycznie rozmieszczone drewniane okiennice, że wyglądał jak domek dla lalek.

Lokita wysiadła z dorożki i otworzywszy żelazną furtkę pobiegła ścieżką prowadzącą do frontowych drzwi. Gdy do nich dotarła, na progu czekała już starsza kobieta w nakrochmalonym białym czepku i fartuchu.

— Odniosła pani sukces, *m'mselle*? — zapytała z uśmiechem.

— Wielki sukces, Marie! Nigdy nie słyszałam, żeby publiczność tak wiwatowała!

— Gazety znowu będą panią jutro wychwalać — stwierdziła Marie, patrząc na nią z nieukrywany podziwem.

Ale Lokita nie słuchała. Zdjęła aksamitną pelerynę i położywszy ją na krześle w niewielkim holu weszła do salonu przed panną Anderson, która zatrzymała się, aby porozmawiać z Marie. Stojąc plecami do drzwi Lokita wsunęła szybko za dekolt sukienki wizytówkę księcia, którą dotąd trzymała w ręce. Czuła, jak twarde kartonik przylega jej do piersi i zastanawiała się, dlaczego chce go zachować. Potem wytłumaczyła sobie, że to rosyjska wizytówka, a wszystko, co dotyczyło Rosji, było bardzo bliskie jej sercu.

W salonie unosił się zapach kwiatów. Nie tych wspaniałych, egzotycznych, cieplarnianych, które wypełniały jej garderobę, lecz ogrodowych i polnych, zerwanych tam, gdzie odbywała z panną Anderson

konne przejażdżki. Przechodząc przez pokój, Lokita dotknęła kwiecica białego bzu, który stał w wazonie na stoliku, a potem pochyliła głowę, by poczuć jego delikatny zapach.

— Na pewno jesteś głodna — powiedziała od drzwi panna Anderson. — Marie podaje w jadalni kolację.

Lokita odwróciła się.

— Już idę, Andy — odparła. — Ale bardziej chce mi się pić niż jeść.

Idąc przez pokój czuła na piersiach wizytówkę księcia i zastanawiała się, co sobie pomyślał stwierdziwszy, że jego białe orchidee pozostały w garderobie, a motyl, który z pewnością kosztował go fortunę, czekał na niego przy wyjściu.

Wszedłszy do garderoby numer dwadzieścia dziewięć książkę spojrzął na wypełniające ją kwiaty. Myślał przez chwilę, że nie ma wśród nich jego gwiazdzistych orchidei, dopóki nie zobaczył kosza stojącego na toalecie. Od razu zdał sobie sprawę, że jest już za późno i Lokita, mimo zapewnień stróża, zdążyła wyjść z teatru. Za na wpół odsuniętą zasłoną zauważył wiszącą na drążku białą tunikę, w którą ubrana była na scenie, a poniżej parę maleńkich, srebrnych sandałów, które miała na nogach. Opuścił lożę w tej samej chwili, gdy Lokita zeszła ze sceny, ale w tłumie ludzi nie mógł się szybko poruszać. Był pewien, że rozminął się z nią zaledwie o kilka sekund.

Książę odwiedzał już niejedną garderobę i miał wrażenie, że ta różni się czymś od innych, które widywał. Przez chwilę nie mógł się zorientować, w czym rzecz, ponieważ wszystkie garderoby wyglądały podobnie. Nagle uświadomił sobie, że na toaletce nie ma zwykłego zestawu perfum, olejków, pudru, różu i szminek, tak dobrze znanych z innych garderób.

Przy lustrze ani na ścianie nie wisały wycinki z gazet. Nie było żadnych amuletów, koniczynki, kostki kurczęcia czy święconego medalika, ani lalek, którymi tak wiele aktorek ozdabiało swe garderoby i łóżka. Książę nie dostrzegł tam żadnego przedmiotu osobistego użytku, prócz zwykłej szczotki i grzebienia. Nie mylił się więc przypuszczając, że Lokita nie używa żadnych kosmetyków, trudno mu było jednak uwierzyć, że którakolwiek związana z teatrem kobieta może mieć tak niewiele osobistych rzeczy.

W tym momencie, przyglądając się toaletce, książę zajrzał do przysłanego dziewczynie kosza orchidei. Pomyślał, podobnie jak Lokita, że wobec tych gwiazdzistych kwiatów, które tak starannie wybrał, wszystkie inne wyglądają pospolicie i trywialnie. Zajrzawszy głębiej do kosza, w którym były ułożone, zdał sobie sprawę, że brakuje w nim dwóch rzeczy: białego pudełka z aksamitu, które osobiście tam włożył oraz wizytówki.

— A więc je zabrała!

Odwrócił się z pełnym satysfakcji uśmiechem i zszedł po żelaznych schodach do stróżówki.

— *Mademoiselle* Lokity nie było w garderobie — oznajmił.

— *Non, monsieur*. Wyszła w parę sekund po tym, jak zaczął pan jej szukać. Musiał pan minąć ją na korytarzu.

— To niemożliwe! — odparł książę.

— *Madame Anderson* zostawiła dla pana to pudełko, *monsieur* — oświadczył stróż podsuwając mu je. — Kazała panu powiedzieć, że *m'mselle Lokita* czuje się znieważona.

Książę znieruchomiał, po czym zabrał pudełko, włożył je do kieszeni i nie mówiąc więcej ani słowa wyszedł na ulicę. Był przekonany, że jego prezent, który — wraz z kwiatami — starannie wybrał, zostanie przyjęty tak jak wszystko, co w przeszłości ofiarowywał. Swego czasu starał się o względy wielu aktorek, w tym kilku balerin rosyjskiego Królewskiego Baletu. Tylko jedna czy dwie spośród nich odgrywały rolę „trudnych do zdobycia”, ale nigdy nie spotkał kobiety, która oparłaby się diamentom, jeśli tylko były wystarczająco duże i kosztowne.

Odjeżdżając sprzed teatru książę zaczął, ku swemu zdumieniu, zastanawiać się, czy jego taktyka zawiodła. Lokita z pewnością różniła się bardzo od innych aktorek i może rzeczywiście zakrawało na zniewagę ofiarowywanie osobie tak subtelnej i tak nieziemskiej prezentu, który był materialny i z tego świata.

— Należało okazać więcej delikatności — powiedział do siebie.

Wszedł z marsową miną do *Café Anglais*, gdzie umówiony był z lordem Marstonem. Uzgodnili, że jeśli Lokita pójdzie z nim na kolację — o czym

książę był przekonany — nie zjawi się na spotkanie. Kiedy siadał przy stole, lord Marston przyjrzał mu się z rozbawieniem.

— Wnioskuje, że nie przyjęła zaproszenia na kolację? — stwierdził.

— Wyszła z teatru zanim zdołałem do niej dotrzeć — odparł ze złością książę.

— Nie podziękowawszy ci za tak kosztowną *bijou*?

— Jej *duenna* zwróciła ją mówiąc, że *mademoiselle* Lokita czuje się znieważona.

Lord Marston był najwyraźniej zachwycony.

— Ostrzegałem cię, żebyś nie traktował jej jak zwykłej chórzystki, którą można omamić blaskiem klejnotów.

— Miałeś rację, Hugo — przyznał smętnie książę. — Teraz będę musiał zacząć od początku.

— Równie dobrze możesz uznać się za pokonanego, mój drogi. Lepszy od ciebie pukali bezskutecznie do tych drzwi.

— Lepszy ode mnie? Do diabła! Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał książę wojowniczym tonem.

Lord Marston wybuchnął śmiechem.

— Nie spodziewałem się, Iwanie, że doczekam dnia, gdy kobieta, której chcesz oddać serce, nie wpada ci w ręce jak przejrzała brzoskwinia!

— Poczekaj! — odparł książę. — To dopiero początek! W końcu mi się uda i wtedy będziesz łaskaw oddać mi Kingfishera.

— Pojeżdżę na nim jeszcze długo — stwierdził chełpliwie lord Marston.

— To się okaże — odparował książę. — Więc co, u diabła, zrobimy z dzisiejszym wieczorem?

Odwiedzili dwa przyjęcia, zorganizowane przez kobiety, deklarujące swą przynależność do la Gardę, czołowe *demi-mondainesy* przed którymi paryscy dżentelmeni chylili głowy, jakby były pogańskimi boginiami. Lord Marston nie miał wątpliwości, że jego przyjaciel jest znudzony, poszli więc dalej, do jednego z *Maisons de Plaisir* w którym madame powitała ich wylewnie, pokazując najbardziej ponętne i pełne ekspresji *cocottes*. Książę najwyraźniej coraz bardziej się nudził i w końcu pojechali do jego domu na Polach Elizejskich.

— Dość wczesna pora, jak na ciebie — zauważył lord Marston. — Jest dopiero trzecia.

— Nie kładę się spać.

Lord Marston wydawał się zdziwiony.

— Więc co masz zamiar robić? — zapytał.

— Pojeżdżę konno — odparł książę.

W dziesięć minut później jechał kłusem wzdłuż Pól Elizejskich, poganiając konia do dzikiego galopu, gdy tylko dotarł do Bois. Lord Marston nie dotrzymywał mu towarzystwa. Wiedział aż za dobrze, że gdy

jego przyjaciel ma zmartwienie albo obmyśla jakiś niecny plan, jedynym sposobem na rozładowanie napięcia jest dla niego jazda konno.

— Rano poczuje się lepiej — powiedział do siebie lord Marston i udał się do łóżka.

O świcie obudził go wchodzący do pokoju książę, który był jeszcze w stroju do konnej jazdy. Nie wyglądał na zmęczonego. Wydawał się bardzo ożywiony i podekscytowany, jakby rozwiązał jakiś problem i był tym podniesiony na duchu.

— Idź sobie, Iwanie! — zaprotestował lord Marston. — Jesteś w odrażająco dobrej formie, a ja nie znoszę, kiedy budzi się mnie tak wcześnie.

— Robisz się wiekowy i stateczny, Hugo — odparł książę. — Zaraz wrócisz do swojej drzemki, ale chcę ci zadać tylko jedno pytanie.

— Jakie? — zapytał ospale lord Marston.

— Chodzi o nasz zakład — wyjaśnił książę. — Czy będzie się liczył, jeśli Lokita ulegnie moim prośbom... mimo woli?

Lord Marston usiadł na łóżku.

— Iwanie, co ty zamierzasz? Nie podoba mi się to.

— Zadałem ci pytanie i oczekuję odpowiedzi.

— Powiedziałaś — mimo woli? — dopytywał się lord Marston. — Co przez to rozumiesz? Nie możesz przecież zakuć dziewczyny w kajdanki i zaciągnąć na kolację.

Mówiąc to spojrział na księcia i zobaczył w jego oczach nagły błysk.

— Cokolwiek zamierzasz, daj sobie z tym spokój! — powiedział ostrym tonem. — A skoro mowa o naszym zakładzie, odpowiedź brzmi: nie! Dziewczyna ma zjeść z tobą kolację czy jakikolwiek inny posiłek zgodziwszy się na twoje towarzystwo.

— Tylko to chciałem wiedzieć — odparł książę. Ruszył w kierunku drzwi, ale lord Marston, już całkowicie obudzony, wyciągnął ręce, jakby chciał go zatrzymać.

— Iwanie, zachowuj się przyzwoicie! — rzekł rozkazującym tonem. — Jesteś teraz w Paryżu i nie możesz w cywilizowanym społeczeństwie wcielać w życie waszych barbarzyńskich, rosyjskich pomysłów, nie powodując bardzo nieprzyjemnych reperkusji.

— Kto powiedział, że chcę postąpić po barbarzyńsku? — zapytał książę. W jego głosie brzmiała nuta szczerości, której lord Marston nie dał się jednak zwieść.

— Nie wiem, co chcesz zrobić — stwierdził — ale założę się o sto tysięcy franków, że przysporzy ci to — i mnie także — mnóstwa kłopotów. Postaraj się pamiętać, Iwanie, że reprezentuję tu brytyjski rząd!

— Zawsze możesz wrócić do ambasady — powiedział drwiąco książę.

— I zostawić cię samego z twoimi niecnymi pomysłami? — spytał lord Marston. — Nic z tego! Spróbuję cię trochę przyhamować.

— Odkąd się znamy, nigdy ci się to nie udawało — zauważył ksiązę.

Lord Marston musiał przyznać, że stwierdzenie jego przyjaciela było aż nadto zgodne z prawdą, oznajmił jednak poważnie:

— Uważaj, Iwanie, żebyś nie posunął się za daleko. Sam mówiłeś, że St Petersburg jest teraz dla ciebie zamknięty. Pozostaje tylko Paryż i Londyn, jeśli więc zrobisz coś naprawdę oburzającego, do tych miast też nie będziesz miał wstępu.

Ksiązę nic nie odpowiedział. Lord Marston patrzył na niego z zatroskaniem.

— Poza tym — odezwał się innym już tonem — podziwiając wczoraj taniec Lokity pomyślałem, że szkoda by było, gdybyś ty czy ktokolwiek inny zmarnował jej talent. Jest niepowtarzalna, doskonała i nieskalana jak kwiat.

— Musze się z nią spotkać — upierał się ksiązę.

— Ale dlaczego? — zapytał lord Marston. — Na świecie są miliony innych kobiet.

Ksiązę przeszedł przez pokój, aby otworzyć szerzej okno.

— Czuleś kiedyś, Hugo, że kieruje tobą przeznaczenie?

— Czyżbyś naprawdę mnie o to pytał? — zdumiał się jego przyjaciel.
— Słyszałem dostatecznie często, jak mówiłeś, że nie wierzysz w żadne przeznaczenie, karmę, czy cokolwiek innego prócz ludzkiej woli i determinacji.

— Zawsze wierzyłem, że jestem panem własnego losu — przyznał książę, wyglądając przez okno.

— Mówiłem sobie, że mogę pokierować swoim życiem jak mi się podoba. Cokolwiek robiłem, panowałem nad tym. Nie było mowy, żeby ktoś mną manipulował, człowiek czy istota nadludzka,

— A teraz? — zapytał lord Marston.

— Czuję się tak, jakby niosła mnie fala przyływu — stwierdził książę.
— Wiem, że muszę spotkać się z Lokitą, że to przeznaczenie kazało ci zabrać mnie do teatru.

— Bzdura! — rzekł stanowczo lord Marston.

— Czujesz się tak tylko dlatego, że dziewczyna nie poszła z tobą na kolację. Może ustąpi, jeśli wystarczająco często będziesz ją namawiał. A tymczasem nie zamierzam ciągnąć cię

nigdzie ze sobą, skoro masz być tak markotny i nietowarzyski jak wczoraj wieczorem.

— Kim ona jest? Jak mogę ją odnaleźć? Gdzie mieszka? — dopytywał się z zapalem książę.

— Śmiem twierdzić, że jeśli trochę ruszysz głową, wszystkiego się dowiesz — odparł lord Marston.

— Tymczasem, ponieważ jest dopiero piąta rano, może zechciałbyś pójść do łóżka i pozwolić mi jeszcze pospać?

— Problem w tym, Hugo — stwierdził książę — że nie potrafisz wznieść oczu do gwiazd, bo zbyt mocno stoisz na ziemi.

Wyszedł z pokoju trzaskając drzwiami.

Lord Marston roześmiał się i przyłożywszy głowę do poduszki zamknął oczy. Dobrze się stało, że Iwan nie dostał od razu wszystkiego, na co przyszła mu ochota. Przez całe życie był rozpieszczany i taka nauczka od dawna mu się należała. Zасыpiając lord Marston myślał, jak bardzo przyjaciele będą mu zazdrościli, kiedy zobaczą Sulimana.

Następnego ranka, podczas konnej przejażdżki z Sergem w Bois, Lokita myślała o księciu i miała wrażenie, że musi być doskonałym jeźdźcem. Czytała często, jak wspaniale jeżdżą konno Rosjanie i Węgrzy, jak dzikie i wytrzymałe są ich rumaki.

Kiedy była sama z Sergem, mogła rozmawiać o Rosji bez zastrzeżeń, jakie miała zawsze do tego tematu Andy.

Serge, pochodzący z południa Rosji, służył u niej odkąd sięgała pamięcią. Był jej strażnikiem i obrońcą. Wiedziała, że ojciec miał do niego bezgraniczne zaufanie. Był to wysoki, chudy mężczyzna o wystających

kościach policzkowych. Gdyby tylko zaszła potrzeba, oddałby życie za Lokitę, podobnie jak gotów był zginąć za jej ojca.

Ale nawet Serge, pomyślała Lokita, gdy jechali konno wśród drzew, znał tajemnice, których nie chciał jej wyjawiać. Wiedziała, że to Andy nakazała mu milczenie i była na tyle delikatna, by nie wprawiać Rosjanina w zakłopotanie, pytając go o sprawy, które miał polecenie przed nią zataić. Uważała jednak, że to wszystko jest bardzo intrygujące.

Dlaczego musi wieść takie dziwne, samotne życie, mając przy sobie tylko trzy osoby, z którymi może swobodnie rozmawiać?

Co innego, gdy chodziło o jej licznych nauczycieli i guwernantki. Rozumiała, że musi trzymać ich na dystans i nie powinna pozwolić, by wtrącali się w jej życie osobiste, chociaż miała świadomość, że wielu spośród tych ludzi się nim interesowało.

— Ma pani intelekt męczyzny, *m'mselle* — oświadczył jej leciwy nauczyciel literatury. — Jak zamierza pani wykorzystać tak rozległe wykształcenie?

— Wykorzystać? — zapytała Lokita.

— Talentu nie należy marnować, moja młoda damo — odparł profesor. — Może powinna pani napisać książkę albo porozmawiać z wybitnymi ludźmi, którzy są teraz w Paryżu. — Zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał: — Jakże bym pragnął, żeby poznała pani wybitne postacie

współczesnej sztuki i literatury, jak Arenę Houssaye, Dumas, Gustave Flaubert czy nawet George Sand.

— Ja także chciałabym poznać tych ludzi — odparła Lokita. — Omawiając ich twórczość bardzo mi ją pan przybliżył.

— Powinna pani otworzyć własny salon, m'mselle — stwierdził profesor, ale Lokita pokręciła tylko głową.

Ta rozmowa miała miejsce przed dwoma miesiącami, zanim konieczność zmusiła ją do zarabiania na scenie. Nie sposób było zapomnieć wyrazu twarzy panny Anderson, gdy weszła do pokoju trzymając w ręce list.

— O co chodzi, Andy? — zapytała Lokita.

— List od adwokatów twojego ojca.

Na samo wspomnienie o nim do pięknych oczu Lokity napłynęły łzy.

Dowiedziały się zaledwie przed sześciu tygodniami, że zmarł w Londynie i Lokicie wydawało się, że nigdy nie będzie szczęśliwa. Tak bardzo kochała tego przystojnego, błyskotliwego człowieka, zmuszonego przez okoliczności, których ani on, ani nikt inny nigdy jej nie wyjaśnił, do widywania córki tylko od czasu do czasu.

Lokita wiedziała, że chodzi o jej matkę, nie miała jednak pojęcia, co się wydarzyło i dlaczego wszystko musi być trzymane w takiej tajemnicy. Zdawała sobie jedynie sprawę, że ilekroć wspomniała o matce, na twarzy

ojca pojawiał się niewysłowiony smutek, a ponieważ bardzo go kochała, podczas tych bezcennych chwil, które ze sobą spędzali, poruszała inne tematy. Pamiętała matkę, ale z upływem lat jej obraz stawał się coraz bardziej mglisty.

Miałam siedem lat, kiedy widziałam ją po raz ostatni — pomyślała. — I to tylko przez jeden dzień.

Jacht jej ojca, na którego pokładzie Lokita przeżywała wspaniałe chwile podczas rejsu przez Morze Czarne, zawinął pewnego dnia późnym wieczorem do portu w Odessie, a gdy się ściemniło, ojciec zszedł na ląd. Nie wrócił już tej nocy, a następnego ranka powiedział:

— Lokito, pójdziemy spotkać się z moją bardzo dobrą znajomą. To piękna kobieta i przyjaciółka twojej mamy.

Lokita nie okazała szczególnego zainteresowania. Na jachcie było o wiele ciekawiej, ojciec zabrał ją jednak na ląd, do stojącej we wspaniałym ogrodzie willi i tam, pod drzewami, oczekiwała ich jakaś dama. Wiele lat później Lokita doszła do wniosku, że spotkali się w ogrodzie, aby nie podsłuchano ich rozmowy. Czuła się wówczas oszołomiona, gdyż na jej widok kobieta wybuchnęła płaczem. Potem uklękła i przyciskając Lokitę do siebie zaczęła ją całować.

— Moja słodka! Moja kochana! Moja najdroższa, mała Lokita! — mówiła przez łzy.

Dopiero w siedem lat później Lokita miała zdać sobie sprawę, że tą płaczącą kobietą była jej matka. Któregoś dnia ojciec odwiedził Lokitę w Paryżu w małym domku, który kupił dla niej w pobliżu Bois. Gdy tylko przyjechał, zorientowała się natychmiast, że coś jest nie w porządku.

— Co się stało, tatusiu? — zapytała.

— Dostałem właśnie bardzo smutną wiadomość — odpowiedział jej ojciec.

Mówił przytłumionym głosem, w którym było tyle bólu, że Lokita instynktownie objęła go ramionami. Zawsze, gdy przychodził ją odwiedzać, zdawał się emanować radością i dziewczyna także śmiała się ze szczęścia. Ale tym razem było inaczej.

— Co się stało, tatusiu?

— Twoja mama... umarła! — powiedział z trudem.

— Umarła? — powtórzyła za nim Lokita. — Ale ja... nie wiedziałam... że ona żyje.

— Żyła przez te wszystkie lata — odparł jej ojciec. — Tyle że nie wolno jej było cię widywać. Uznaliśmy, iż zrobimy lepiej mówiąc ci, że umarła.

— Dlaczego nie mogła mnie widywać? — zapytała Lokita.

— Tego ci nie powiem — stwierdził jej ojciec. — Musisz mi zaufać, Lokito, tak jak zawsze.

— Oczywiście, że ci ufam, tatusiu, ale to wszystko jest bardzo dziwne. Dlaczego nic nie wiedziałam o mamie? I dlaczego nie mogę z tobą zamieszkać, jak inne dzieci mieszkają ze swoimi ojcami?

— Może pewnego dnia wszystko ci wyjaśnię — powiedział jej ojciec — ale na razie to niemożliwe. Musisz mi uwierzyć, moja najdroższa córeczko — to niemożliwe!

— Jaka była moja matka? — zapytała Lokita.

— Nie pamiętasz jej z Odessy?

— To była mama? Była bardzo piękna.

— Najpiękniejsza na świecie — stwierdził jej ojciec.

Zadrzał mu głos i Lokita zrozumiała, jak bardzo cierpi. Wiedziała, że nie ma sensu zadawać mu niezliczonych pytań, na które nie mógł odpowiedzieć, więc tylko przytuliła go i pocałowała. A potem, wiedząc, że sprawi tym ojcu przyjemność, zatańczyła dla niego.

Ojciec chciał koniecznie, aby nie ustępowała wdziękiem i zdolnościami swoim rówieśniczkom, zaangażował więc madame Albertini, by uczyła ją salonowych tańców.

To ona odkryła u Lokity sceniczny talent.

Madame Albertini uczęszczała do szkoły baletowej, ale na dość wczesnym etapie kariery potknęła się na scenie, złamała nogę i nie mogła już więcej tańczyć.

Ponieważ tak dobrze znała się na balecie, zaczęła dawać lekcje kilku dziewczętom z arystokratycznych rodzin we Francji. Doszła do wniosku, że aby potrafiły poruszać się z gracją, należało je nauczyć wyrażania własnych uczuć za pomocą gestów. Wiele francuskich debiutantek, niezdarnych i pozbawionych wdzięku, pod kierunkiem madame nabrało zgrabności ruchów i jej sława rosła.

Lokita okazała się uczennicą tak niezwykle wrażliwą, tak fantastycznie uzdolnioną do wyrażania swych myśli w tańcu, że madame po każdej lekcji nie znajdowała słów zachwyty.

— To hańba, że nikt nie ogląda jej występów — powtarzała ciągle pannie Anderson.

Nie mogła pojąć rezerwy, z jaką przyjmowano, jej zachwyty.

— Księżniczka Matylda zaprasza na swoje przyjęcia różnych artystów — mówiła madame. — W jej salonie grano jedną z komedii Musseta, a La Revanche de Scapin Theodora de Bauville przedstawiono w obecności cesarza i cesarzowej. — Spojrzała na pannę Anderson, mówiąc z naciskiem: — Gdybym szepnęła słówko księżniczce, zaprosiłaby Lokitę nie tylko jako wykonawczynię, ale jako swego gościa.

— Nie! — sprzeciwiła się stanowczo panna Anderson. — Jak pani dobrze wie, madame, godząc się uczyć Lokitę, zobowiązała się pani nie wspominać o niej nikomu poza czterema ścianami tego domu.

— Wiem! Wiem! — przyznała madame. — Ale ona ma taki talent! To zbrodnia ukrywać robaczka świętojańskiego pod kapeluszem!

Madame zaśmiała się z własnego dowcipu, ale panna Anderson nie podzielała jej wesołości.

Kiedy nastał kryzys, i gdy panna Anderson dowiedziała się od adwokatów, że prowadzone jest dochodzenie w sprawie pieniędzy, które pozostawił Lokicie jej ojciec, zwróciła się do madame o pomoc.

— Chce mi pani powiedzieć, że to dziecko, które wyęhowywano w luksusie, pozostało zupełnie bez grosza? — zapytała madame.

— Mam trochę oszczędności — stwierdziła panna Anderson. — Bardzo niewiele. Mogłybyśmy, oczywiście, sprzedać dom, ale dokąd pójdziemy? Ponieważ należy do Lokity, nie płacimy czynszu i byłoby taniej w nim pozostać.

— O wiele taniej! — przyznała stanowczo madame. — W Paryżu czynsze strasznie idą w górę. Baron Haussmann zburzył połowę tańszych domów i zbudował na ich miejscu

komunalne rezydencje.

Był to temat powszechnych narzekań. Panna Anderson nie chciała dać się wciągnąć w dyskusję o tej sprawie.

— Zastanawiałam się, madame, czy Lokita nie mogłaby pomóc pani w prowadzeniu zajęć z uczennicami i zarobić w ten sposób trochę pieniędzy?

— Strata czasu i talentu! — stwierdziła madame. — Powinna występować na scenie.

— To niemożliwe! — oświadczyła panna Anderson. — Absolutnie niemożliwe!

Powtarzała to samo jeszcze po czterdziestu ośmiu godzinach nieustannych dyskusji. Ale w końcu, wobec beznadziejności sytuacji, skapitulowała.

— Ale dlaczego nie mogę dostać pieniędzy, które zostawił mi tata? — dopytywała się Lokita, kiedy wyjaśniono jej całą sprawę.

— Ponieważ twoja ciotka, siostra ojca, jest wścibską, dociekliwą kobietą — odparła panna Anderson. — Twój ojciec zawsze żywił obawy, że dowie się o twoim istnieniu.

— A dlaczego miałyby się nie dowiedzieć? — zapytała Lokita.

Znała odpowiedź, zanim Andy oznajmiła:

— Są powody, bardzo ważne powody, dla których fakt twojego istnienia musi pozostać tajemnicą.

— Skoro tata zmarł, czy nie możesz mi ich wyjawić? — zapytała.

— Pewnego dnia się dowiesz — odparła panna Anderson — ale jeszcze nie teraz. To niemożliwe!

Lokita nienawidziła tego słowa. „Niemożliwe" to, „niemożliwe" tamto. Nie mogła mieć przyjaciół, nie mogła rozmawiać o księciu Iwanie Wołkońskim, nie wspominając już o przyjęciu od niego kwiatów i prezentu. Chociaż jednak Andy tyle razy mówiła „niemożliwe" Lokita otrzymała pozwolenie, żeby zarabiać naprawdę ogromne, jak jej się wydawało, sumy pieniędzy w *Théâtre Imperial du Chatelet*.

Oczywiście to madame Albertini przyprowadziła właściciela teatru i reżysera, aby zobaczyli jej taniec. Lokita była wystarczająco spostrzegawcza, by zauważyć, że dwaj mężczyźni, którzy przyjechali do niewielkiego domku w Bois, odnosili się wyjątkowo sceptycznie do tego, co mieli zobaczyć. Widziała niemal, jak cisną im się na usta słowa „amatorka" i „niemożliwe".

Trzymając w rękach laseczki i cylindry, usiedli w swych surdutach na skraju sofy w niewielkim salonie, a madame podeszła do pianina.

— Nie denerwuj się, *chérie* — powiedziała cicho do Lokity, ubranej w prostą, białą sukienkę, którą zakładała na lekcje.

Postanowiła opanować tremę wiedząc, że chodzi o sprawdzian jej umiejętności. Miała poza tym nieodparte uczucie, że ojciec chciałby, aby wypadła jak najlepiej.

Pomyślała najpierw o madame, która zadała sobie tyle trudu, by nie tylko namówić do przyjścia owych dżentelmenów, ale i przekonać pannę Anderson. A potem, kiedy zaczęła myśleć o ojcu, wszystko stało się proste. Tańczyła dla niego tak jak wtedy, gdy ją odwiedzał, czując, że muzyka

podpowiada jej, co robić, że wyraża nie tylko to, co ma w myślach i w sercu, lecz także w duszy. Tańczyła zapominając o wszystkim oprócz tego, co próbowała wyrazić bez słów. Dopiero gdy skończyła i zapadła pełna zdumienia cisza, Lokita zdała sobie sprawę, że odniosła całkowity sukces.

Teraz kiedy jechała przez Bois, dziwna myśl przemknęła jej przez głowę. Była na swój sposób tak ekstrawagancka, że sama poczuła się zaskoczona. Pomyślała, że chciałaby zatańczyć specjalnie dla księcia Iwana i widzieć uznanie w jego ciemnych oczach.

Wiedziała, że musiał być na widowni poprzedniego wieczoru, zanim przyszedł za kulisy. Wiedziała, że był jedną z setek osób, które tak gorąco oklaskiwały ją i krzyczały, aby wyszła się ukłonić, a tego Andy jej zabraniała i było to uwzględnione w kontrakcie.

Zupełnie inaczej tańczyła dla ojca, czując jego sympatię i zrozumienie. Opowiadała mu wtedy o swoim szczęściu, radościach i niepokoju, gdy przez długi czas nie mógł jej odwiedzać. Kiedy przestawała tańczyć, podbiegała do ojca i obejmowała go za szyję, a on przytulał ją mocno i całował, zanim coś powiedział.

Lokita poczuła, że się czerwieni.

— Oczywiście, nie zrobiłabym tego z księciem! — powiedziała do siebie. — Ale mimo wszystko chciałabym zatańczyć specjalnie dla niego.

ROZDZIAŁ 3

Lokita i Serge galopowali przez mało uczęszczane okolice Bois, gdzie jeździło konno niewiele znanych osób.

To cesarz postanowił zamienić *Bois de Boulogne* w angielski park i wielu Francuzów uważało, że zniszczył miejsce, będące przedtem dzikim rajem. Teraz, jak to ktoś określił, „nawet kaczki były mechaniczne, a drzewa wyglądały tak, jakby zostały namalowane na płótnie dla *Théâtre des Variétés*”.

Nadal istniały jednak w Bois tereny, na które nie wtargnął ani cesarz, ani monsieur Varé, jego ogrodnik, i tam właśnie Lokita udawała się na przejażdżki. Z zaróżowionymi od wysiłku policzkami ściągnęła koniowi cugle i zatrzymała go w cieniu drzewa, a gdy Serge znalazł się obok niej, zapytała obojętnym na pozór głosem:

— Czy będąc w Rosji, Serge, słyszałeś kiedyś nazwisko Wołkoński?

— Ależ oczywiście, moja *kniażna* — odparł Serge. — To nazwisko znanego szlacheckiego rodu.

Kiedy byli sami Serge zawsze nazywał Lokitę *kniażna*, co znaczyło „księżniczka”.

Pamiętała, jak często mówił do niej, gdy była jeszcze dzieckiem: „Wezmę cię na barana, moja mała *kniażna*” i podnosił ją do góry, a ona śmiała się uradowana, że jest tak wysoko nad ziemią. Teraz pannę Anderson drażniło, że nie zwraca się do niej *mademoiselle*.

— Jesteśmy we Francji, Serge — napominała surowym tonem — i powinieneś mówić „*mademoiselle* Lokita”.

Serge pochylał głowę, posłuszny jej poleceniu, ale kiedy był z Lokita sam, powracał do słowa, którym zawsze — jak wiedziała — określał ją w myślach.

— Opowiedz mi o Wołkońskich — poprosiła.

— Już od dawna nic o nich nie słyszałem, kniaina — odparł — ale pamiętam, że byli bardzo bogaci, bardzo wpływowi i spokrewnieni ze Świętym Ojcem.

— Z carem Mikołajem? — zapytała Lokita, wiedząc, że Serge ma na myśli Mikołaja I, który panował w Rosji, gdy on tam mieszkał.

Zgodnie z jej oczekiwaniami wzrok Serge'a zachmurzył się jak zawsze, gdy wspominał o Mikołaju I, o którym Lokita wiedziała z historycznych książek, że był w owym czasie najbardziej przerażającym monarchą Europy. Po wstąpieniu na tron natychmiast zamienił swe ogromne

imperium w koszary. Władza monarsza stanowiła dla niego jedynie przedłużenie wojskowej dyscypliny.

Któregoś dnia Lokita, zaintrygowana tym, co przeczytała, zapytała ojca o cara Mikołaja.

Najpierw milczał, a potem odezwał się głosem, który z trudem rozpoznała:

— Jego lodowate spojrzenie siało strach w sercach dworzan i całego St Petersburga.

— Czy był okrutny, tato?

— Niewiarygodnie — odparł jej ojciec. — Wygnał księcia Jusupowa na Kaukaz za to, że zakochał się w dziewczynie, której nie aprobowała jego matka. Miał też przerażający zwyczaj uznawania za szaleńców tych, z którymi się nie zgadzał.

— On musiał być okropny, tato! — zawołała Lokita.

— Nienawidził go w Rosji każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko — stwierdził twardo jej ojciec. — Świat jest teraz lepszy.

Mówił z taką pasją, że Lokita zrozumiała, iż nawet samo wspomnienie cara Mikołaja osobiście go dotykało. Nie zadawała mu już więc żadnych pytań, ale czytała na temat cara, co tylko mogła.

Dowiedziała się, że zatrudniał bez skrupułów tysiące ludzi, aby zamieniali ogrody w orientalne pałace, a sale balowe w skalne ogrody z fontannami. Przy stole w Pałacu Zimowym mieściło się tysiąc osób, a

choć temperatura na zewnątrz wynosiła znacznie poniżej zera stopni, na galeriach kwitło tyle egzotycznych kwiatów, że goście mieli wrażenie, iż jest letni dzień.

Tymczasem chłopcy żyli w niewiarygodnym ubóstwie i nędzy. Nawet niektórzy urzędnicy, których przyodział w uniformy, obwiązywali stopy szmatami.

Ludzi zsyłano na Syberię za najdrobniejsze przewinienie, a choć kara śmierci została zniesiona, było jasne, że knut może człowieka zabić.

Mikołaj odznaczał się zresztą nie tylko okrucieństwem, ale i ekscentrycznością. Wymagał, aby profesorowie, studenci, inżynierowie i urzędnicy administracji państwowej chodzili umundurowani. Tylko wojskowi mieli prawo nosić wąsy i musiały one być czarne, w razie potrzeby farbowane.

Car wraz ze swą tajną policją zaprowadził rządy terroru. A równocześnie, jak wyczytała Lokita, był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w całym kraju.

Książki historyczne okazywały się często suche i nudne, lubiła więc słuchać opowiadań Serge'a o Rosji, choć tak niewiele mogła się od niego dowiedzieć o interesujących ją sprawach. Zastanawiała się właśnie nad tym, co mówił o księciu Iwanie Wołkońskim, gdy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ujrzała księcia jadącego konno w jej kierunku przez tę samą otwartą przestrzeń, po której galopowała właśnie z Sęrgem'em. Rozpoznała go od razu. Pomyślała, że nikt inny nie zakłada kapelusza

dokładnie pod takim kątem jak on, nikt inny nie prezentuje się tak wspaniale na czarnym ogierze, równie wyjątkowym jak dosiadający go jeździec.

Księżę podjechał bliżej i widziała teraz te dziwne, ciemne oczy, które podpatrzyła z ukrycia w teatrze, a także wygięcie ust, nadające jego twarzy lekko drwiący wyraz.

Lokita zauważyła, że zarówno księżę, jak i jego towarzysz byli znakomitymi jeźdźcami. Odniosła jednak wrażenie, że księżę jeździ konno w sposób bardzo spontaniczny, z typowo słowiańską brawurą. Usłyszała tętent kopyt i konie przemknęły obok niej z taką szybkością, jakby przeleciał tajfun. Potem widziała już tylko plecy księcia, gdy pogalopował dalej ze swym towarzyszem, znikając w końcu wśród drzew.

— To był księżę Iwan Wołkoński — powiedziała cicho.

— Jeździ konno jak Rosjanin — zauważył Serge, co w jego ustach oznaczało komplement.

Wrócili do małego domku, gdzie oczekiwała ich panna Anderson, Lokita nie wspomniała jednak, kogo widzieli podczas przejażdżki.

Po lekkim posiłku panna Anderson nakłoniła Lokitę, aby odpoczęła przed wieczornym występem. Położyła się w swej niewielkiej sypialni, nie spała jednak, tylko myślała o księciu.

Ładnie się nazywał.

— Iwan Wołkoński — powiedziała do siebie półgłosem, myśląc, jak banalnie brzmi w porównaniu z tym jej nazwisko.

Lokita Lawrence.

Nie ma w sobie nic szczególnie romantycznego, wiedziała jednak, choć nikt jej tego nigdy nie mówił, że ani ona, ani ojciec naprawdę się tak nie nazywali. Odkąd osiągnęła odpowiedni wiek, by samodzielnie myśleć, stało się dla niej oczywiste, że Andy z trudem wypowiada to nazwisko. Kiedy mówiła do jej ojca

„panie Lawrence”, zawsze się wahała, jakby musiała przypominać sobie, co powinna powiedzieć.

— Ale co za sens zadawać pytania? — pomyślała Lokita.

Nigdy nie otrzymywała na nie odpowiedzi, a z biegiem lat kwestia tego, kim jest i skąd pochodzi stawała się coraz większą zagadką.

Teraz wszystko wyglądało gorzej niż kiedykolwiek. Kim była owa ciotka, której dociekliwość uniemożliwiła jej przejęcie pozostawionych przez ojca pieniędzy?

— Zabezpieczyłem cię na całe życie, moja droga — powiedział do niej kiedyś. — Możesz przeżywać trudne chwile, ale będziesz zawsze miała wszystko, czego potrzebujesz.

Ponieważ Lokita kochała ojca, nie powiedziała mu, że jej największym pragnieniem jest zamieszkać z nim, mieć przyjaciół jak inne dziewczęta, a w przyszłości poślubić człowieka, którego obdarzy uczuciem. Mówiąc to,

sprawiłaby mu ból, nie wypowiadała więc cisnących się jej na usta słów, lecz zapewniała go, że czuje się szczęśliwa, bo w istocie tak było. Chciała się uczyć i stwierdziła, że wypełniające jej dni zdobywanie wiedzy z wielu różnych dziedzin jest interesujące. Czego nie dowiedziała się od nauczycieli, wyczytywała sama z książek. Odwiedzały z Andy muzea i teatry, kupując zazwyczaj bilety na poranki, gdyż panna Anderson nie lubiła wychodzić wieczorami.

Poznawały przedmieścia Paryża i bywały na mszy w różnych kościołach, także w katedrze Notre Dame.

— Jakiego jestem wyznania? — zapytała kiedyś Lokita.

Andy zawahała się, zanim odparła:

— Twój ojciec należy do kościoła anglikańskiego— A matka?

Znowu nastąpiła chwila milczenia, po czym Andy odpowiedziała niemal niechętnie:

— Była wyznania prawosławnego.

— To dlatego jedyną po niej pamiątką jest ikona w mojej sypialni.

Miała ją od dzieciństwa. Była to piękna ikona, bardzo stara, obramowana diamentami, ametystami i perłami. Lokita dotykała jej czasem, jakby sądziła, że dowie się w ten sposób czegoś o matce. Nie bardzo potrafiła sobie przypomnieć kobietę, która trzymała ją w ramionach i płakała. Jednego Lokita była całkowicie pewna: przemawiało do niej

wszystko, co rosyjskie. Miała też świadomość, że właśnie ta domieszka rosyjskiej krwi budziła obawy panny Anderson.

— Opowiedz mi o mamie — prosiła.

Ale Andy kręciła tylko głową i mówiła o ojcu, o tym, jaki jest dobry i prawy.

Niewielka to była pociecha, skoro tak rzadko go widywała.

Teraz Lokita uznała, że po raz pierwszy jest jak motyl wyłaniający się z poczwarki. Nie mogła wprost uwierzyć, że przez ostatni miesiąc pozwolono jej naprawdę tańczyć na scenie. Fakt, że i tak musiała zachowywać się w dziwny sposób. Nie rozmawiała z nikim w teatrze, Andy zabierała ją za kulisy i wychodziły pospiesznie, gdy tylko Lokita się przebrała. A jednak było to jak przepustka z więzienia, bardzo wygodnego, ale mającego zakratowane drzwi i okna.

Leżąc na łóżku z zamkniętymi oczami Lokita zastanawiała się, co by było, gdyby poszła na kolację z księciem, przyjąwszy jego zaproszenie. Czytała wiele razy zdanie, które napisał na odwrocie wizytówki:

„Zjedz ze mną kolację, a uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!”

Mówiła sobie, że to oczywiście tylko konwencjonalny zwrot, a jednak czuła, że chciałaby go uszczęśliwić. Było w nim coś, co w

niewytłumaczalny sposób do niej przemawiało, tak jak jego kwiaty. Nawet broszka w kształcie motyla, której przysłanie Andy uznała za zniewagę, wydawała się Lokicie w najlepszym guście.

— Chyba nigdy z nim nie porozmawiam — powiedziała do siebie lekko wzdychając. Ale na myśl o tym narastał w niej gwałtowny bunt.

Pojechały jak zwykle do teatru wynajętym fiakrem, który sprowadził Serge, gdy nadeszła pora wyjścia z ich niewielkiego domku. Lokita zdawała sobie sprawę, że panna Anderson miałaby ochotę zabrać Serge'a ze sobą jako obstawę, ale uznała, iż mogłoby to wywołać niepotrzebne komentarze i wyglądać zbyt ostentacyjnie. Z tego także powodu nie wynajmowała powozu, aby zabierał je do teatru i czekał, aż będą gotowe do powrotu. Inni artyści brali dorożki z postoju przed teatrem i tylko damy mające bogatych protektorów dysponowały własnymi powozami albo zabierane były przez dżentelmenów, którzy chcieli pokazać się w ich towarzystwie na kolacji w jednym z wielu modnych lokali.

Czekając tego wieczoru za kulisami Lokita nie koncentrowała się na tańcu i na tym, co chciała wyrazić, lecz wyglądała zza kurtyny na widownię. Teatr był jak zwykle zatłoczony i publiczność oklaskiwała gorąco scenę z Lazurowym Jeziorem i pływającymi w wodzie nimfami. Widząc długie rzędy widzów w fotelach na parterze, kobiety ze lśniącą biżuterią i mężczyzn w sztywnych białych koszulach, Lokita chyba po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jej publiczność tworzyli ludzie, prawdziwi ludzie z krwi i kości, którzy poruszali się, myśleli i czuli tak jak ona. Ponieważ dotąd myślała tylko o swoim tańcu, a wszystko, co znajdowało

się poza rampą, stanowiło tylko błękitną mgiełkę, odbierała publiczność wyłącznie jako pozbawiony materialnej postaci zgiełk.

Przeniósłszy wzrok z parteru na balkon zobaczyła księcia. Znajdował się z drugiej strony teatru, w wielkiej łoży z czerwonymi zasłonami z aksamitu i złotymi zdobieniami. Był sam, nikt mu nie towarzyszył. Nie patrzył na scenę, gdzie występowali komicy, lecz rozglądał się po sali, niecierpliwie bębniąc palcami o parapet łoży.

— Lokita!

Głos panny Anderson zabrzmiał ostro i Lokita puściła kurtynę, zza której wyglądała.

— Skoncentruj się i myśl tylko o tańcu — rzekła panna Anderson takim tonem, że Lokita poczuła się winna. Zaczęła oddychać powoli i rytmicznie, jak uczyła ją madame Albertini.

Wkrótce przy wtórze burzliwych oklasków komicy wybiegli za kulisy i na scenie przygasły światła.

Lokita wiedziała już, że tego wieczoru będzie tańczyć dla księcia, tak jak kiedyś tańczyła dla swego ojca. Jak zwykle porwała ją muzyka i bardziej czuła niż ogarniała myślami to, co przedstawiała. Miała świadomość, choć stanowiło to ukrytą w jej sercu tajemnicę, że wszystko co robi, każdy gest, dedykuje patrzącemu na nią mężczyźnie. Wydawało jej się, że są sami i nie ma wokół nikogo więcej. Ponieważ pragnęła sprawić mu przyjemność, każdy jej gest był prawdziwszy, bardziej przekonujący niż kiedykolwiek.

Kiedy zeszła ze sceny po drugim tańcu, stojący za kulisami inni wykonawcy i nawet maszyści zgotowali jej owację.

— *Magnifique! Bravo! Vous etes superbe!* — Słyszała za sobą ich entuzjastyczne okrzyki, gdy Andy prowadziła ją pospiesznie po żelaznych schodkach do garderoby.

— Szybciej! Szybciej! — ponaglała. Odsunawszy na bok kwiaty weszła za kotarę, aby pomóc Lokicie zdjąć grecką tunikę i przebrać się w zwykły strój. Najwyraźniej ogromnie się spieszyła, żeby jak najszybciej wyjść z teatru. Lokita nie miała wątpliwości, że i ona zauważyła obecność księcia Iwana w królewskiej łoży.

Zapiąwszy Lokicie na plecach ostatni guzik, panna Anderson okryła jej ramiona peleryną i otworzyła drzwi garderoby zanim dziewczyna zdążyła założyć na głowę kaptur. Zeszły pospiesznie po żelaznych schodach. Lokicie wydawało się, że Andy odetchnęła z ulgą, kiedy okazało się, że przy wyjściu nikt na nie nie czeka.

Wsiadły do najbliższego fiakra i woźnica strzelił z bata. W powozie pachniało jak zwykle podniszczoną skórą, sianem i brudem. Lokita opadła na siedzenie, nie tyle zmęczona, co wyczerpana, jakby dała z siebie tak wiele, że w środku miała już niemal pustkę.

Czy odebrał to, co próbowała mu ofiarować? — zastanawiała się, a ponieważ była tak bardzo rozemocjonowana, z zadowoleniem przyjęła fakt, że Andy nie ma ochoty do rozmowy.

Minęły bulwary i jechały teraz wzdłuż spokojniejszych, bardziej willowych ulic, które prowadziły w kierunku Bois. Nagle rozległy się jakieś męskie głosy i woźnica zatrzymał konie. Zaledwie panna Anderson zdążyła pochylić się do przodu pytając: „Co się dzieje?“, otwarto gwałtownie drzwi i do powozu wsiadł jakiś mężczyzna. Był w czarnej masce, a w ręce miał pistolet.

Lokita cicho krzyknęła i panna Anderson, obejmując ją opiekuńczym ramieniem, zapytała gniewnie:

— Kim pan jest i czego pan chce?

— Nie ma się czego obawiać, mesdames — odparł nieznajomy. — Nic się paniom nie stanie, jeśli spokojnie udacie się ze mną.

— Dokąd? — zapytała panna Anderson.

— Tego dowiedzie się później.

— To oburzające! Nie ma pan prawa tak postępować!

— Nic pani na to nie poradzi — powiedział mężczyzna. — Więc proszę siedzieć cicho.

Jego akcent świadczył, że nie jest człowiekiem wykształconym, lecz sługą.

Służący z klasą — pomyślała Lokita — ale jednak tylko służący.

Na zewnątrz słychać było wciąż głosy i wydawało jej się, że ktoś wdrapał się na kozioł dorożki i odebrał woźnicy lejce. Konie z całą pewnością biegły szybciej.

Ponieważ Andy była równie wściekła co zaniepokojona, Lokita nie odczuwała właściwie strachu. Doznała szoku, gdy do powozu wsiadł zamaskowany mężczyzna, ale wyglądało to tak teatralnie, że nie wydawało się prawdziwe.

Jeśli zostały porwane, jeśli o to chodziło, jaki mógł być powód? Miały z pewnością za mało pieniędzy na zapłacenie okupu. Nagle Lokicie przyszło do głowy, że ponieważ gra ważną rolę w przedstawieniu teatralnym, może ten człowiek i jego wspólnicy liczą na wymuszenie znacznej sumy od realizatorów „Kopciuszka”, którym zależy na jej występach. Miała świadomość, że gazety uznały ją za jedyną oryginalną i niezwykłą artystkę w całym przedstawieniu. Thćophile Gautier, pisarz i poeta, w swej recenzji „Kopciuszka” w „Le Rire”, przybrał ton znudzonego podziwu, ale o niej wyrażał się nadzwyczaj entuzjastycznie.

— Pewnie dlatego mnie porwali — powiedziała do siebie Lokita.

Miała nadzieję, że niewielkie oszczędności, które Andy deponowała co piątek w banku, nie zostaną zagrabione w chwili, gdy tak bardzo ich potrzebowały.

Jechali dalej w milczeniu, a zamaskowany mężczyzna ciągle wyglądał przez okno, jakby nie mógł się doczekać, kiedy dotrą na miejsce. W pewnej

chwili pojawiło się więcej gazowych latarni, a ulica stała się szersza i bardziej reprezentacyjna. Lokita odnosiła wrażenie, choć nie była tego pewna, że są w pobliżu Pól Elizejskich.

Minęli żelazne ogrodzenie i zatrzymali się przed portykiem jakiegoś dużego budynku.

Siedzący w powozie mężczyzna otworzył drzwiczki i wyskoczył na zewnątrz.

— Proszę wysiąść, *mesdames* — powiedział.

— Chcę wiedzieć, gdzie pan nas przywiózł? Co to za miejsce? — zapytała panna Anderson.

— Wszystko się potem wyjaśni — odparł zamaskowany mężczyzna. — Proszę wysiąść i nie dyskutować.

Było oczywiste, że muszą go słuchać. Panna Anderson wysiadła pierwsza, a za nią Lokita.

Zauważyła, że oprócz mężczyzny, który siedział z nimi w powozie, było jeszcze dwóch innych. Uznała, że koziół musiał ucierpieć z powodu takiego obciążenia i zrobiło jej się żal woźnicy.

Nie było jednak czasu nad niczym się zastanawiać. Otwarto drzwi domu i pośpiesznie wprowadzono obie kobiety do środka. Wewnątrz znajdowało się kilka świec, stojących — o dziwo — na podłodze. Lokita szybko zdała sobie sprawę, że dom jest pusty i nie umeblowany. Szły korytarzem pokrytym grubą warstwą kurzu. Otwarto jakieś drzwi, wprowadzając je do

pomieszczenia, które niegdyś stanowiło zapewne salon. Było także puste, jeśli nie liczyć dwóch twardych krzeseł. Na kominku stały trzy świece, rzucając w obszernym pokoju ciemne tajemnicze cienie.

— Zechce nam pan powiedzieć, po co zostałyśmy tu przywiezione? — zapytała panna Anderson, a jej głos odbijał się echem w pustym salonie.

— Kiedy przyjedzie mój pan, wszystko paniom wyjaśni — odparł zamaskowany

mężczyzna.

Poszedł przodem, nadal trzymając w prawej ręce pistolet, i wskazał na krzesła.

— Proszę usiąść, *mesdames* — powiedział. — Gdyby panie próbowały uciekać albo krzyczeć, zostaną panie związane i zakneblowane.

Panna Anderson podeszła dumnie, jakby kroczyła na gilotynę, do jednego z krzeseł i usiadła. Idąca za nią Lokita również zajęła miejsce.

Mężczyzna zamknął drzwi i opierając się o ścianę obserwował obie kobiety.

— Nie potrzebujesz się bać — powiedziała panna Anderson do Lokity po angielsku. — Nie sądzę, żeby chcieli nam coś zrobić, ale obawiam się, że będziemy musiały zapłacić okup, zanim nas uwolnią.

— Też tak przypuszczam — stwierdziła Lokita. — Jak myślisz, ile zażądają?

— Nie dostaną więcej niż mamy w banku — odparła panna Anderson.

Zacisnęła usta. Lokita wiedziała, jak wiele kosztowałaby ją utrata pieniędzy, które zgromadziły po tak długich sporach. Andy sprzeciwiała się stanowczo jej występom na scenie i dopiero nabrawszy przekonania, że nie mają innego wyjścia, ustąpiła naleganiom madame Albertini. A teraz wszystkie pieniądze mieliby zagarnąć ci rabusie, ci bandyci.

— Wyobrażam sobie — stwierdziła panna Anderson innym już tonem — że prawowity gospodarz tego domu byłby nieco zaskoczony, wiedząc, do czego posłużyła jego własność.

— To musi być ktoś ważny — powiedziała Lokita. — Dom jest bardzo duży i robi imponujące wrażenie.

— Mam tylko nadzieję, że policja złapie tych łajdaków i że czeka ich zesłanie.

Lokita zamierzała właśnie odpowiedzieć, gdy nagle za drzwiami pokoju powstało jakieś wielkie zamieszanie. Słysząc było krzyki mężczyzn i odgłosy jakby walnej bitwy.

Rozległy się dwa wystrzały z pistoletów! Było to tak przerażające, że panna Anderson i Lokita niemal bezwiednie zerwały się na nogi i przyłgnęły do siebie. Pilnujący ich w pokoju mężczyzna zawołał:

— *Sacre nom!* Ktoś musiał nas zdradzić! — Otworzył drzwi i przyłączył się do bijatyki.

— Co się tam dzieje? — zapytała szeptem Lokita.

— Może zdołamy uciec — zasugerowała panna Anderson.

Zaledwie odwróciła się w kierunku okna, znowu otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł jakiś człowiek. Gdy Lokita na niego spojrzała, serce podskoczyło jej w piersi. To był książę!

W prawej ręce trzymał pistolet. Podchodząc do nich przełożył go do lewej ręki i odezwał się po angielsku:

— Wszystko w porządku, moje panie. Nic wam nie grozi! Jestem książę Iwan Wołkoński, a moi słudzy rozprawiają się już z łajdakami, którzy panie porwali.

— Kim oni są? Czego chcieli? — dopytywała się Lokita.

Patrzyła na niego błyszczącymi oczami i miała ochotę wyciągnąć ku niemu ręce z wdzięczności, że przybył im na ratunek.

— To typy spod ciemnej gwiazdy — odparł. — Nie pierwszy raz porywają znaną osobę dla okupu.

— Tak przypuszczałam — stwierdziła spokojnie panna Anderson.

— Ponieważ nie chcę pań narażać na przykre widoki — oznajmił książę — czy mogę zaproponować, żebyśmy opuścili ten dom w trochę niekonwencjonalny sposób? — Mówiąc to otworzył jedno z dużych okien, po czym, z uśmiechem na ustach, zwrócił się do panny Anderson: — Czy mogę iść pierwszy, *madame*, i pomóc pani zejść na ziemię?

— Tak będzie chyba najlepiej — odparła panna Anderson. Jej surowy ton wydał się Lokicie trochę niestosowny, wzięwszy pod uwagę, że książe przyszedł im z pomocą.

Książe przeszedł przez parapet i pomógł zejść na ziemię najpierw pannie Anderson, a potem Lokicie.

Poczuła, jak bierze ją w ramiona i podnosi. Zrobiło to na niej dziwne wrażenie, ale nie zdawała sobie oczywiście sprawy, że księciu serce wali jak młotem i pulsują mu skronie.

Postawił ją ostrożnie na ziemi, po czym ująwszy jej dłoń powiedział:

— Mój ogród przylega do tego. Furtka jest przed nami.

Lokita czuła siłę i ciepło jego rąk. Ponieważ panował mrok, była zadowolona, że książe pomaga jej iść po trawie, gdyż niewiele przed sobą widziała. Książe za to najwyraźniej dobrze znał drogę. Przypuszczała, że z drugiej strony podtrzymuje za łokieć pannę Anderson.

Zastanowiło ją w pewnej chwili, co stało się z jego pistoletem. Uznała, że pewnie go wyrzucił, kiedy pomagał im wychodzić przez okno. Może go jeszcze potrzebować — pomyślała z niepokojem, oglądając się, czy zamaskowani mężczyźni nie podążają aby ich śladem.

— Nie musi się pani obawiać — powiedział książe, jakby wyczuł, o czym myśli. — Moi śludzy zajmą się tymi, którzy pozostali przy życiu i

oddadzą ich w ręce policji. Zapewniam panią, że władze postępują bardzo skutecznie z takimi złoczyńcami.

— Z tymi, którzy pozostali przy życiu!... — Lokita powtórzyła z przejęciem jego słowa.

Pomyślała, na jakie zdobył się bohaterstwo, walcząc i zabijając, aby ją uratować.

Kiedy dotarli do muru, książę otworzył furtkę. Znaleźli się w dużym ogrodzie, pełnym kwiatów i oświetlonym lampionami, które wisiały na gałęziach drzew. Był tak piękny, że mógłby stanowić jedną z dekoracji do „Kopciuszka”. Lokita patrzyła na niego z zachwytem, dopóki nie zdała sobie sprawy, że książę ma wzrok utkwiony w jej twarzy.

— Jesteśmy panu ogromnie wdzięczne — powiedziała ostro panna Anderson, jakby chcąc zwrócić uwagę na swoją obecność. — Ale teraz poprosimy Waszą Wysokość o wezwanie drugiego fiakra, abyśmy mogli wrócić do domu.

— Z pewnych powodów nie powinny panie zanadto się spieszyć — odparł spokojnie książę.

— Z jakich powodów? — zapytała panna Anderson.

— Trzej ludzie, którzy dokonali porwania, sami tego nie wymyślili — stwierdził. — Ten, kto wydał im polecenie, miał, jak sądzę, przyjechać później, aby poinformować panie o wysokości spodziewanego okupu i poprosić o podpisanie stosownego czeku.

Lokita wstrzymała oddech.

— A gdybyśmy... odmówiły?

— Trzymaliby panie tak długo, aż by panie zapłaciły — odparł ksiązę.

— Podejrzewam, że tak czy inaczej musiałyby panie czekać w tym pustym pokoju, aż zostaną otwarte banki, by można było zrealizować czek.

Gdy to mówił, szli w kierunku domu. Poprowadził teraz obie kobiety po szerokich, białych schodach z marmuru na taras, gdzie lśniły w złotawym świetle p dłuźne, oszklone drzwi.

Weszli przez nie do salonu, który był tak ogromny i piękny, że Lokita mimo woli krzyknęła z zachwytu. W kryształowych kandelabrach płonęły setki świec, a ich delikatne światło iluminowało o wiele skuteczniej od gazowych lamp wspaniałe meble, piękne obrazy i cały przepych *objects d'art*, które zapełniały wszystkie stoliki.

— Czy mogę powitać panie w swoim domu? — zapytał ksiązę. — Żałuję tylko, że musiały panie znieść tyle przykrości, aby trafić do mnie w gościnę.

— Wasza Wysokość ma przepiękny dom! — rzekła cicho Lokita.

Książę nie odpowiedział, tylko spojrzał na nią w taki sposób, że poczuła się zażenowana.

W drzwiach pojawił się lokaj i ksiązę wydał mu po rosyjsku jakieś polecenie.

— Zechcą panie usiąść? — zaproponował uprzejmie, przechodząc znów na angielski.

Panna Anderson zajęła miejsce w fotelu. Siedziała sztywna i wyprostowana, jakby zbierała się do wyjścia.

Lokita rozpięła pod szyją aksamitną pelerynę. Książę wziął ją od niej i położył z boku na krześle.

— Czy mogę obejrzeć te piękne rzeczy? — zapytała z dziecięcym zapałem.

— Będę zaszczycony — odparł książę.

Lokita podeszła do stołu zastawionego tabakiera-mi. Wiedziała, że są nie tylko bardzo kosztowne, ale mają również wartość historyczną. Niektóre były ozdobione miniaturowymi portretami Katarzyny Wielkiej i obramowane diamentami. Na innych widniały podobizny carów i przystojnych mężczyzn będących, jak przypuszczała, przodkami księcia. Warstwa lakieru, oprawa drogich kamieni i grawerunek przewyższały kunsztem wszystko, co widywała dotąd nawet w muzeach. Dotykała delikatnie tych

przedmiotów jednym palcem, pragnąc zapamiętać, jak wyglądają, by móc je sobie wyobrazić gdy nie będzie ich już miała przed oczami.

Służący wnieśli okrągły stół, zasłali go obrusem z weneckiej koronki i nakryli do kolacji dla trzech osób. Był tam złoty talerz z wygrawerowanym herbem księcia, kryształowe kieliszki ze złożonymi brzegami i wykonane również ze złota naczynie z lodem, w którym stało pół tuzina butelek wina.

Książę zaprosił gości do stołu, a służący podali kawior, umieszczony w wielkiej bryle błękitnobiałego lodu. Panna Anderson podziękowała za proponowaną wódkę, podobnie jak Lokita.

— Proszę koniecznie wypić trochę szampana — stwierdził książę. — Czuję, drogie panie, że obie tego potrzebujecie po przeżytych szoku.

Panna Anderson początkowo miała zamiar odmówić, ale podniosła jednak do ust grawerowany kieliszek, jakby wbrew własnej woli dała się przekonać złotemu trunkowi.

— Nie przepadam właściwie za szampanem — powiedziała Lokita.

Piła go raz czy dwa razy z ojcem i była rozczarowana tym „napojem szczęścia” i „nektarem bogów”, ó którym tyle czytała.

Książę uśmiechnął się.

— Kiedy wiele się w życiu przeszło — stwierdził — człowiek dochodzi do wniosku, że szampan to jedyny trunek, który pomaga wyrazić zachwyt albo odsunąć od siebie smutek. Dziś piję go z rozkoszą i wdzięcznością, że mogę gościć dwie tak czarujące damy. — Powiedział to w liczbie mnogiej, patrzył jednak na Lokitę.

Służący wnieśli wiele egzotycznych i smakowitych potraw, które — o dziwo — były gotowe. Lokita uznała, że książę musiał zamówić je wcześniej dla siebie. Teraz pełnił z niezwykłą uprzejmością rolę gospodarza.

Rozmawiał z panną Anderson roztaczając swój nieodparty urok, z którego słynął i z wyczuciem godnym jasnowidza wynajdując interesującą ją tematy.

Nie zadawał krępujących pytań, perorował jedynie, jakby znajdował się w salonie w otoczeniu najwybitniejszych umysłów Paryża. Żadna kobieta, bez względu na wiek czy żywione wobec niego uprzedzenia, nie mogła się oprzeć tak zdradliwej kurtuazji.

Gdy kończyli posiłek, panna Anderson śmiała się i odpowiadała księciu w taki sposób, że Lokita patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Nigdy jeszcze nie widziała, by Andy była tak ożywiona i by wyglądała w istocie tak młodo. Ubyło jej jakby lat, a z twarzy zniknęły wyryte przez zmartwienia bruzdy.

— Jakiej kawy się pani napije, francuskiej czy tureckiej? — zapytał księżę, gdy ze stołu zabrano deser.

— Z rozkoszą spróbuję tureckiej — odparła panna Anderson.

— A pani, *mademoiselle*? — zwrócił się księżę do Lokity.

— Zawsze chciałam spróbować prawdziwej tureckiej kawy — odparła.

Księżę wydał polecenie i służący przynieśli kawę stawiając ją na stoliku tuż obok drzwi.

Potem sprzątnęli ze stołu, przy którym jedzono kolację.

Panna Anderson przesiadła się na wygodniejszy fotel, który zajmowała przed posiłkiem.

— Podam pani kawę — oznajmił księżę stojąc do nich plecami. — A także kieliszeczek likieru.

— Nie, nie! — zaprotestowała panna Anderson. — Wystarczy. Poza tym, Wasza Wysokość, pora, żebyśmy już poszły.

— Dopiero po posiłku — odparł księżę. — A czy posiłek w Paryżu byłby kompletny bez kawy i likieru na zakończenie?

Trzymając w jednej ręce filiżankę bez ucha, umieszczoną w ozdobionej szmaragdami złotej oprawce, a w drugiej kieliszek likieru, postawił je na stoliku obok panny Anderson.

Potem przyniósł kawę Lokicie, nie namawiał jej jednak na likier.

— Te filiżanki są z pewnością wyjątkowe? — powiedziała chwytając za oprawkę ze złota i szmaragdów.

— Dostałem je od tureckiego sułtana — wyjaśnił księżę. — I właśnie będąc w Konstantynopolu dowiedziałem się dokładnie, jak przyrządzać kawę po turecku.

— Jest rzeczywiście znakomita — stwierdziła panna Anderson.

Napiła się jej, potem łyknęła odrobinę likieru i jeszcze trochę kawy.

Lokita pociągnęła z filiżanki kilka małych łyków i postanowiła nie spieszyć się, była bowiem pewna, że kiedy skończy kawę, Andy będzie nalegała, by wracały do domu, na co wcale nie miała ochoty. Kolacja z księciem w niezrozumiały sposób ją, ekscytowała, choć rozmawiał przez

cały czas z Andy, a na nią właściwie nie zwracał uwagi. Starając się przedłużyć wizytę, Lokita zapytała:

— Czy mogę jeszcze raz obejrzeć pańskie skarby?

— Oczywiście — odparł książę.

Podniósł się i spojrzał na pannę Anderson, jakby spodziewając się, że znowu zaprotestuje i będzie chciała już iść. Panna Anderson siedziała jednak wygodnie w fotelu z uśmiechem na ustach. Nic nie powiedziała, gdy Lokita minęła ją, idąc w kierunku stołu z cennymi tabakierkami, które oglądała przed kolacją. Gdy przypatrywała im się z góry, książę stanął przy niej i poczuła, że jego bliskość wywołuje u niej lekki dreszcz.

— Ma pan tyle pięknych rzeczy — odezwała się, czując, że musi coś powiedzieć.

— Ale nic równie pięknego jak pani!

Była tak zaskoczona, że odwróciła ku niemu twarz, a potem nie mogła oderwać wzroku od hipnotyzujących ją oczu.

— Proszę usiąść — powiedział książę. — Chcę z panią porozmawiać.

Lokita spojrzała przez ramię na pannę Anderson i stwierdziła ze zdumieniem, że jej opiekunka śpi z głową złożoną na oparciu fotela.

Książę podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

— To się często zdarza — stwierdził. — Po przeżyciu psychicznego albo fizycznego stresu człowiek często zapada w sen.

Mówiąc to wziął Lokitę za rękę i poprowadził ją do drugiej kanapy przy oknie wychodzącym na ogród. Usiadła, a on zajął miejsce przy niej, odwracając się bokiem, aby móc na nią patrzeć.

— Jesteś cudowna! — rzekł swym głębokim głosem. —
Niewiarygodnie, nieprawdopodobnie cudowna!

Lokita oblała się rumieńcem, po czym powiedziała:

— Chciałabym... podziękować Waszej Wysokości za kosz orchidei, które mi pan przysłał.

— Ale zostawiłaś je w garderobie.

— Panna Anderson uznała pański prezent za... obraźliwy. Wiem, że nie miał pan na myśli niczego złego, ale ona... bardzo się rozgniewała.

— Miała rację! To była zniewaga! — oświadczył książę. Lokita patrzyła na niego zdumiona, gdy mówił dalej: — Zniewagą było sądzić, że mogę przystroić cię czymś tak pospolitym jak diamenty, skoro w istocie chciałem zdjąć z nieba gwiazdy, by zrobić z nich dla ciebie naszyjnik i ofiarować ci księżyc, abyś mogła go trzymać w dłoniach. — W jego głosie brzmiała głębia uczuć, które zdawały się wprawiać Lokitę w drżenie. — Tylko z promieni słońca można by utkać wianek godny twoich włosów — dodał, po czym zawołał z pasją w głosie: — Co ty mi zrobiłaś, Lokito?

Teraz nie tylko nie potrafiła odwrócić od niego wzroku — nie mogła w nawet złapać tchu.

— Kiedy ujrzałem, jak tańczysz — mówił książę — przemówiłaś do mojej duszy i zrozumiałem, że szukałem cię przez całe życie. Pragnę cię, Lokito, pragnę cię jak nie pragnąłem dotąd niczego na świecie — ale odczuwam strach!

— Strach?

— Jesteś jak kwiat — stwierdził. — Jeśli cię dotknę, może zwiędniejesz i uschniesz?

Lokita odetchnęła głęboko, ale nie była w stanie nic powiedzieć. Książę ujął bardzo delikatnie jej spoczywającą na kolanach rękę. Spoglądał na długie szczupłe palce, które potrafiły być tak pełne ekspresji, gdy tańczyła i na drobną miękką różową dłoń z wyrytymi na niej liniami przeznaczenia. Potem podniósł ją do ust. Nie złożył pocałunku, lecz zaledwie muskał skórę wargami przesuwając je po każdym z palców, a potem po zewnętrznej stronie dłoni, aż do przegubu. Spostrzegłszy, że dziewczyna drży, zapytał:

— Czy coś czujesz?

— Tak — wyszeptała powoli.

— Powiedz mi co.

— To bardzo... dziwne uczucie... Prawie tak samo jest kiedy tańczę... i mam wrażenie... że są koło mnie aniołowie... i ktoś, kogo kocham... Ale to

wszystko dzieje się poza mną... A teraz... czuję to w środku... w głębi serca...

— Moja kochana! Moja słodka! Moja *drużko*! Chcę, żebyś tak to właśnie odczuwała!

— Ale... dlaczego?

— Bo ja czuję do ciebie to samo. Nie rozumiesz, serce mego serca, duszo mojej duszy, że to miłość?

Mówiąc to książę przycisnął namiętnie usta do jej dłoni. Lokita miała wrażenie, że przeszła ją błyskawica, przemykając przez piersi i podchodząc aż do ust.

Książę uniósł głowę.

— Powiedziałem, że przypominasz kwiat — rzekł. — Jesteś moim kwiatem. Moim — i nikt mi ciebie nigdy nie odbierze.

— Andy! — szepnęła Lokita. Książę spojrział przez ramię.

— Zostaw to mnie — stwierdził. — Będzie uważała, tak jak wszyscy, że jest jeszcze za wcześnie, że nie możemy być pewni swoich uczuć. Ale ty wiesz, tak samo jak ja, że to przeznaczenie, że znamy się nie od paru godzin, ale całą wieczność.

— Czy naprawdę... pan w to wierzy?

— Przysięgam, że to prawda — stwierdził z przekonaniem książę. — Gdybym mógł, porwałbym cię w ramiona i wywiózł w jakieś miejsce, gdzie nikt by nas nie odnalazł, gdzie bylibyśmy sami i gdzie uczyłbym cię, moja družko, miłości — tej miłości, która płonie we mnie jak ogień.

— Czy miłość... może przyjść... tak nagle? — zapytała Lokita.

— To nie zdarzyło się nagle, moja gwiazdko z nieba — odparł książę. — Ta miłość istniała od wieków wśród milionów ludzi, którzy żyli przed nami. Zacisnął palce na jej dłoni i mówił dalej: — Roszcząc sobie prawo do ciebie, pragnę jedynie odzyskać to, co zawsze było moją własnością.

— Czy naprawdę... pan w to wierzy?

— Tak jak wierzę w Boga — odparł książę. — Jak wierzę w samo życie! Znów ucałował jej dłoń, po czym złożył ją na kolanach Lokity i rzekł: — Wiesz, że pragnę trzymać cię w ramionach, pragnę całować twoje usta, jak nie pragnął chyba nigdy żaden mężczyzna. Ale ponieważ kocham cię do szaleństwa, ponieważ wiem, że będziemy razem, aż gwiazdy nie spadną z nieba i nie wyschną oceany, muszę dać ci czas, moja prześliczna, czas do namysłu.

— Myślałam o panu... odkąd pierwszy raz... pana zobaczyłam — powiedziała półgłosem Lokita. Widząc pytanie w jego oczach wyjaśniła: — Kiedy zjawił się pan w teatrze... minął nas pan... idąc do mojej... garderoby...

— Gdybym wiedział...

— Lepiej, że tak się stało. Andy była bardzo zła i mogłaby... okazać się dla pana... nieuprzejma.

— A ty nie byłaś zła?

— Pomyślałam, że jest pan... inny od wszystkich mężczyzn... których przedtem widywałam — stwierdziła prostodusznie Lokita.

— To ty jesteś inna — stwierdził książę. — Och, mój skarbie, życie mego życia, mój kwiatuszku, chcę klęknąć u twoich stóp i całować je, bo wszystko w tobie jest tak nieskończenie bezcenne, tak doskonałe, tak nieopisanie piękne.

— Kiedy... mówi pan do mnie... w ten sposób... — szepnęła Lokita — wydaje mi się, że słucham... muzyki.

— Tyle chciałbym ci ofiarować — powiedział książę. — I tak wiele ty mi możesz dać, mój ideale.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale z ust panny Anderson wydobył się jakiś dźwięk i wiedzieli oboje, że ziewając otworzyła oczy. Zanim zdążyła odwrócić głowę, książę wstał i podszedł do niej.

— Myślę — oznajmił charakterystycznym dla siebie, czarującym tonem, którego używał podczas kolacji — że teraz mogą już panie bezpiecznie wrócić do domu.

— A więc musimy natychmiast się zbierać — stwierdziła panna Anderson.

Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że usnęła, mrugała jednak przez chwilę oczami, jakby ciążyły jej powieki, po czym wygładziła energicznie palcami sukienkę.

— Aby mieć całkowitą pewność, że nic paniom nie grozi — oświadczył książę — sam odwiozę panie do domu.

— Nie ma potrzeby, Wasza Wysokość — odparła panna Anderson, ale jej głos nie brzmiał apodyktycznie, protestowała właściwie tylko dla formalności.

— Moim zdaniem jest to jak najbardziej potrzebne — stwierdził książę. — Już nigdy nie powinny panie być narażone na niebezpieczeństwa, jakie spotkały panie dzisiejszej nocy.

Mówiąc to, podniósł aksamitną pelerynę Lokity z krzesła, na którym ją położył. Gdy pomagał dziewczynie się ubrać, poczuła na ramionach jego dłonie i zadrżała. Sądziła również, choć nie była tego pewna, że pocałował jej włosy.

Potem podążyła za Andy z salonu do ogromnego marmurowego holu, w którym znajdowało się kilkunastu lokai w liberiach przyozdobionych złotymi wstęgami. Jeden ze służących wręczył księciu kapelusz, drugi podał mu rękawiczki do powożenia. Minawszy imponujące drzwi, zeszli po marmurowych schodach.

Na podjeździe przed domem czekały dwa powozy. Jeden był zamknięty, zaprzężony w dwa konie, drugi stanowiła czterokonna, odkryta bryczka.

Książę spojrział na Lokitę z uśmiechem.

— Który z nich? — zapytał.

— Nigdy nie jechałam powozem z czwórką koni — odparła.

— Więc będzie to nowe doświadczenie — stwierdził książę.

Chciał powiedzieć, jak wywnioskowała z jego spojrzenia, że dorzuci jeszcze jedno doświadczenie do tych, które zdobyła już tego wieczoru.

W bryczce było dość miejsca dla całej trójki. Dla ochrony przed nocnym chłodem lokaje położyli im na kolanach gronostajowe futra.

Potem, powoząc znakomicie, z wprawą, którą Lokita uznała za nadzwyczajną, książę pojechał przez Pola Elizejskie. Poruszali się bardzo szybko. Lokicie zdawało się, że konie pędzą jak wiatr i czuła się tak, jakby wioził ją po niebie sam Apollo. Była w istocie przekonana, że księcia otacza ta sama tajemnicza, niebiańska aura co Apolla. Wiedziała, że wniósł w jej życie dziwne, cudowne światło i gdyby go kiedykolwiek utraciła, pozostałaby tylko niewysłowiona ciemność.

ROZDZIAŁ 4

Wysiadłszy z powozu, lord Marston ziewnął z ulgą, że ma już ten wieczór za sobą. Nigdy nie lubił kameralnych spotkań, na których musiał bywać w Tuileries. Stary pałac Katarzyny Medycejskiej od trzech stuleci stanowił przybytek francuskich monarchów. Kiedy powstało II Cesarstwo, cesarz musiał stworzyć dwór. Przywrócił przepych i ceremoniał z okresu panowania swego wuja, a ponieważ była to epoka ożywienia i rozkwitu, jego dwór, który miał się okazać ostatnim, przewyższał wszystkie świetnością. Mimo jednak całego przepychu i pompy, jedzenie i wino serwowane na cesarskim stole były przeciętnego gatunku. Jak pisał potem jeden z gości: „Posiłek podano prosty, obfity, przypominający staromodne nieco menu przyzwoitego hotelu”.

Poznawszy kunszt kucharzy, których zatrudniał książę i znakomitą kuchnię ambasady brytyjskiej, lord Marston uznał, że jedzenie na dworze jest równie niesmaczne, jak dworska konwersacja. Teatralna sceneria robiła wrażenie: lśniące klejnotami damy w wieczorowych sukniach, wystrojeni panowie we frakach, największą jednak sensację stanowiła egzotyczna postać Scandera, nubijskiego służącego cesarzowej Eugenii. W wyszywanych złotem szatach wyglądał tak, jakby zstąpił z jakiegoś osiemnastowiecznego obrazu.

Lord Marston pomyślał, że w takiej scenerii powinno być łatwo nawiązać interesującą rozmowę. Ale cesarzowa wcale się o to nie starała, a cesarz, choć próbował konwersować, nie bardzo miał o czym. Przy służbie nie wolno było dyskutować o polityce i innych delikatnych sprawach, zaś

sztuka i literatura, poza salonem księżniczki Matyldy, nie znajdowała akceptacji, zresztą nikt się na tych dziedzinach specjalnie nie znał.

Kiedy skończono obiad, wieczór ciągnął się dalej w salonie, w którym było nieprzyjemnie gorąco z powodu płonących w czterech kandelabrach świec i ognia na kominku. Lord Marston poczuł niewysłowioną ulgę, gdy zobaczył w końcu, że cesarz i cesarzowa wychodzą i sam także mógł się oddalić.

Majordom księcia powitał go w holu słowami:

— Jego Wysokość jest w salonie, milordzie.

Wręczywszy służącemu kapelusz i płaszcz, lord Marston przeszedł przez drzwi, które otworzył przed nim inny lokaj. Był zaskoczony zastając księcia w domu, gdyż sądził, że spędzi wieczór z jedną z licznych dam, od których zaproszenia, wypisywane na kolorowym perfumowanym papierze, napływały niemal bez przerwy.

Wszedłszy do salonu, lord Marston zobaczył, że jego przyjaciel stoi przy otwartym oknie i patrzy na ogród.

— Jestem zaskoczony, że cię tu zastaję, Iwanie — powiedział głośno.

Księżę odwrócił się i lord Marston, widząc wyraz jego twarzy i płonący wzrok, zrozumiał, że zaszło coś niebywałego.

— Widziałem ją! Rozmawialiśmy ze sobą! Całowałem jej dłoń!

Słowa te zdawały się płynąć z ust księcia jak triumfalne oratorium.

Lord Marston ruszył przez salon w jego kierunku.

— Domyślam się, że mówisz o Lokicie — stwierdził. — Ale czy to możliwe?

— Ona jest piękna, Hugo, jest piękniejsza z bliska niż na scenie. I należy do mnie — do mnie! Tak miało być już od stworzenia świata!

W jego głosie brzmiało takie uniesienie, że lord Marston spodziewał się niemal, iż kryształowe kulki kandelabrow zaczęły dźwięczeć do wtóru.

— Może mi o wszystkim opowiesz? — rzekł z uśmiechem, sadowiąc się na sofie i wyjmując cygaro ze złotej kasetki, wysadzanej dużymi ametystami z syberyjskich kopalń. Książę nie odzywał się, więc lord Marston mówił dalej: — To niewiarygodne, że zgodziła się z tobą spotkać, skoro odmawiała wszystkim innym.

— Niezupełnie się zgodziła. Nie od razu — odparł książę z uśmiechem na ustach.

— Mam wrażenie, że postąpiłeś w sposób wysoce naganny — stwierdził lord Marston. — Lepiej, Iwanie, żebyś mi wszystko opowiedział.

— Tak mnie przestraszyłeś opowiadaniem o tym bazyliisku, który jej pilnuje, tej typowej Angielce, pannie Anderson — oznajmił książę — że

uznałem za skuteczny tylko jeden sposób zdobycia owej fortecy: przez zastosowanie pośredniego ataku.

— Brzmi to podejrzenie — stwierdził lord Marston.

— Porwanie obu dam nie było trudne — kontynuował książę. — Trzej moi sekretarze odegrali bardzo przekonująco role bandytów.

Lord Marston przytknął rękę do czoła.

— Iwanie! — jęknął. — Gdyby tak dotarło to do prasy!

— Nikt się nie dowie — odparł książę. — Na moje polecenie zabrano obie panie do sąsiedniego pałacu księcia de Guise. Od ponad roku stoi pusty.

— A co było potem?

— Uratowałem je! Jak dzielny awanturnik w najlepszym stylu!

— Przypuszczam, że były ci niemiernie wdzięczne? — stwierdził ironicznie lord Marston.

— Naturalnie! — odparł książę. — Ale wiesz, Hugo, kiedy pomagałem Lokicie wyjść przez okno, dotknąłem jej i wtedy zrozumiałem, że żywię wobec niej uczucia, jakimi nie darzyłem dotąd żadnej kobiety.

Lord Marston nic nie odpowiedział, ale patrzył sceptycznie. Książę spojrział na niego, po czym zaczął niespokojnie się przechadzać.

— Wiem, że to brzmi banalnie i rozumiem dokładnie, co myślisz. Ale tu chodzi o coś zupełnie innego. Ubóstwiam ją, uwielbiam! Jest czysta, Hugo, tak niewinna, że nie próbowałem nawet pocałować jej w usta.

— To rzeczywiście nie pasuje do twoich typowych, pirackich metod! — zauważył z ironią lord Marston. — Często mi powtarzałeś: „Należy zawsze brać to, czego się pragnie, a dopiero potem dyskutować”.

— Nie było powodu do żadnej dyskusji — powiedział książę. — Ale wziąłbym tylko to, co sama zechciałaby mi ofiarować.

— Licząc, że dzięki swemu nieodpartemu urokowi nie będziesz musiał długo czekać — zauważył lord Marston. Spojrzał na księcia, po czym dodał: — A co robiła przez cały ten czas kobieta, którą nazywasz bazyliżką? Po prostu siedziała i przyglądała się twoim umizgom do dziewczyny, której z takim zapalem strzeże?

— Zasnęła — oświadczył książę. Lord Marston usiadł prosto.

— Nie powiedziałaś mi całej prawdy, Iwanie. Jakie jeszcze popełniłeś występki?

— Nic złego — odparł książę. — Dodałem do kawy małą tabletkę, o tak łagodnym działaniu, że panna Anderson nie zorientowała się nawet, że ją wzięła.

— Poddaję się! — zawołał lord Marston. — Jesteś niemożliwy! Jeśli sądzisz, że postępując w ten sposób wygrałeś Kingfishera, to bardzo się mylisz.

— Nie potrzebuję twojego przeklętego konia! — odparł z zapalem książę. — Nie chcę rozmawiać o zakładzie tym samym tonem, jakim mówię o Lokicie. Ona jest kimś wyjątkowym. Osobą, której imię nie powinno nigdy być szargane jak imiona innych kobiet w tym wyuzdanym, rozpustnym mieście.

Lord Marston popatrzył na niego, po czym powiedział zdziwiony:

— Kiedy tak mówisz, Iwanie, zaczynam wierzyć, że naprawdę jesteś zakochany.

— Kocham ją — rzekł cicho książę — ale to jeszcze nie wszystko. Ona jest częścią mnie, nieodłączną częścią. A równocześnie padam jej do nóg i ubóstwiam ją, ponieważ różni się tak bardzo od kobiet, które w życiu spotkałem czy choćby tylko sobie wyobrażałem.

— I wiesz to wszystko, znając ją tak krótko? — zapytał lord Marston.

— Powinienem był się domyślić, że nie zrozumiesz — odparował ze złością książę. — Bo niby dlaczego? Nie jesteś przecież Słowianinem!

Lord Marston pomyślał, że to szczerą prawdą. Wiedział, że ekstrawagancki temperament jest narodową cechą Słowian, niemal powodem do dumy, jak seks dla Francuzów. Dusza była w ich życiu czymś równie istotnym, jak dla Anglika godność i prawość. Zapalawszy do kogoś miłością książę kochałby więc nie tylko sercem, ale i duszą. Jeśli Lokita, na co wszystko wskazywało, znalazła miejsce w jego duszy, Zdarzyło się coś, czego lord Marston nigdy dotąd nie obserwował.

Książę podszedł do okna i podniósł swą piękną głowę, aby spojrzeć w rozgwieżdżone niebo.

— Lokita jest gwiazdą — powiedział. — Ale wezmę ją w ramiona i będzie moja, jak zostało zapisane, gdy pierwsza z gwiazd zaśśniła na niebie.

Zszedłszy następnego ranka na śniadanie, lord Marston zastał swego gospodarza przy stole.

Obaj mężczyźni ubrani byli w stroje do konnej jazdy, gdyż książę udawał się zawsze tuż po śniadaniu na przejażdżkę po Bois, a lord Marston miał wielką ochotę mu towarzyszyć, zwłaszcza że mógł dosiąść jednego ze znakomitych rumaków księcia.

Wchodząc do pokoju lord Marston zauważył w wyrazistych oczach księcia czujność i blask, co stanowiło dla niego ostrzeżenie, że zanoszą się na coś niezwykłego.

— Jeśli umówiłeś się z Lokitą — powiedział, siadając przy stole — nie ma powodu, żebym z tobą jechał.

— Nie umówiłem się — odparł książę — ale wiem, gdzie ją znajdziemy.

Zaśmiał się cicho. — Postąpiłem bardzo subtelnie i dyplomatycznie, Hugo. Byłbyś ze mnie dumny.

— Co takiego zrobiłeś? — zapytał lord Marston.

— Wydobyłem od Lokity informację, że jeździ każdego ranka po Bois. To było takie proste. Podziwiała moje rumaki, a gdy zapytałem, czy jeździ konno, stwierdziła, że lubi to bardziej niż cokolwiek poza tańcem.

Zgodziliśmy się że najprzyjemniejsze są przejażdżki wczesnym rankiem, gdy w Bois nie ma jeszcze tłumów całej paryskiej śmietanki.

— I jej duenna tego słuchała? — zapytał lord Marston.

— Dowiedziałem się, czego chciałem — odparł książę. — Myślę, prawdę powiedziawszy, że bazyliszek był jeszcze trochę senny.

— Pewnie nie mam po co ci mówić, że jestem oburzony twoim zachowaniem — stwierdził lord Marston.

— Tylko Anglicy mogą cytować przysłowie: „W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki dozwolone”, a potem się do niego nie stosować! — odparował książę.

— Dżentelmeni powinni postępować fair — powiedział surowo lord Marston. — Twój sposób postępowania przypomina strzelanie do siedzącej kaczki! Jest to równie łatwe!

— Na pewno nie — odparł książę. — Ale nie będę się chwalił, bo to przynosi pecha!

— W dodatku jesteś przesądny! — przygadał mu lord Marston. — Rzeczywiście Lokita zawładnęła bez reszty twoimi uczuciami. Miejmy nadzieję, że nie doznasz zawodu.

— Nigdy tak się nie stanie — odparł książę. — Słyszysz, Hugo? Nigdy!

— Trudno nie słyszeć, skoro podnosisz głos — stwierdził lord Marston.

Zanim jeszcze zdążył zjeść śniadanie, księżę zaczął nalegać, że powinni już wyruszyć do Bois.

Nie było w tym nic niezwykłego, że gdy przejeżdżali przez Pola Elizejskie, oglądali się za nimi przechodnie, a kobiety, zachwycone urodą księcia, wpatrywały się w niego, dopóki nie zniknął im z oczu.

Dotarwszy do Bois, pojechali kłusem między drzewami, a potem zaczęli galopować po otwartej przestrzeni, gdzie księżę odbywał co rano przejażdżki.

Lokita zjawiała się dopiero jakąś godzinę później i podjechała ze służącym w ich kierunku.

Lord Marston musiał przyznać, że księżę miał rację: była jeszcze piękniejsza niż na scenie. Z przezroczystą jasnością skóry współgrało jakieś uduchowanie, które wyrażała w tańcu. Miała na sobie błękitny kostium, przy którym jej jasne włosy nabierały słonecznego koloru, ale oczy Lokity były zdecydowanie zielone.

Księżę podjechał do niej i ująwszy dłoń w rękawiczce podniósł ją do ust. Potem spojrzał dziewczynie w oczy i lord Marston zrozumiał, że jego przyjaciel nie przesadzał. Tych dwoje ludzi należało do siebie.

— Pomyślałam... że może spotkam tu pana... dzisiaj... — powiedziała Lokita, nie próbując udawać, że nie marzyła o tej chwili.

— Czekałem całą wieczność — oznajmił księżę swym głębokim głosem. — Bałem się, że mogłaś zmienić zdanie.

— Panna Anderson chciała, żebym... została w domu... i odpoczęła — odpowiedziała Lokita. — Ale ja... musiałam przyjechać.

— Liczyłem, że to zrobisz. — Książę puścił jej rękę, po czym, przypomniawszy sobie nagle o dobrych manierach, rzekł: — Przedstawiam ci mojego najlepszego przyjaciela lorda Marstona. Jest Anglikiem.

— I pozwolę sobie dodać, gorącym wielbicielem pani tańca — oznajmił lord Marston.

— Dziękuję — odparła bezpretensjonalnie Lokita.

— Widziałem już pani występ pięciokrotnie — kontynuował lord Marston — i za każdym razem byłem bardziej oczarowany. Co więcej, tańczy pani zawsze trochę inaczej.

— Tańczę tak, jak czuję.

Lord Marston tak właśnie sądził. Żaden nauczyciel, żaden reżyser nie opracowałby takich ruchów, takich kroków, które miały swe źródło, jak powiedziała by księżę, w duszy.

Konie zaczynały się niepokoić, ruszyli więc w drogę, jadąc we trójkę, z Serge'em w tyle.

Książę wpatrywał się w twarz Lokity. Ona także, jakby nie mogąc się powstrzymać, spoglądała ciągle w jego stronę i nie mogła oderwać od niego wzroku.

— Pozwól mi z tobą wrócić — rzekł książę.

— Chciałbym złożyć uszanowanie pannie Anderson.

Mam nadzieję, że nie jest zbyt przybita wydarzeniami wczorajszego wieczoru.

— Była bardzo przerażona — stwierdziła Lokita. — Ja też. Postanowiła, że w przyszłości jadąc do teatru będziemy zabierać ze sobą Serge'a.

Oglądnęła się na towarzyszącego im z tyłu człowieka, a wzrok księcia podążył za jej spojrzeniem. Po chwili stwierdził ze zdziwieniem:

— Twój służący wygląda na Rosjanina.

— Bo nim jest.

— A ty?

Lokita milczała przez moment, po czym rzekła:

— Moja... matka była Rosjanką.

— Wiedziałem! — zawołał książę. — Wiedziałem, że łączy nas wspólnota nie tylko myśli i serc, ale także krwi.

Spojrzał na lorda Marstona z triumfalnym uśmiechem.

— Widzisz, Hugo? Jesteśmy obydwój Słowianami! Dlatego się rozumiemy i zawsze tak będzie, a ty nie wszystko jesteś w stanie pojąć!

— Nie wiem... czy Andy... zechce pana przyjąć — powiedziała Lokita z pewnym wahaniem, jakby podążając za swymi myślami.

— Uznałaby to za niewybaczalny przejaw złych manier, gdybym nie wpadł dowiedzieć się o zdrowie obu pań — stwierdził książę. — Poza tym mam pewną propozycję.

— Jaka?

— W sobotę wieczorem chcę wydać dla ciebie przyjęcie — dla ciebie i panny Anderson.

— Przyjęcie? — zdziwiła się Lokita. — Nigdy na żadnym nie byłam.

— A więc moje będzie pierwsze — stwierdził książę z nutą triumfu w głosie. — Zdobędziesz nowe doświadczenie.

Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym Lokita powiedziała:

— Nie przypuszczam, żeby... Andy pozwoliła mi pójść... na przyjęcie.

— Przekonam ją — oświadczył pewnie książę.

— To będzie rosyjskie przyjęcie. Oczy Lokity nagle zabłyśły.

— Prawdziwe rosyjskie przyjęcie? — zapytała.

— Wszystko będzie tam jak najbardziej rosyjskie — odparł książę. — Włożymy narodowe stroje, sprowadzę cygańskich skrzypków... — przerwał nagle. — Masz mieć niespodziankę.

— To brzmi aż nazbyt cudownie i podniecająco! — powiedziała Lokita. — Ale obawiam się, że Andy odmówi.

— Przekonanie panny Anderson pozostaw mnie — oznajmił stanowczo książę.

Popędzili konie do galopu, po czym skręcili w kierunku domku na skraju Bois. Książę widział go już poprzedniej nocy, a teraz, gdy ukazał mu się w świetle słońca, pomyślał podobnie jak lord Marston, że jest on w swej prostocie równie doskonały jak Lokita.

Dziewczyna przejechała przez żelazną bramę i gdy Serge przytrzymał konie, wprowadziła gości do domu. W środku pachniało bzem i lord Marston odniósł wrażenie, że wszystkie stoliki w niewielkim salonie udekorowane są wazonami pełnymi kwiatów.

Panna Anderson pisała coś, siedząc przy biurku, ale gdy weszła Lokita z dwoma mężczyznami, podniosła się z miejsca. Lord Marston, obserwując ją uważnie, dostrzegł na jej twarzy jakby wyraz przerażenia. Zaraz jednak powitała uprzejmie i jego, i księcia, prosząc, aby usiedli.

—Byliśmy właśnie w drodze do pani, panno Anderson — oznajmił książę — gdy spotkaliśmy pannę Lawrence, jadącą konno w towarzystwie swego służącego. Cieszę się ogromnie, że nie ucierpiała z powodu wydarzeń minionej nocy i mam nadzieję, że o pani można powiedzieć to samo.

— Dziękuję, Wasza Wysokość, czuję się dobrze — odparła panna Anderson nieco przytłumionym głosem.

Książę zajął ją rozmową, tak jak poprzedniego wieczoru i choć panna Anderson odpowiadała uprzejmie, lord Marston miał wrażenie, że bardzo się kontroluje. Był pewien, że za banalnymi uwagami, które wymieniali,

kryła się głęboka nieufność. Lokita milczała. Siedziała i przysłuchiwała się tylko rozmowie. Wyglądała wyjątkowo pięknie.

—Zwracam się do pani z zaproszeniem — oznajmił ksiązę pannie Anderson — które, mam wielką nadzieję, zechce pani przyjąć.

Nic nie odpowiedziała, ale na chwilę zacisnęła usta.

— Pozwoli pani — mówił dalej ksiązę — że w sobotę, po wieczornym przedstawieniu, wydam dla niej i panny Lawrence przyjęcie w moim ogrodzie.

— Doceniając pańskie uprzejme zaproszenie, Wasza Wysokość, Z przykrością muszę odmówić — oznajmiła panna Anderson.

Po raz pierwszy od chwili, gdy usiedli, Lokicie wyrwał się z ust jakiś dźwięk i zabrzmiał niemal jak okrzyk bólu.

Ksiązę patrzący dotąd tylko na pannę Anderson, odwrócił głowę, a gdy jego oczy napotkały wzrok Lokity, żaden świadek tej sceny nie mógł mieć wątpliwości, co do siebie czują.

Po chwili znów odwrócił się z wysiłkiem do Angielki, mówiąc swym najbardziej ujmującym tonem:

— Nie mogę zgodzić się na odmowę. Panna Lawrence mówi, że jeszcze nigdy nie była na przyjęciu. Jestem gotów zorganizować takie, jakie panie wybieriecie, ale myślę, że panna Lawrence miałaby ochotę na rosyjskie.

— Rosyjskie przyjęcie, Andy! — wtrąciła się Lokita. — Pomyśl, jakie by to było ekscytujące! Tak często o nich rozmawialiśmy, czytałam tyle w książkach, ale to nie to samo, co być samemu na takim przyjęciu.

— Oczywiście, że nie — zgodził się książę. — A więc, panno Anderson, proszę o wyrażenie zgody.

Ponieważ w niedzielę panna Lawrence może odpocząć, nie będzie to dla niej zbyt uciążliwe.

Panna Anderson poważnie się zastanawiała i lord Marston widział, że jest spięta. W końcu oznajmiła powoli:

— Uprzejmemu zaproszeniu Waszej Wysokości trudno odmówić.

Lokita zerwała się na równe nogi.

— To znaczy, że się zgadzasz! Och, Andy, jak cudownie! Bałam się... tak strasznie się bałam, że odmówisz. — W oczach migotały jej jak dziecku iskiereki podniecenia, gdy powiedziała do księcia: — Czy to będzie naprawdę rosyjskie przyjęcie, jakbyśmy nie znajdowali się w Paryżu, tylko w St Petersburgu czy w Moskwie?

— Albo w moim własnym majątku — dokończył książę. — Obiecuję, że będzie całkowicie autentyczne.

— Och, dziękuję... dziękuję!

Wyglądała prześlicznie. Pod wpływem impulsu wyciągnęła do księcia rękę, ale zaraz je opuściła. Książę zwrócił się ponownie do panny Anderson.

— Jeśli wolno, chciałbym przysłać pani i pannie Lawrence rosyjskie stroje na przyjęcie — powiedział. — Każę je dostarczyć do teatru, aby mogły panie tam się przebrać. Potem mój powóz zabierze panie prosto na miejsce. — Wyczuwając jakby wahanie panny Anderson, stwierdził z naciskiem: — Z pewnością byłoby paniom niezręcznie jechać w przebraniu wynajętym fiakrem.

— Tak, oczywiście — przyznała panna Anderson. — Myśli pan o wszystkim, Wasza Wysokość.

— Staram się — odparł książę.

Uznał, że skoro osiągnął swój cel, przedłużanie wizyty byłoby błędem, pożegnał się więc najpierw z panną Anderson, a potem z Lokitą.

Lord Marston spostrzegł, że gdy książę dotknął jej dłoni, oboje przeszedł dreszcz, a w powietrzu wyczuwało się nieodparcie jakiś magnetyzm. Powiedział coś pospiesznie do panny Anderson, próbując odwrócić jej uwagę od tego, co się dzieje. Gdy odpowiedziała mu spokojnym, zrównoważonym głosem, doszedł do wniosku, że nie zauważyła niczego niezwykłego.

Gdy ruszyli już w powrotną drogę, książę stwierdził:

— Sobota! To cholernie dużo czasu, Hugo!

— Możesz zobaczyć się z nią w Bois — odparł lord Marston.

— Nie wiem, czy to rozsądne? — zauważył książe.

— Rozsądne?

— Obawiam się tej kobiety. Sam nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że to niebezpieczny przeciwnik.

Lord Marston roześmiał się.

— Przesadzasz, Iwanie! Wydaje mi się dość sympatyczna. W końcu to oczywiste, że ani jej, ani Lokity nie pociąga specjalnie teatr. Prawdę mówiąc, poznawszy Lokitę nie mogę się nadziwić, że pomyślała w ogóle o karierze scenicznej.

— To się szybko skończy, gdy tylko będzie ze mną— stwierdził książe dodając z pasją: — Miałbym godzić się, że patrzą na nią inni mężczyźni, że ludzie mogą za pieniądze oglądać jej taniec?

— Chcesz zamknąć ją w haremie? — zapytał lord

Marston.

— Tego właśnie pragnę! — odparł książe. — Chcę ją mieć dla siebie, tylko i wyłącznie. Chcę być z nią sam, aby nikt nam nie przeszkadzał i nie wtrącał się w nasze sprawy. — Westchnął, po czym dodał: — Gdybym miał trochę rozsądku, powinienem ją porwać i zabrać na jakąś bezludną wyspę albo w najodleglejszy zakątek świata, gdzie nikt by nas nigdy nie odnalazł.

— Na litość boską, Iwanie! — zakrzyknął lord Marston. — Tego nawet ty nie możesz zrobić! Jestem przekonany, że gdybyś spróbował uczynić coś

podobnego, panna Anderson w ciągu dziesięciu minut nasłababy na ciebie policję.

— To mnie właśnie powstrzymuje od postąpienia tak, jak bym naprawdę chciał — stwierdził książę. — Nie mam ochoty wciągać Lokity w żaden skandal.

— Ten byłby na międzynarodową skalę — oświadczył lord Marston. — Dziewczyna miała może matkę — Rosjankę, ale gotów jestem założyć się o dużą sumę, że jej ojciec był Anglikiem.

— Może? — powiedział od niechcienia książę.

— Nie wygląda na Angielkę, ale ma jasne włosy, a Lawrence to z pewnością angielskie nazwisko.

— Bez wątpienia jest również damą — dodał lord Marston. — W takim razie po co te wszystkie tajemnice? Dlaczego nie bywa nigdy na przyjęciach? Dlaczego nie wolno jej rozmawiać z nikim w teatrze?

— Przerwał, po czym stwierdził: — Gotów jestem się też założyć, Iwanie, że Lawrence to nie jej prawdziwe nazwisko.

— Dlaczego tak uważasz? — zdziwił się książę.

— Ponieważ, podobnie jak ty, mam intuicję — odparł lord Marston. — Do diabła, ta cała historia jest tajemnicza i w istocie bardzo nieangielska.

— Nie sądzę, żebyśmy do czegoś doszli zadając pytania — stwierdził ksiązę.

— Jestem o tym przekonany — zgodził się lord Marston. — Ta kobieta, która jest, jak sądzę, guwernantką Lokity, będzie z pewnością milczała jak grób. Niczego z niej nie wyciągniemy.

— Zostaw to mnie — powiedział z przekonaniem ksiązę.

— Doskonale wiem, co myślisz — rzekł z uśmiechem lord Marston. — Uważasz, z właściwą dla ciebie skromnością, że nie ma na świecie kobiety, bez względu na jej wiek czy narodowość, której nie potrafiłbyś w końcu okręcić sobie wokół małego palca.

— Jak dobrze mnie znasz, Hugo — odparł ksiązę kpiącym tonem. Spiał ostrogami konia i nie było już czasu na dalszą rozmowę.

Jak przypuszczał lord Marston, nie zobaczyli już Lokity w Bois. Każdego ranka przyjeżdżali tam, gdzie spotkali ją przedtem, a ponieważ się nie pojawiła, szukali jej we wszystkich innych możliwych miejscach, jednak bezskutecznie.

W piątek ksiązę nie mógł już tego znieść i złożył wizytę w jej domu. Drzwi otworzyła starsza wiekiem Francuzką, która na widok dwóch dżentelmenów uprzejmie dygnęła.

— Czy panna Anderson jest w domu? — zapytał ksiązę.

— *Non, monsieur.* Panna Anderson i panna Lokita są na przejażdżce.

— Czy obie panie dobrze się czują?

— Bardzo dobrze, *monsieur*.

— Proszę powiedzieć pani Anderson, że czekam z niecierpliwością, by ujrzeć je jutro wieczorem na moim przyjęciu, że zgodnie z umową kostiumy zostaną wysłane do teatru i że po przedstawieniu obie panie będą dysponować moim powozem.

— Przekażę im pańską wiadomość, *monsieur* — odparła służąca.

Nie pozostało chyba do powiedzenia nic więcej, ale odwracając się książę dodał jeszcze:

— Mam nadzieję, że obie panie otrzymały kwiaty, które im wysiałem.

— Codziennie przynoszono piękne bukiety, *monsieur* — odrzekła służąca.

— Podobały się paniom?

— *M'mselle* Lokita uwielbia kwiaty, *monsieur*. Była zachwycona pucharem orchidei, które wczoraj dostała.

— Bardzo mi pochlebia, że się jej podobały — stwierdził książę.

— Czy to rozsądne? — zapytał Lord Marston, kiedy odjechali. — Spłoszysz bazyliżkę, jeśli będziesz próbował, tak jak przedtem, kusić je drogimi prezentami.

— Dostałem nauczkę — odparł książę. — To był tylko kryształowy puchar z ułożonymi po mistrzowsku orchideami. Panna Anderson dostała tyle samo kwiatów, co Lokita, jeśli nie więcej.

— Zaczynasz mieć trochę zdrowego rozsądku — stwierdził tonem pochwały lord Marston.

— Te, które posłałem Lokicie, wyrażały coś, co tylko ona mogła zrozumieć — dodał książę.

Nie powiedział nic więcej, ale zaledwie wrócili do domu, zajął się przygotowaniami do przyjęcia. Lord Marston wywnioskował, że miało ono być równie fantastyczne i ekstrawaganckie jak te, które widywał w Rosji. Zdawał sobie sprawę, że jeśli będzie przypominało przyjęcia w Pałacu Królewskim w St Petersburgu, Lokitę ogarnie zdumienie.

Gdy był jeszcze chłopcem, same nawet barwy pałaców wydawały mu się czymś fantastycznym. Pałac Jusupowa, który miał żółty kolor, odbijał się w kanale Fontanki.

Stojący nad Newą pałac Woroncowa był szkarłatno-biały, a Pałac Taurydzki ciemnobłękitny. Inne miały barwę liliową lub łososiową.

Kiedy przebywał w St Petersburgu, carski Pałac Zimowy, który był początkowo pistacjowy z biało-złotymi kolumnami, przemalowano na kolor jasnokasztanowy. Gdy w listopadzie, wraz z pierwszymi obfitymi opadami śniegu, wszystko wokół zaczęło skrzyć się bielą, żywe barwy pałaców nadawały całemu miastu baśniowy wygląd. Słychać było dzwonienie srebrnych dzwoneczków śnieg, które pędziły po śniegu i lodzie od pałacu do

pałacu, wioząc ludzi na wydawane co noc fantastyczne przyjęcia. W ogromnych kryształowych żyrandolach Pałacu Zimowego i na świecznikach, umieszczonych spiralnie wokół otaczających salę balową jaspisowych kolumn, płonęło trzydzieści tysięcy świec. Ustawione wszędzie gigantyczne lustra odbijały blask klejnotów, które skrzyły się i migotały, gdy noszące je damy tańczyły przy akompaniamencie niezliczonych skrzypiec. Olśniewający *aides-de-camp* wirowali po błyszczących parkietach z pięknymi kobietami, które miały na sobie, długie do talii naszyjniki, potoki diamentów, sznury pereł oraz broszki z dużymi jak gołębie jaja rubinami i szmaragdami. Stoły zastawiano złotymi naczyniami i przyozdabiano girlandami cieplarnianych kwiatów, a z oddalonych o tysiące mil rejonów świata sprowadzano delicje, które miały zadowolić znudzone podniebienia gości.

Na balach, na których bywał lord Marston, damy dworu, idąc za przykładem cesarzowej, miały na sobie tradycyjne dworskie suknie z barwnego aksamitu, obszyte gronostajowym futrem i ozdobione dopasowanymi do stroju drogimi kamieniami. Do szkarłatnego aksamitu nosiło się rubiny, do niebieskiego szafiry, a do zielonego szmaragdy. Lśniące mundury rosyjskich oficerów prezentowały całą gamę barw, nawet róż i fiolet. Słuchano śpiewu i gry Cyganów, a z upływem nocy ich muzyka zaczynała brzmieć coraz gwałtowniej. Lord Marston wiedział, że nikt nie przejmuje się losem zaglądających przez okna nędzarzy, którzy stali na przenikliwym mrozie, zę stopami obwiązanymi brzożową korą i szmatami.

Tego przynajmniej zabraknie w Paryżu — powiedział do siebie w duchu lord Marston, obserwując z rozbawieniem przygotowania księcia do „rosyjskiego przyjęcia dla Lokity”.

Cały ogromny ogród w Chdteau miała okrywać biel — sztuczny śnieg, o tyle lepszy od prawdziwego, że nie odmrażał nóg. Zasadzono w ziemi jodły, aby imitowały ciemny i nieprzenikniony rosyjski las, zbudowano siedem lustrzanych tafli sadzawki, które wyglądały jak skute lodem, a na chętnych do przejażdżki czekały prawdziwe trojki. Ze wszystkich stron Francji ściągnięto Cyganów, w tym wielu prawdziwych Rosjan.

Zapłacono rosyjskim chórom, aby zerwały kontrakty i mogły śpiewać zapadające w duszę miłosne pieśni, które stanowiły w Rosji tak nieodłączną część wszelkich uroczystości.

Lord Marston wiedział, że w tym przypadku księżę będzie musiał odstąpić nieco od tradycji, gdyż niemal wszystkie rosyjskie pieśni były smętne i melancholijne. Śpiewali je ci, których po stracie ukochanej osoby czekało cierpienie i śmierć. Pieśni odzwierciedlały ból całych pokoleń Rosjan, a śpiewano je przy akompaniamencie bałajki i akordeonu. Rozchodziły się echem nad falującymi łanami pszenicy, ponad stepami, plantacjami słoneczników na Ukrainie i w zimowym mroku zasypanej śniegiem północy.

Księżę — jak zwykle kiedy był czymś zajęty — koncentrował się wyłącznie na tym, co akurat robił. Lord Marston nie mógł go namówić nawet na zjedzenie lunchu czy obiadu w jednej z modnych restauracji, a

kiedy rozmawiali na interesujące ich zawsze tematy, księżę powracał ciągle myślami do przyjęcia i oczywiście do Lokity.

— Chcę zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy wejdzie do ogrodu i ujrzy taki pejzaż Rosji, jaki na pewno zawsze sobie wyobrażała.

— Może zechce zatańczyć — zauważył lord Marston.

Księżę odwrócił się gwałtownie w jego kierunku.

— Opłaceni przeze mnie ludzie będą tańczyć dla niej — oświadczył. — Ona niczego im nie będzie dawała. Nie pozwolę na to!

Księżę i lord Marston chodzili co wieczór do teatru oglądać Lokitę, a gdy stamtąd wracali, lord Marston miał świadomość, że z dnia na dzień księżę jest coraz bardziej zakochany. Miłość zdawała się wypalać go jak ogień i czasami lord Marston odnosił wrażenie, że zawiodą wszelkie hamulce i jego przyjaciel przestanie zachowywać się w cywilizowany sposób.

Był teraz siłą rzeczy jeszcze bardziej przystojny i pociągający, a zarazem bardziej apodyktyczny. Zachowywał się jak człowiek, który stacza ciężką bitwę, ale wierzy, że zwycięstwo jest bliskie. Mówił o uległości wobec Lokity, lord Marston wiedział jednak, że w istocie występuje w roli zdobywcy, który dąży do osiągnięcia szczytu swoich ambicji, ziszczenia swych najśmielszych pragnień.

Z powodu niecierpliwości księcia lord Marston także miał wrażenie, że przed sobotą czas jakoś wyjątkowo się dłużył. Kiedy nastał wyczekiwany

dzień, poranek był jasny i słoneczny. Książę przyszedł wcześniej do pokoju lorda i oznajmił:

— Na niebie słońce i ani jednej chmurki. To dobry znak. Chodź spojrzeć na ogród.

Dziesiątki ludzi rozrzucalo po ziemi i drzewach sztuczny śnieg. Inni ustawiali sztuczne ogniska, których płomienie imitowały kawałki szkarłatnego materiału, trzepoczące pomiędzy wielkimi drewnianymi kłodami. Wszystko to wyglądało zadziwiająco i niewiarygodnie wspaniale. Lord Marston pomyślał, że każdą wrażliwą na piękno kobietę, a szczególnie Lokitę, widok taki musi poruszyć.

Książę dbał o każdy szczegół. Zanim spakowano wybrane przez niego dla Lokity i panny Anderson rosyjskie stroje, aby zabrać je do teatru, pokazał lordowi Marstonowi, jak wyglądają. Były to barwne i efektowne tradycyjne kostiumy, noszone w Rosji od siedemnastego wieku, od czasów pierwszych Romanowów, którzy — zdając sobie sprawę, że lud oczekuje od nich wystawności i przepychu — obwieszali się klejnotami do tego stopnia, że okrywały ich niemal całkowicie. Przybranie głowy panny Anderson zrobione zostało z pereł, których sznury sięgać jej miały od szyi po talię. Strój Lokity był bardziej subtelny i dopiero przyjrząwszy się kamieniom wkomponowanym w haft sukni i stanika lord Marston wykrzyknął:

— Iwanie, to nie są chyba prawdziwe szmaragdy i diamenty?

— Ależ oczywiście! — odparł książę. — Sądysz, że ofiarowywałbym Lokicie jakąkolwiek imitację?

— Ale diamenty — na jedno przyjęcie! — powiedział tonem wymówki lord Marston. — Poza tym mogą wypaść albo zostać skradzione.

— Lokicie nic nie zginie, dopóki będzie ze mną — stwierdził stanowczo książę.

Wszystkich gości poproszono o przybycie w rosyjskich strojach, a ponieważ paryżanie ogromnie lubili się przebierać, lord Marston wiedział, że każdy z wielką chęcią spełni życzenie gospodarza.

— Masz zamiar uwzględnić cesarza i cesarzową? — zainteresował się lord Marston, gdy doręczano zaproszenia.

— Nie zniósłbym ich nudnego towarzystwa — odparł książę. — Ale zaprosiłem księcia Napoleona.

Była to najbardziej kontrowersyjna, a zarazem najpopularniejsza postać w całej Francji.

Książę Napoleon nie znosił cesarzowej i uniezależnił się zupełnie od cesarza. Był równie kontrowersyjny w życiu prywatnym, co w publicznym. Krążyły legendy o jego kontaktach z kochankami, z którymi paradował na oczach całego Paryża. Książę ożenił się przed siedmiu laty, ale był to czysto polityczny mariaż, mający zjednoczyć Francję i Italię. Małżonkowie kompletnie do siebie nie pasowali. Nic więc dziwnego, że ożenek nie zmienił niemoralnego zachowania księcia. Mówiono otwarcie, że w jego sypialni poniewierała się zawsze nad ranem jakaś halka. Ponieważ jednak

był tak błyskotliwym i znakomitym gościem, obdarzonym par excellence osobistym urokiem, żadne przyjęcie w Paryżu nie mogło się bez niego obejść.

— Ciekaw jestem, co książę Napoleon pomyśli o Lokicie, kiedy się spotkają — powiedział lord Marston. — Słyszałem, że zapraszał ją na kolację, ale mu odmówiła.

— Tak jak i mnie — stwierdził książę. — Dlatego musiałem zastosować inną taktykę.

— Bardzo zresztą naganną — dodał surowo lord Marston. — Ciekawe, jak zareaguje Lokita, kiedy pozna prawdę.

— Zależy, czy kiedykolwiek jej powiem — odparł książę, po czym dodał niemal ze złością: — Ale i tak by mi wybaczyła! Wybaczyłaby, ponieważ mnie kocha. Nie zapominaj o tym: ona mnie kocha!

Lord Marston pomyślał, że to prawda, pozostawał jednak niezmiennie problem panny Anderson. Z pewnością miałyby coś do powiedzenia na temat tego romansu, bo między jej podopieczną, której tak wytrwale strzegła i księciem nie mogło być mowy o niczym więcej.

Książę był tak podekscytowany i z taką niecierpliwością oczekiwał wieczoru, że ubrał się o wiele wcześniej niż należało i przyszedł do sypialni lorda Marstona, aby go nakłonić do pośpiechu. Miał na sobie pułkowy mundur i wyglądał tak imponująco, a zarazem tak niesamowicie atrakcyjnie, że lord Marston pomyślał, iż każda dziewczyna, a zwłaszcza tak niedoświadczona jak Lokita, musi zakochać się w nim po same uszy.

— Póspieszże się, Hugo! — ponaglał księżę.

— Jesteś bardzo niecierpliwy, Iwanie — odparł z rozbawieniem lord Marston.

— Zależy mi żeby do przyjazdu Lokity wszyscy zjedli już obiad i byli w ogrodzie.

— Mało prawdopodobne, żeby zjawiała się tutaj dużo przed dwunastą — uspokoił go lord Marston.

— Wiesz; jak przeciągają się te obiady — odparł księżę.

Nie mijał się z prawdą, ponieważ w pomieszczeniu wykorzystywanym zwykle jako sala balowa podejmowano ponad dwieście osób. Jako że był to rosyjski wieczór, goście mieli otrzymać zarówno tokaj, trunek modny wówczas w St Petersburgu, jak i najlepszy francuski szampan. Kucharze księcia postanowili przygotować potrawy, których zazdrościliby wszyscy organizatorzy przyjęć w Paryżu, a po przybyciu Lokity miano podać prawdziwą rosyjską kolację dla tych, którzy byliby jeszcze głodni po sutym obiedzie.

Patrząc w kilka godzin później na olśniewający wystrój jadalni, lord Marston pomyślał, że księżę osiągnął swój cel i jego dom dorównywał istotnie splendorem Pałacowi Zimowemu. Ogród wprost oczarowywał. Była to baśniowa Rosja, jaką każdy sobie wyobrażał, bez okrucieństwa, głodu, nędzy i ucisku. Rosja istniejąca jedynie w sercach tych, którzy ją kochali, ponieważ jednak obraz ten miał swe własne, tajemnicze piękno, z całą pewnością musiał się podobać.

Lord Marston bawił się znakomicie. Miał wśród gości księcia licznych przyjaciół i spotkał wiele kobiet, które były tak atrakcyjne, że zastanawiał się, czy nie skłoni go to do przedłużenia pobytu w Paryżu. Dopiero, gdy księżę stanął obok niego w ogrodzie, uświadomił sobie, która jest godzina.

— Nie przyjechała! — oznajmił cicho księżę. Lord Marston wyjął z kieszeni kamizelki złoty zegarek. Wskazywał prawie godzinę pierwszą.

— Może przedstawienie się przedłużyło — zauważył.

— Dobrze wiesz, że ona nie czeka do końca — odparł księżę.

Lord Marston, wymamrotawszy słowa przeprosin pozostawił damę, z którą rozmawiał i ruszył z księciem w kierunku domu. Pod ich stopami chrzęścił sztuczny śnieg.

— Coś się musiało stać. Coś uniemożliwiło jej przyjazd — oznajmił księżę zbolalym głosem. — To na pewno sprawka tej przekłetej kobiety!

— Zgodziła się przyjść na przyjęcie — zauważył lord Marston.

— Więc dlaczego Lokity tu nie ma? Kazałem, żeby powóz czekał o jedenastej przy wyjściu dla artystów. Na koźle siedział jeden z moich najbardziej zaufanych ludzi.

— Musi istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie — stwierdził uspokajająco lord Marston. — Lada chwila powinna tu być. Uspokój się, Iwanie, i napij się czegoś.

Weszli właśnie do salonu i mówiąc te słowa lord Marston wetknął księciu do ręki kieliszek szampana. Księżę pociągnął jeden łyk, po czym gwałtownym ruchem cisnął kryształowe naczynie do kominka.

— Ona nie przyjedzie! Wiem, że nie przyjedzie! — krzyczał. — Boże, Hugo, co będzie, jak ją stracę!

Lord Marston spojrział ponownie na zegarek. Sytuacja nie skłaniała raczej do optymizmu.

Przeszli do holu, a gdy się tam znaleźli, stojący przy drzwiach lokaj odwrócił się i zawołał:

— Jest powóz!

Rozpacz księcia zniknęła. Pospiesznie ruszył przed siebie. Był na schodach, kiedy woźnica zatrzymał konie. Lokaje zbiegli na dół, aby otworzyć drzwi powozu, ale gdy to zrobili, lord Marston zobaczył, że wewnątrz nikogo nie ma.

Rosyjski sługa zeskoczył z kozła i podszedł do księcia.

— Co się stało? Gdzie są damy, które miałeś przywieźć? — zapytał z wściekłością księżę.

— Wyszły z teatru, Wasza Wysokość, tuż po wpół do dwunastej.

— Czekaleś na nie?

— Tak, Wasza Wysokość, ale kiedy wsiadły do powozu, poprosiły, żebym zawiózł je najpierw na stację kolejową.

— Na stację? — powtórzył książę zdławionym głosem.

— Tak, Wasza Wysokość. Powiedziały, że muszą się pożegnać z kimś, kto odjeżdża pociągiem.

— I spełniłeś ich prośbę?

— Tak, Wasza Wysokość.

— A co było potem?

— Obie panie wysiadły, Wasza Wysokość i poszły na stację.

— Miały ze sobą bagaż?

— Nie, Wasza Wysokość. Tylko pudło na kapelusze. Lord Marston wciągnął głęboko powietrze. Domyślał się już, co było w pudle.

— Mów dalej! — powiedział gniewnie książę.

— Zapytałem, czy mam ponieść to pudło, Wasza Wysokość, ale panie nie życzyły sobie. Widziałem potem, że na peronie czekali na nie mężczyzna i kobieta ze stertą bagaży.

— Mężczyzna i kobieta — powtórzył książę. — Wysoki służący? Rosjanin?

— Chyba tak, Wasza Wysokość. — Książę milczał, a woźnica mówił dalej: — Poszli dokądś, a my czekaliśmy przez godzinę, Wasza Wysokość. — Książę nadał się nie odzywał, więc służący kontynuował:

— Potem pomyślałem, że coś jest nie w porządku i poszedłem na stację zbadać sprawę.

Kiedy czekaliśmy na zewnątrz, przez dworzec przejechało kilka pociągów. Na peronie zostało zaledwie kilku pasażerów

— a tych dwóch pań nie było między nimi.

— Jesteś tego pewien?

— Całkowicie, Wasza Wysokość. Wypytywałem też bagażowego.

— I co powiedział?

— Powiedział, że cztery opisane przeze mnie osoby wsiadły niemal na pewno do pociągu, który odjechał wkrótce po północy.

— Wspomniał, dokąd ten pociąg odjechał?

— Nie miał całkowitej pewności, Wasza Wysokość, ale sądził, że to był ekspres do Calais.

Książę stał nieruchomo. W tym momencie lokaj, który otworzył drzwi powozu, wyciągnął coś ze środka. Lord Marston zobaczył, że trzyma w rękach dwa rosyjskie kostiumy, jeden z nich ozdobiony prawdziwymi klejnotami!

ROZDZIAŁ 5

Lokita stała w oknie i patrzyła na niewielki plac. Pośrodku miał ogród, ale drzewa wydawały się szare i jakby pozbawione życia w porównaniu z

tymi w Paryżu. Niebo przesłaniały chmury i czuła, że Londyn jest w istocie szary, smętny i pełen melancholii, jak jej zrozpaczone serce.

Była szczuplejsza niż tydzień temu i miała podkrążone oczy, gdyż co noc zanosila się płaczem. Opłakiwała księcia, Utracone marzenia i rosyjskie przyjęcie, które dla niej zorganizował. Płakała, bo czuła, że w przyszłości czeka ją tylko samotność.

Nie wierzyła własnym uszom, kiedy Andy oświadczyła jej, że jeszcze tej nocy wyjeżdżają do Londynu. Zeszła właśnie ze sceny przy entuzjastycznej owacji publiczności. Miała rozogniony wzrok i coraz bardziej ekscytowała ją myśl o zbliżającym się wieczorze. Przez cały dzień nie potrafiła mówić o niczym innym.

— Książę Iwan obiecał, że w jego ogrodzie będzie jak w Rosji, Andy — powiedziała. — Myślisz, że pokryje ziemię śniegiem? Ciekawe, z czego będzie zrobiony.

— W Rosji nie zawsze pada śnieg — odparła panna Anderson takim głosem, jakby siłą wyciągano z niej słowa. — Na południu bywa bardzo gorąco. Świeci tam słońce i rosną kwiaty.

— Już mi o tym wspominałaś — stwierdziła Lokita — ale ja myślę zawsze o jadących po śniegu saniach, o lśniących złociście na tle nieba kopułach i strzelistych wieżach St Petersburga. Tata często mi opisywał ten widok.

Panna Anderson nic nie odpowiedziała. Lokita uznała, że nie chce iść na przyjęcie, ponieważ jej podopieczna, której nie wolno było z nikim się zaprzyjaźniać, poznałaby tam nowych ludzi.

— Nie interesuje mnie nikt... oprócz księcia — powiedziała do siebie szeptem.

Wbiegła przed panną Anderson po żelaznych schodkach do swojej garderoby, wiedząc, że będą tam już czekały rosyjskie stroje, które księżę obiecał przysłać do teatru. Leżały na fotelu. Na ich widok krzyknęła z zachwytu.

— Spójrz, Andy, jakie piękne! — zawołała, ale ku jej zaskoczeniu panna Anderson powiedziała szorstko:

— Przebierz się w rzeczy, w których przyjechałaś.

— Ale dlaczego, Andy? Było ustalone, że przebierzemy się tutaj i pojedziemy prosto na przyjęcie.

— Rób, co mówię — rozkazała panna Anderson.

— Chcę włożyć rosyjską suknię — zaprotestowała Lokita. — Jak pójdę bez niej na przyjęcie? Jest taka piękna!

— Ubierz się w zwykłe rzeczy.

Mówiła takim tonem, że Lokita popatrzyła na nią zalekniona.

Zaległa cisza, a po chwili Lokita odezwała się niemal szeptem:

— Co ty... mówisz?

— Wyjeżdżamy dziś w nocy do Londynu!

— Do Londynu? Ale... dlaczego?

— Ponieważ nie możemy zostać dłużej w Paryżu.

— Ale dlaczego? Dlaczego? — dopytywała się Lokita.

Jako że przez całe życie była posłuszna pannie Anderson, przebrała się wkrótce w swój zwykły strój przykrywając go aksamitną peleryną. Potem udały się żelaznymi schodami do wyjścia dla artystów. Panna Anderson również założyła pelerynę. Dopiero gdy wsiadły do powozu księcia i lokaje otrzymali polecenie, by zawieźć je na stację, Lokita zorientowała się, że panna Anderson wzięła rosyjskie stroje ze sobą. Wydobyła je z ukrycia i wówczas Lokita zauważyła, że ma także pudło na kapelusze.

— Co w nim jest? — zapytała.

— Nasze nakrycia głowy — odparła bez ogródek panna Anderson. — Nie chcę, żeby słudzy księcia wiedzieli, co zamierzamy, dopóki nie opuścimy Paryża.

Lokita nie mogła nic zrobić ani powiedzieć. Kiedy pociąg do Calais ruszył wreszcie ze stacji, zamknęła oczy, aby nie pociekły jej po policzkach łzy. Nie chciała płakać w obecności innych ludzi, ale nocą, gdy była sama, szlochała tak długo, aż poduszka stawała się mokra.

Panna Anderson planowała zamieszkać ze swoją siostrą, która była żoną niejakiego doktora Edwardsa, praktykującego w Islington. Na miejscu okazało się jednak, że jej dom jest za mały na to, aby mogły się tam

zatrzymać. Pani Edwards znalazła im mieszkanie w pensjonacie, usytuowanym tuż obok. Było nieduże i niezbyt wygodne, ale zrozpaczona Lokita nie zwracała na to uwagi, owładnięta bez reszty przemożnym poczuciem straty.

Co pomyśli książę? — zadawała sobie pytanie. Czy kiedykolwiek zrozumie, że nie chciała go obrazić ani zranić swoim wyjazdem, do którego została zmuszona?

W trzy dni po ich przybyciu do Londynu panna Anderson zachorowała. Mąż siostry zbadał ją i stwierdził z powagą, że musi koniecznie zasięgnąć porady specjalisty.

— Nie stać nas na to! — odpowiedziała stanowczo, on jednak nalegał.

Teraz Lokita czekała na orzeczenie sir George'a Lestera, o którym doktor Edwards wyrażał się z szacunkiem i podziwem.

Lokita nie wierzyła w istocie, że Andy jest poważnie chora. Zawsze była taka silna i miała niespożyte siły. Dopiero w ciągu ostatniego miesiąca czy dwóch ich pobytu w Paryżu zaczęły ją męczyć spacer w Bois, które przedtem tak bardzo lubiła, a czasem w drodze do domu po wyjściu z teatru wydawała się zbyt wyczerpana, aby rozmawiać.

Za plecami Lokity otwarto drzwi. Odwróciwszy się zobaczyła, że do pokoju wchodzi sir

George Lester. Był zatroskany. Czekala z lękiem w oczach, co powie.

— Zbadałem pannę Anderson — oznajmił spokojnie — która, o ile rozumiem, jest pani opiekunką.

Lokita skinęła głową.

— Oczekuje pani, jak sądzę, żebym powiedział otwarcie całą prawdę — mówił dalej.

— Czy Andy jest... bardzo chora? — Lokita nie mogła pohamować cisnącego jej się na usta pytania.

— Tak, moja droga, jest bardzo chora! — odparł sir George Lester. — Ma problemy z sercem, wystąpiły również inne powikłania, którymi nie chciałbym cię dodatkowo martwić.

— Co możemy zrobić? Jak można ją wyleczyć? — pytała Lokita.

Sir George pokręcił głową.

— Powiedziałem panie Anderson, że musi odpoczywać. Powinna unikać wszelkich wstrząsów. Dałem jej krople, które musi zawsze mieć przy sobie i zażywać w razie bólu albo groźby zapaści.

Lokita głęboko wciągnęła powietrze. Była bardzo blada, a w oczach miała przerażenie.

— Czy... nie możemy zrobić... nic więcej? — zapytała niemal szeptem.

— Martwi się o panią, moje dziecko — odparł sir George — i dlatego musi pani zrobić wszystko, co w pani mocy, aby ją pocieszyć i nie przysparzać jej zmartwień.

— Postaram się - obiecała Lokita.

— Jestem przekonany, że w tym tkwi połowa sukcesu — stwierdził uprzejmie sir George.

Poklepał Lokitę po ramieniu, po czym odwrócił się do wyjścia, zabierając pozostawiony przy drzwiach cylinder. Doktor Edwards oczekiwał go na zewnątrz i Lokita usłyszała, jak obaj mężczyźni rozmawiają ze sobą cicho schodząc na dół.

Pobiegła do pokoju panny Anderson. Była to bardzo mała, lichy umeblowana sypialnia.

Panna Anderson leżała wsparta o stertę poduszek na wąskim, mosiężnym łóżku. Lokita zmusiła się, by powoli do niej podejść.

— Andy! — powiedziała nieco ochryłym głosem. — Och, Andy!

— Wszystko dobrze, kochanie — odparła panna Anderson. — Lekarze zawsze robią wiele hałasu o nic. Po prostu sobie odpocznę i zaraz wrócę do zdrowia. Możesz być tego pewna.

Lokita nic nie powiedziała z obawy, by nie wybuchnąć płaczem. Panna Anderson odezwała się ściszym głosem, jakby nie chciała, żeby ktoś ją podsłuchał:

— Poślij po Serge'a. Chcę z nim mówić.

— Tak, oczywiście — odrzekła Lokita. — Poszukam go.

Wyszła z pokoju. Zgodnie z jej przypuszczeniami Serge i Marie wyczekiwali nerwowo na schodach. Obydwoje pragnęli się koniecznie dowiedzieć, co stwierdził lekarz.

— Panna Anderson chce z tobą rozmawiać, Serge — oznajmiła Lokita i Rosjanin poszedł bez słowa w kierunku sypialni.

— Co powiedział lekarz na temat madame — zapytała po francusku Marie.

Lokita zaciągnęła ją do saloniku, z którego korzystali wszyscy goście pensjonatu i zapoznała z diagnozą sir George'a.

— Musimy opiekować się madame — potwierdziła Marie. — To było ponad jej siły, ta szaleńcza ucieczka z Paryża! Tu nie ma żadnych wygod, a jedzenie!... — Zrobiła minę, która wyrażała więcej niż słowa.

—Wiem odparła Lokita. — Może zdołamy ją przekonać, że powinniśmy wszyscy wrócić do domu.

Mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że Andy nie zgodzi się na powrót do Paryża, dopóki jest tam książę. Ukrywały się przed nim i Lokita wiedziała, że było nader mało prawdopodobne, by szukał ich w Islington.

Usłyszała, jak Serge wychodzi z sypialni panny Anderson i idzie na dół po schodach. Popatrzyła na Marie.

— Ciekawe, dokąd Andy go wysłała.

Weszła z powrotem do sypialni. Panna Anderson miała zamknięte oczy, ale gdy Lokita zbliżyła się do łóżka, otworzyła je i uśmiechnęła się.

— Dokąd posłałaś Serge'a? — zapytała Lokita.

— Ma się dowiedzieć, czy lord Marston jest w Londynie — odrzekła Andy.

Lord Marston siedział w bibliotece w swoim domu przy Curzon Street i przeglądał ogromną stertę listów, które zastał po powrocie z Paryża. Chociaż wrócił już przed kilkoma dniami, sterta jakby nie malała. Wiedział, że to wszystko stąd, iż mógł poświęcić niewiele czasu na korespondencję, dopóki gościł u niego ksiązę.

Odkrywszy, że Lokita została potajemnie wywieziona, ksiązę zachowywał się jak szaleniec i lord Marston z największym trudem powstrzymał go przed popełnieniem jakiegoś desperackiego czynu.

— Straciłem ją! Boże, Hugo, straciłem ją! — wykrzykiwał w kółko.

Nie chciał wrócić na przyjęcie, pojechali więc do domu Lokity w pobliżu Bois. Ksiązę tak długo walił w drzwi, aż dozorca, człowiek w średnim wieku, zszedł zalekniony na dół w narzuconym na nocną koszulę płaszczu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ksiązę zaczął go wypytywać, ale było oczywiste, że dozorca niewiele wie. Wyjaśnił, że on i jego żona mieli na prośbę Marie, ich siostrzenicy, opiekować się domem po wyjeździe pań.

— Dokąd pojechały? — zapytał zapalczywie ksiązę.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Może do Angli?

Zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł, że chyba tak. Słyszał, jak siostrzenica mówiła, że będą potrzebowały ciepłej odzieży, ponieważ z pewnością w Londynie jest zawsze zimno.

Księżę spojrział na lorda Marstona.

— Londyn! — zawołał.

Była to jednak jedyna informacja, jaką zdołał Uzyskać. Marie nie zwierzała się swoim krewnym, a lord Marston wątpił, by panna Anderson powiedziała komukolwiek, gdzie zamierza się zatrzymać. Było oczywiste, że starannie zaplanowała ich nagły wyjazd i lord Marston żywił przekonanie, iż do ostatniej chwili utrzymywała go w tajemnicy przed Lokitą. Wypytywany przez księcia dozorca powiedział im, że panna Anderson sprzedała cenną ikonę. Jego żona słyszała, jak Marie mówiła do opiekunki Lokity: „*M'mselle* bardzo lubi tę ikonę. Ma dla niej szczególne znaczenie. Będzie zmartwiona, kiedy ją straci.” — Na to ostro zareagowała panna Anderson: „Nie musi się wcale dowiedzieć, że została sprzedana”.

Księżę odgadł, kto w Paryżu może handlować drogocennymi ikonami. Następnego ranka poszedł z lordem Marstonem ją odkupić i bez wątpienia zapłacił dwa razy więcej niż kosztowało handlarza. Przedmiot należący do Lokity stanowił jednak dla księcia cenny nabytek.

Postanowił potem, że muszą jechać do Londynu i ledwie lord Marston zdążył poinformować o swoich planach brytyjskiego ambasadora, siedzieli już w pociągu pędzącym nad morze. Kiedy dotarli do Londynu, nawet

książę musiał zdać sobie sprawę, że niełatwo będzie odnaleźć tam dwie kobiety, skoro nie mieli pojęcia, gdzie mogły się ukryć.

Rozcinając właśnie kolejny list, lord Marston pomyślał, że książę musi wynajmować prywatnych detektywów, aby przetrząsali całe miasto. Poszukiwania te utrudniał znacznie fakt, że nie dysponowali fotografiami panny Anderson ani Lokity, które ułatwiłyby ich identyfikację. Wyglądało to beznadziejnie, ale lord Marston uważał, że książę ma się przynajmniej czym zająć. Cierpiał na coś, co Rosjanie określają słowem *toska* — wewnętrzne rozdarcie, duchowe katusze, stanowiące dla wszystkich Słowian element właściwego im fatalizmu. W przypadku księcia było to tak intensywne i do tego stopnia przepełniało go rozpaczą, że lord Marston obawiał się czasami, by nie chciał skrócić swych cierpień, odbierając sobie życie. Jedno nie budziło wątpliwości: książę był bez pamięci, do szaleństwa zakochany. Lord Marston widywał w przeszłości, jak jego przyjaciel gonił zaślepiony, Oczarowany, czy niemal zauroczony za różnymi kobietami, ale nigdy dotąd książę nie uległ emocjom, które by do tego stopnia nim wstrząsnęły, nie pozostawiając miejsca na nic prócz głębi żywiołowej miłości.

Lord Marsten pomyślał z zadumą, że jego przyjaciel nie jest już księciem, arystokratą, posiadaczem wielkiej fortuny i władzy, jest po prostu mężczyzną. Mężczyzną tęskniącym za czymś nieosiągalnym, oszalałym po stracie wszystkiego, co miało dla niego znaczenie i pogrążonym w mrokach wszechogarniającej rozpacz.

— Dzięki Bogu, że nigdy nie byłem aż tak zakochany! — mówił sobie po raz setny lord Marston.

W drzwiach pojawił się służący i lord spojrzął na niego zniecierpliwiony. Nie życzył sobie, by mu przeszkadzano, bo chciał załatwić jak najwięcej korespondencji, zanim wróci księżę..

— Jakiś człowiek pragnie się z panem widzieć, milordzie.

— Nikogo teraz nie przyjmuję.

— On bardzo nalega, milordzie. Mówi, że ma wiadomość od jakiejś panny Anderson.

Lord Marston spojrzął na służącego z niedowierzaniem.

— Powiedziałaś: od panny Anderson?

— Tak, milordzie.

— Natychmiast go wprowadź!

— Tak jest, milordzie.

Lord Marston wyszedł zza biurka i kiedy wprowadzono Serge'a, stał przy kominku. Barczysty Rosjanin zatrzymał się w drzwiach mnąc w rękach czapkę.

— Dzień dobry, Serge — przywitał go spokojnie lord Marston.

— Dzień dobry, milordzie.

— Masz dla mnie jakąś wiadomość?

— Tak, milordzie.

— O co chodzi?

— Panna Anderson wysłała mnie do pana, milordzie, żebym się dowiedział, kiedy wraca pan z Paryża, bo chciałyby się z panem zobaczyć. W pilnej sprawie!

— W takim razie — odparł lord Marston — będzie najlepiej, jeśli zaraz mnie do niej zaprowadzisz.

— Tak jest, milordzie.

W ciągu paru minut przygotowano powóz Jego Lordowskiej Mości. Lord Marston zajął miejsce w środku, a Serge wspiął się na kozioł siadając obok woźnicy.

Lord Marston zastanawiał się po drodze, po co po niego posłano. Czyżby coś się stało Lokicie? — rozmyślał. — Zdarzył się jakiś wypadek? Gdyby zginęła albo była ranna, w jaki sposób mógłby powiedzieć o tym księciu? Przez całą drogę zachodził w głowę, jakie to niezwykle okoliczności skłoniły pannę Anderson, żeby po niego posłała.

Gdy powóz zatrzymał się przy lichym pensjonacie na Islington Square, pomyślał wysiadając na chodnik, że nie jest to dla Lokity najwłaściwsze miejsce. Zobaczywszy ją w małym, ciemnym holu, gdzie na niego czekała,

odniósł podobne wrażenie. Gdy wyciągnęła do niego ręce, ujrzał w jej oczach radość.

— Przyjechał pan z Serge'em! — zawołała. — Andy nie była pewna, czy wrócił pan już do Londynu.

— Wróciliśmy z księciem w dzień po pani wyjeździe— wyjaśnił lord Marston.

Zobaczywszy wyraz oczu Lokity w chwili, gdy wspomniał o księciu, zrozumiał bez słów, że cierpiała tak samo jak on.

— Andy jest chora — oznajmiła Lokita, gdy wchodzili po schodach, — Badał ją znany lekarz, sir George Lester. Powiedział, że nie wolno jej denerwować i musimy wszyscy... robić to... czego zechce.

— Gdy przeszli kilka kolejnych stopni, Lokita dodała:

— Sir George powiedział, że jest chora na serce. Boję się... strasznie się boję, że może jej się coś... przydarzyć.

Lord Marston rozumiał, co ma na myśli. Lokita otworzyła drzwi.

— Przyjechał lord Marston, Andy — oznajmiła.

— Czy mogę go wprowadzić?

— Niech wejdzie, Lokito. I chcę z nim zostać sama — odparła panna Anderson. Lord Marston zauważył, że w jej głosie dźwięczał nadal władczy ton. Lokita uśmiechnęła się do niego, gdy wchodził do sypialni.

— Przykro mi słyszeć, że jest pani chora, panno Anderson — powiedział.

Usiadł na stojącym obok łóżka krzesło.

— Posłałam Serge'a, aby pana odszukał, lordzie Marston — odrzekła panna Anderson — ponieważ potrzebuję pańskiej pomocy.

— Wie pani, że zrobię wszystko, co w mojej mocy — oświadczył.

— Zostało mi niewiele życia — stwierdziła panna Anderson. Lord Marston chciał zaprotestować, ale nie dopuściła go do głosu mówiąc: — Zmusiłam lekarzy, żeby powiedzieli mi prawdę. Zawsze niechętnie to robią. Umieram i martwię się teraz wyłącznie o Lokitę.

— Oczywiście — mruknął lord Marston.

— Tylko panu mogę zaufać — powiedziała.

— Dlatego, lordzie Marston, pytam, czy zechce pan ją poślubić. — Lord Marston siedział sztywno, kompletnie zaskoczony, a panna Anderson ciągnęła dalej:

— Na razie jej pochodzenie musi pozostać tajemnicą i nie mogę panu wyjawić, kim jest. Mogę jedynie zaświadczyć najświętszym słowem honoru, że dorównuje panu urodzeniem. — Zamilkła, po czym dodała:

— Pewnego dnia dowie się pan, kim ona jest i skąd pochodzi, ale na razie proszę mi zaufać i wziąć ją za żonę.

Mówiła coraz słabszym głosem, wpatrując się jednak ciągle w twarz lorda Marstona, który po chwili powiedział:

— Będę z panią szczerą, panno Anderson. Nie wyobrażałem sobie ani przez chwilę, że otrzymam tak dziwną propozycję, ani nie myślałem, by Lokita, choć jest bardzo piękna, mogła należeć do mnie. — Wciągnął głęboko powietrze, po czym mówił dalej: — Sądzę, że ona kocha księcia Iwana Wołkońskiego, który darzy ją szaleńczą, żarliwą miłością.

— Jestem tego świadoma — odparła ostro panna Anderson — ale wie pan równie dobrze jak ja, lordzie Marston, że on nie może jej poślubić. — Lord Marston nic nie odpowiedział, a panna Anderson ciągnęła dalej: — Mieszkałam w Rosji. Ponieważ matka księcia była z dynastii Romanowów, potrzebna mu jest do małżeństwa zgoda cara. W jej głosie pobrzmiewała ironia, gdy dodała: — Wiemy oboje, że car nie pozwoli księciu na poślubienie młodej kobiety, która nie dość, że występowała na scenie, to jeszcze nie może udowodnić, kim byli jej rodzice.

— Uważa pani, że w moim przypadku to będzie bez znaczenia? — zapytał lord Marston.

— Jest pan Anglikiem, tak jak ojciec Lokity. Poza tym ona ma nie tylko piękną twarz, ale i charakter. Jestem przekonana, że ożeniwszy się z Lokitą, głęboko ją pan pokocha.

— I sądzi pani, że ona mnie również? — zapytał lord Marston.

Panna Anderson zamknęła oczy.

Kiedy tak leżała wsparta o poduszki, lord Marston uświadomił sobie po raz pierwszy, jak wątło wygląda i jak bardzo się zmieniła, odkąd widział ją ostatnio w Paryżu. Wówczas zasługiwała na przydomek „bazyliszek”, gdyż miała w sobie tyle siły i ognia, że budziła niemal postrach. Teraz była jedynie starą schorowaną kobietą — starszą niż sądził — z twarzą pooraną zmarszczkami nie tylko z powodu wieku, ale i cierpienia. Przypomniawszy sobie słowa Lokity, lord Marston powiedział szybko:

— Czy da mi pani czas na przemyślenie tej propozycji? Prześlę pani wiadomość po południu albo wieczorem.

Panna Anderson otworzyła oczy i oznajmiła, jakby wcale go nie słyszała:

— Chcę, żeby poślubił pań Lokitę natychmiast na mocy specjalnego zezwolenia! Ona musi być bezpieczna! Musi!

— Rozumiem — odparł uspokajająco lord Marston — i obiecuję, że bardzo poważnie się nad tym zastanowię.

Powiedziawszy to wstał z krzesła. Dopiero gdy dotarł do drzwi, panna Anderson odezwała się ponownie, mówiąc jakby z wysiłkiem:

— Nie mogę zaufać nikomu... oprócz pana... a Lokita... musi być... bezpieczna!

Książę czekał na powrót lorda Marstona. Stał przy oknie, patrząc niewidzącym wzrokiem na ogród. Wszedłszy do środka, lord Marston zorientował się na pierwszy rzut oka, że jego spotkanie z detektywami nie przyniosło pomyślnych rezultatów. Z pewnością przyjęli pieniądze, ale był

przekonany, że aby zabezpieczyć swą reputację, poinformowali księcia, iż stawia przed nimi niemal niewykonalne zadanie.

Lord Marston przeszedł przez pokój i stanął przed kominkiem.

— Mam dla ciebie wiadomość, Iwanie.

— O co chodzi? — zapytał książę nie odwracając się.

— Widziałem się właśnie z Lokitą!

Książę odwrócił się na pięcie. Miał wyraz twarzy człowieka, który wyszedł nagle z ciemnego lochu na słońce.

— Widziałeś... się... z Lokitą?

Oddzielał słowa, jakby z trudem je wymawiał.

— Posłała po mnie panna Anderson. Jest ciężko chora.

Książę milczał.

— Zapytała, czy dla zapewnienia Lokicie bezpieczeństwa zechciałbym się z nią ożenić.

— Ożenić się z nią? — wybuchnął książę, po czym zawołał pełnym zaciętrzewienia, grzmiącym głosem: — Jeśli dotkniesz Lokitę choćby jednym palcem, zabiję cię!

— Nie powiedziałem, że się zgadzam — stwierdził lord Marston.

— Zapewnię Lokicie bezpieczeństwo. Będę się nią opiekował i wielbił ją do końca życia.

— Ale nie możesz zaproponować jej małżeństwa.

Książę milczał.

— Panna Anderson o tym wie — kontynuował lord Marston. — Zdaje sobie sprawę, że nie możesz się ożenić bez zgody cara, ale przyznała też, że Lokita cię kocha.

Książę przeszedł przez pokój i stanął obok lorda Marstona.

— Muszę zobaczyć się z Lokitą. Muszę z nią porozmawiać.

— Gotów jesteś jej zaproponować, by została twoją kochanką? — zapytał lord Marston.

Książę przyłożył dłoń do czoła. — Jako kochankę czy żonę — będę ją kochał tak, jak nie była kochana żadna kobieta.

— Dobrze wiesz, że nie o to chodzi — powiedział lord Marston. — Szczerze mówiąc, Iwanie, moim zdaniem ona jest tak czysta i niewinna, że nie zgodzi się na jedyny układ, jaki możesz jej zaproponować.

Książę przeszedł tam i z powrotem przez pokój, po czym oznajmił stanowczo:

— W takim razie zrobimy coś, o czym Lokita nie może się dowiedzieć.

— Co masz na myśli? — zapytał lord Marston.

— Wpadłem na pewien pomysł — oświadczył książę. — Zgodzisz się na małżeństwo z Lokitą. Przywieziesz ją tutaj i wtedy weźmiemy ślub...

— Ona nie może tego zrobić — przerwał mu lord Marston.

— Jeśli powiemy Lokicie, że to będzie ślub cywilny, taki, jakie możliwe są w Anglii i że później dostanę od cara zgodę na ślub kościelny, uwierzy mi — stwierdził książę.

— Ślub cywilny? — powtórzył lord Marston.

— We Francji tego typu ceremonie odbywają się z udziałem burmistrza — powiedział zniecierpliwionym tonem książę. — Wypowiada kilka słów i narzeczeni są małżeństwem. Ktokolwiek może odegrać tę rolę.

— Chcesz oszukać Lokitę urządzając fikcyjny ślub?

— Chcę zapewnić jej na całe życie bezpieczeństwo, miłość i opiekę. — Lord Marston nie odezwał się, więc książę mówił dalej: — Zapiszę jej fortunę, sumę, jaką zechcesz. To będzie część „małżeńskiego kontraktu”. — Spojrzał na lorda Marstona i powiedział gniewnie: — Dobry Boże, Hugo, widzisz przecież, że to jedyne rozwiązanie problemu! Kocham Lokitę i ona mnie kocha, ale na razie nie możemy się pobrać. Może później zdołam przekonać cara, kto wie.

— Panna Anderson zapewniła mnie, że Lokita dorównuje mi urodzeniem — stwierdził lord Marston — ale tobie nawet to może nie wystarczyć.

— Myślisz, że interesuje mnie, kim byli jej rodzice czy przodkowie? — zapytał ze złością ksiązę.

— Niech sobie pochodzi z rynsztoka albo z królewskiej rodziny. To Lokita! I jest moja! Niczego więcej nie musimy brać pod uwagę.

Lord Marston westchnął.

— Przyznaję, że choć mam dla Lokity wiele podziwu i współczuję jej z powodu sytuacji, w jakiej się znalazła, ale nie chcę żenić się z żadną kobietą, która kocha innego mężczyznę.

— Ona kocha mnie. — Ksiązę mówił dalej łagodniejszym już tonem: — Wiesz, że ja ją także. Jej szczęście i przyszłość są w twoich rękach,

— To za duża odpowiedzialność — zaprotestował lord Marston. — A gdyby dowiedziała się kiedyś, że nie jest w istocie twoją żoną? Wyklęłaby cię za to, że ją oszukałeś.

— A jakie jest inne wyjście? — zapytał rzeczowo ksiązę. — Jeśli panna Andersen umrze, chcesz żeby Lokita wróciła na scenę, nie mając żadnego zabezpieczenia? — Lord Marston milczał, więc ksiązę ciągnął dalej: — Wiemy, że nie ma żadnych pieniędzy prócz tych, które dostały za sprzedanie ikony. Zrób, jak proponuję, Hugo. To jedyne wyjście.

Zapadła cisza, w której słychać było tykanie zegara, po czym lord Marston powiedział niechętnie:

— Pewnie masz rację, że to jedyne rozwiązanie. Ksiązę triumfował.

— Napisz zaraz, że przyjedziesz po Lokitę dziś wieczorem. Zdążymy w ten sposób przeszkolić kogoś w udzielaniu ślubu i zredagować niezbędne dokumenty, dotyczące pieniędzy, które jej zapiszę. — Powiedział to zupełnie spokojnie, po czym nagle wyrzucił ręce nad głowę i krzyknął triumfalnie: — Odnaleźliśmy ją! Odnaleźliśmy ją, Hugo, i powróciłem do życia!

Siedząc w zamkniętym powozie lorda Marstona Lokita spoglądała na niego z niepokojem.

— Andy powiedziała, że mam z panem pojechać tam, gdzie zechce pan mnie zabrać — oznajmiła — ale nie wspomniała, dokąd się pan udaje.

— Co jeszcze pani powiedziała? — zapytał lord Marston.

— Kiedy podczas lunchu dostała pańską wiadomość, wydawała się uszczęśliwiona. Prawdę mówiąc, nie widziałam jej tak uradowanej od wyjazdu z Paryża.

— I co mówiła? — zapytał.

— Powiedziała, że przyjedzie pan po mnie o piątej i że mam robić dokładnie to, co pan każe, ale nie chciała mi wyjawić, o co chodzi. — W głosie Lokity pobrzmiwał jeszcze większy niepokój, gdy dodała:

— Byłam przerażona, bo słyszałam, jak mówiła do Marie, żeby... spakowała moje rzeczy. Czy mam zostać u pana... na noc?

— Myślę, że nawet dłużej — odparł lord Marston. — Widząc pytające spojrzenie Lokity, dodał:

— W moim domu ktoś na panią czeka. Ktoś, kto bardzo panią kocha!

— Książę! — Lokita z trudem wyszeptała to słowo.

— Tak, książę — potwierdził lord Marston. — Proszę mi powiedzieć, Lokito, czy naprawdę go pani kocha?

Widząc jej promieniejącą twarz, domyślił się odpowiedzi, zanim odrzekła:

— Kocham go całym sercem. Czułam się strasznie nieszczęśliwa, bo myślałam... że już nigdy go... nie zobaczę.

Drzenie jej głosu było bardzo wzruszające. Lord Marston położył rękę na dłoni Lokity mówiąc:

— Czy kocha go pani na tyle, aby oszukać pannę Anderson, która także jest pani bliska?

— O czym pan mówi?

— Kiedy, przyjechałem dziś rano zobaczyć się z panną Anderson — odparł lord Marston — zapytała mnie, czy się z panią ożenię.

Poczuł, jak Lokita drętwieje ze zdumienia i zrozumiał, że nie miała pojęcia o tej

propozycji.

— Jest pani bardzo piękna, Lokito — kontynuował lord Marston — ale oboje wiemy, że nie mamy się ku sobie i że darzy pani uczuciem księcia.

— Myślę... myślę, że on mnie... kocha — wyszeptała.

— Kocha panią całym sercem i duszą — powiedział lord Marston. — Odkąd wyjechała pani z Paryża, zachowywał się jak człowiek, który poczuł tchnienie śmierci. Sądził, że nigdy już pani nie odnajdzie.

— A czy teraz... ożeni się ze mną?

— Pobierzecie się, ale musimy zachować to w tajemnicy — ostrzegł lord Marston. — Rozumie pani, że księżę jest bardzo ważną osobistością i nie powinien zawierać małżeństwa bez powiadomienia rodziny i cara.

— Rozumiem — wyszeptała.

— Ponieważ jednak panna Anderson jest tak poważnie chora i nie chcemy jej denerwować, najlepiej, żeby była przekonana, że zgodziłem się na jej propozycję i że dziś wieczorem panią poślubię.

Czuł, jak palce Lokity drżą w jego dłoni i domyślał się, o co chciała zapytać.

— W istocie — powiedział cicho — wyjdzie pani za księcia.

—Wyjdę... za niego?

Słowa te zabrzmiały jak hymn radości.

— Będzie to tylko ślub cywilny — wyjaśnił lord Marston. — Nieefektowny i banalny. Ale księżę ma nadzieję, że później, gdy porozumie się z carem, będziecie mogli otrzymać błogosławieństwo Kościoła.

— Tego właśnie bym chciała — stwierdziła szczerze Lokita.

— Oczywiście — zgodził się lord Marston. — Ale na razie, ponieważ musimy działać szybko, nie ma na to czasu.

— Myśli pan, że Andy... jest umierająca? — zapytała z wahaniem Lokita.

— Tak mi powiedziała — odparł lord Marston.

— Dlatego jestem przekonany, że ma pani rację — nie powinniśmy jej denerwować.

— Oczywiście, że nie — przyznała Lokita. Konie zatrzymały się przed domem lorda Marstona, który wysiadł i podał rękę Lokicie, gdy zstępowała na rozłożony na chodniku czerwony dywan. Minęli marmurowy hol, po czym lord Marston otworzył drzwi, przez które Lokita weszła sama.

Księżę stał na środku pokoju. Patrząc na niego, Lokita pomyślała, że jest jeszcze bardziej przystojny i nieodparcie pociągający, niż go pamiętała.

Ich oczy spotkały się i przez chwilę żadne z nich nie było w stanie się poruszyć. Potem księżę wyciągnął po prostu ramiona i Lokita podbiegła do niego. Po^o chwycił ją, przyciskając do siebie tak mocno, że czuła w piersiach szaleńcze, hałaśliwe bicie jego serca.

Po chwili odezwał się zdławionym z emocji głosem:

— Moją kochana! Mój skarbie! Moja mała *drużko*! Myślałem, że już nigdy cię nie odnajdę!

— Przeżywałam katusze... kiedy się rozstaliśmy — wyszeptała.

— Ale teraz trzymam cię w ramionach i, Boże, tak bardzo cię Kocham!

Książę spojrział na jej zwróconą ku górze twarz, po czym delikatnie, jakby całkowicie nad sobą panując, pochylił głowę i dotknął ustami jej warg. Pocałował ją najpierw z taką czułością, że dziewczynie napłynęły do oczu łzy. Potem, gdy jej wargi stały się miękkie i uległe, przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Całował ją teraz bardziej natarczywie, zabójczo. Była w tym jakby prośba, by oddała mu swe serce i dzieliła z nim duszę.

Lokita odbierała to o wiele intensywniej niż całe piękno tańca i duchowe wzloty, które odczuwała słuchając muzyki.

Narastał w nich obojgu jakby palący, słoneczny żar. Było to tak zniewalające, tak cudowne i wspaniałe, że Lokita miała wrażenie, iż światło, które między nimi rozbłysło, oślepiają i przenika w głąb ciała, ogarniając ich oboje.

To miłość — pomyślała, całym swym jestestwem wychodząc naprzeciw pragnieniom księcia. Czowała, jak każdy jej nerw tętni intensywnym aż do bólu zachwytem i radością.

Kocham cię! Kocham! Miała ochotę głośno wykrzykiwać te słowa, skakać, tańczyć w uniesieniu i zachwycie. Ale książę nadal więził ją w

ramionach i całował z dziką namiętnością, jak człowiek zmartwychwstały do życia.

Kiedy podniósł głowę, ujrzała w jego oczach zdumienie i zrozumiała, że czuje to samo co ona.

— Czy to prawda, że tu jesteś, że stoisz obok mnie, że mogę cię... dotknąć? — zapytał niepewnym głosem.

— To prawda... — odparła.

— Powiedz mi, co czujesz.

— Kocham cię! Nie wiedziałam, że miłość może być tak cudowna... tak doskonała... jak muzyka... i światło.

— Światło, które mi przyniosłaś, moja *drużko* — powiedział książę.

Potem znowu zaczął ją całować: policzki, usta, pulsującą z emocji żyłkę na jej szyi i jeszcze raz usta... Upłynęło sporo czasu, zanim pociągnął Lokitę w kierunku sofy i usiedli obok siebie. Obejmował ją ciągle ramionami, jakby się bał, że mu ucieknie.

— Czy Hugo powiedział ci, co zaplanowaliśmy? — zapytał.

— Mamy się... pobrać — odparła Lokita drżącym z podniecenia głosem.
— Ale trzeba zachować to w tajemnicy.

— Tak, trzeba zachować to w tajemnicy — powtórzył książę. — Ważne, że będziesz moja, moja! Będziesz częścią mego serca i duszy, jak było nam zawsze przeznaczone.

— Mówiłeś to, gdy... rozmawialiśmy po raz pierwszy.

— Mówiłem szczerze — stwierdził ksiązę. — Kiedy uciekłaś, nie zjawiając się na przyjęciu, trudno, bardzo trudno było mi uwierzyć, że cię nie straciłem, moja kochana, ale los znowu nas złączył i tylko to się liczy.

— Czy... przyjęcie się... udało? — zapytała ze smutkiem Lokita.

— Bez ciebie było żalosną farsą.

— Przykro mi...

— Będiesz miała tysiąc przyjęć — powiedział.

— Jakie sobie zażyczysz, ale na razie chcę tylko twojego towarzystwa.

— Ja... ja też... tego pragnę... — wyszeptała Lokita.

Przyciągnął ją bliżej do siebie, pieścąc dłońmi i dotykając wargami delikatnego policzka. Potem rzekł z wysiłkiem:

— Muszę ci powiedzieć, co zaplanowaliśmy. Pobierzemy się za godzinę i pomyślałem, gwiazdo mojego życia, mój spełniony śnie, że zostaniemy tu na noc.

— Jeśli tak sobie życzysz... — odparła Lokita.

— Wiesz, że chcę... robić to, co się tobie podoba.

— Ty mi się podobasz — odparł z ożywieniem ksiązę. — Wszystko w tobie podoba mi się, zachwyca mnie i oczarowuje. Pragnę tylko tego, by: do końca życia móc cię uszczęśliwiać, uzmysławiać ci, jak bardzo jesteś mi potrzebna, jak całkowicie do siebie należymy.

Lokita wydała pełen rozkoszy pomruk, przytulając twarz do jego szyi. Ucałował jej włosy, po czym rzekł:

— Hugo zaofiarował nam swój dom na wsi. Możemy tam jutro pojechać i spędzić w nim nasz miodowy miesiąc.

Lokita podniosła głowę. Jej oczy błyszczały.

— Może pojeździmy konno?

— Zrobimy, co będziesz chciała — odparł książę.

— Pozwól mi tylko cię kochać i mówić ci, jaka jesteś piękna.

Lokita zarumieniła się.

— Wiesz, że... chcę tego — szepnęła, unosząc rękę, aby dotknąć jego policzka.

Książę ujął jej dłoń i zaczął całować tak jak przedtem.

— Kocham cię! Kocham! — powtarzał. — Będę musiał nauczyć cię rosyjskiego, moja najdroższa, bo w angielskim i francuskim brakuje słów, aby wyrazić moją miłość.

— Mówię trochę po rosyjsku — odparła Lokita.

— Wystarczy, żeby rozmawiać z Serge'em, ale na pewno możesz mnie nauczyć o wiele więcej.

— Chcę cię nauczyć wielu rzeczy, tak wielu, mój drogocenny kwiatuszku, że potrzebna będzie na to cała wieczność. Ich początkiem i końcem jest miłość.

Zamierzał ją pocałować, lecz się powstrzymał.

— Mówiłem ci, co zrobimy — rzekł. — Ale mam wrażenie, że gdyby panna Anderson gorzej się poczuła, wolałabyś nie wyjeżdżać na razie za granicę.

— Jesteś taki... dobry i delikatny — wyszeptała Lokita. — Ona rzeczywiście poważnie zachorowała... Bardzo się boję...

Nie potrafiła powiedzieć więcej, gdyż ramiona księcia działały nader kojąco i odsuwały na bok wszystkie troski.

— Będę się o ciebie troszczył tak jak ona — obiecał. — I może pewnego dnia poznamy wszystkie sekrety, których nie jesteś w stanie mi wyjawić.

— Masz na myśli moje pochodzenie? — zapytała Lokita.

— Jesteś bardzo tajemniczą osobą — odpowiedział z uśmiechem.

— Myślę, że Andy wszystko spisuje — stwierdziła Lokita. — Odkąd przyjechałyśmy do Londynu zasiada do pisania, kiedy tylko w miarę dobrze się czuje. Zapełniła wiele kartek papieru i nie chce mi ich pokazać. Są zamknięte w skrytce.

— Więc nie będziemy się nimi przejmować — stwierdził książę strofującym tonem. — Chcę jedynie myśleć o tobie, pytać, czy jesteś szczęśliwa i czy mnie kochasz.

— Wiesz, że cię kocham — odparła Lokita. — Bardziej niż potrafię wyrazić słowami.

— Więc niech wyrażą to twoje usta — powiedział książę nachylając twarz do jej warg.

Lokita przeszła z księciem z jadalni do salonu, którego jeszcze nie widziała. Pokój był pełen kwiatów i miała wrażenie, że przez swój zapach stanowią jakby część jej miłości.

Służący przyniósł karafkę brandy i postawił ją na stoliku.

— Czy potrzebuje pan jeszcze czegoś, Wasza Wysokość? — zapytał.

— Nie — odparł książę.

Służący skłonił się i wyszedł z pokoju. Lokita odwróciła się od wazonu z kwiatami, który właśnie podziwiała.

— Podejdź tu! — poprosił książę. Wyglądało na to, że czekała tylko na zaproszenie, bo podbiegła do niego, poruszając się po dywanie z taką lekkością, jakby jej stopy w ogóle nie dotykały ziemi. Przycisnął ją mocno do siebie, ale nie pocałował, tylko patrząc jej w oczy zapytał:

— Jak możesz być taka piękna, taka doskonała? Ciągle nie potrafię uwierzyć, że naprawdę istniejesz, że nie jesteś tylko wytworem mojej wyobraźni.

Lokita zaśmiała się cicho.

— Naprawdę istnieję... i jestem teraz... twoją żoną. Nigdy nie przypuszczałam... nie marzyłam, zobaczywszy cię po raz pierwszy... że włożysz mi na palec ślubną obrączkę.

— Zawsze próbowałam ukrywać się przede mną w mroku, ale teraz, moja droga biała orchideo, już mi nie uciekniesz.

— Myślisz, że... chciałabym tego? — zapytała.

Głos drżał jej lekko z emocji. Książę pochylił się i ucałował najpierw białe ramię Lokity, a potem przesunął wargami po skórze aż do szyi. Poczul, jak przechodzi ją lekki dreszcz podniecenia. Ich usta przyłgnęły do siebie. Całował ją namiętnie i pożądliwie. Potem, nadal zamykając jej usta pocałunkiem, wziął ją na ręce i usiadłszy w dużym wygodnym fotelu tulił do siebie jak małe dziecko.

— Od pierwszej chwili zawsze chciałem móc tak cię objąć — powiedział swym głębokim głosem.

W czułym geście przyłgnęła policzkiem do jego ramienia.

— Tamtej nocy, gdy wyratowałeś nas z rąk bandytów i jedliśmy razem kolację, pragnęłam, żebyś... mnie pocałował — wyszeptała.

— Myślisz, że ja tego nie chciałem? — zapytał książę. — Nigdy w życiu nie musiałem tak bardzo się hamować.

— Więc czemuś., tego nie zrobiłeś? — zapytała.

— Bo bałem się, że cię przestraszę, moja *drużko*. Wiedziałem, że jesteś moja, że nasze serca biją zgodnie, a nasze dusze lgną do siebie. Ale wiedziałem też, że jesteś bardzo młoda i niewinna.

Znowu przytuliła głowę do jego ramienia.

— Chcę być... wystarczająco doświadczona, żeby wiedzieć... czego chcesz i móc uczynić cię szczęśliwym— szepnęła.

— Już mnie uszczęśliwiasz, po prostu będąc sobą — odparł książę. — Chciałbym umieć wyrazić słowami, moja najdroższa, jak bardzo to, co do siebie czujemy, różni się od wszystkiego, co dotychczas przeżywałem. Nie chodzi o życiowe doznania lub ich brak, doświadczenie czy niewinność. Chodzi o to, że jesteś drugą połową mnie samego.

— Czy to może być prawdą? — zapytała Lokita. — Jesteś tak wspaniały... taki przystojny i... władczy.

— A ty jesteś delikatna, słodka i bardzo kobieca — odpowiedział książę, a każde jego słowo brzmiało jak pieszczota.

Czuła dotyk jego dłoni i drżała, jakby była instrumentem reagującym na delikatne palce muzyka.

— Kocham cię! — powiedziała.

— Jak bardzo? — zapytał.

— Moja miłość jest jak cały świat, ocean, niebo, jest większa niż sam raj — oznajmiła.

— To właśnie chciałem od ciebie usłyszeć — odparł książę. — Nauczę cię miłości, najdroższa, sprawię, że pokochasz mnie tak, że przestanie się liczyć cały świat, a raj będzie istniał tylko w moich ramionach.

Jego głos był pełen namiętności, a oczy pały ogniem. Potem zaczął ją całować tak, że z trudem mogła oddychać, a całe jej ciało przenikały drobne ogniki. Nagle wysunęła się z jego objęć.

— Chcę dla ciebie zatańczyć — szepnęła. — Tak, jak tańczyłam dla taty, ale to będzie... cudowniejsze i ważniejsze... bo przeznaczone... dla ciebie.

Książę wziął głęboki oddech.

— Zatańcz, najdroższa! — powiedział.

Oddaliła się od niego na środek pokoju. Światło świec z kryształowych kinkietów rozbłyskiwało w jej jasnych włosach, a oczy były pełne czułości. Przez chwilę stała w bezruchu, jakby nasłuchiwała dźwięków muzyki, które powiedziałyby jej, co ma robić.

Potem zaczęła poruszać się powoli, wykonując taniec, którego książę nigdy przedtem nie oglądał, wiedział jednak, że powstał on w sercu Lokity i wyraża miłość, którą w niej obudził. Był to taniec radości i szczęścia, nie pochodzący z tego świata, lecz z boskiego natchnienia. Wyciągała ramiona, chcąc pochwycić otaczającą ją miłość, po czym, jak gdyby nie była ona pełna bez błogosławieństwa niebios, wznosiła ręce ku górze.

Następnie, podobnie jak na scenie, dała księciu do zrozumienia, że nie tańczy sama, lecz jest z nią ktoś jeszcze, ktoś kogo kochała i kto ją darzył

uczuciem. Przedstawiała to tak obrazowo, tak przekonywająco, że ksiązę uwierzył niemal, iż Lokita porusza się w otoczeniu innych osób. Wtedy właśnie, ponieważ ich myśli były tak zgodne, zrozumiał, że wspomina jego matkę. Potrafiła przywołać jej ducha w taki sposób, że ksiązę wyczuwał wyraźnie obecność matki i słyszał niemal, jak do niego przemawia. Wrażenie było tak silne i nieodparte, że wstał nagle z fotela i krzyknął głośno:

— Przestań!

Lokita znieruchomiała nagle, jakby wyrwana z transu. Ręce trzymała nadal wyciągnięte w kierunku czegoś niewidzialnego, miała rozchylone usta i oczy wpatrzone w przestrzeń.

— Powiedziałem: przestań — powtórzył ksiązę dziwnie brzmiącym głosem. — Nie mogę cię oszukiwać. Muszę wyjawić ci prawdę.

— Prawdę? — rzekła Lokita. Wydawało się, że jej głos dochodzi z bardzo daleka.

— Tak, prawdę — oznajmił ponownie. — Kocham cię, wielbię, ubóstwiam! Padam do twoich stóp, ale mój drogocenny kwiatuszku, nie jesteśmy małżeństwem!

Trwała w bezruchu, nic nie odpowiadając, więc po chwili ksiązę dodał:

— Nie mogę legalnie cię poślubić bez zgody cara, ale oddałem ci całą moją miłość. Każde moje tchnienie należy do ciebie i przysięgam na Boga i na pamięć mojej matki, że nigdy cię nie zawiodę, że będę cię kochał i chronił aż, do śmierci.

Zaległa cisza, tak pełna napięcia, że odnosiło się wrażenie, jakby oboje nie tylko nie mogli mówić, ale nawet oddychać.

Potem, przekonany niemal, że Lokita od niego odchodzi, choć w istocie nie zrobiła ani kroku, książę krzyknął, a w jego głosie brzmiała nuta rozpacz.

— Jeśli dostatecznie mnie kochasz, tak jak ja ciebie, powinno to być bez znaczenia, bez różnicy. Miłość jest większa niż jakiegokolwiek ustanowione przez człowieka prawa. Chyba w to wierzysz?

Lokita nie poruszyła się, tylko ręce opadły jej wzdłuż boków. Zaczęła nagle sprawiać wrażenie bardzo małej i zagubionej.

Książę chciał zrobić krok w jej kierunku, ale zreflektował się i powiedział:

— Powiedziałem ci o tym, bo cię kocham, bo nie zniósłbym, gdybyśmy musieli mieć przed sobą tajemnice. Powiedz, że nic się nie liczy prócz naszej miłości — powiedz mi to!

Ostatnie słowa zabrzmiały rozkazująco. Lokita odpowiedziała tak cicho, że z trudem usłyszał jej szept:

— Muszę się... zastanowić... Muszę pomyśleć...

Przytknęła dłonie do czoła, po czym odwróciła się i bardzo powoli się od niego oddalając, poszła przez pokój w kierunku drzwi.

ROZDZIAŁ 6

Lokita szła powoli z Marie przez Boulevard de la Madeleine. Obie milczały. Lokita miała wrażenie, że minął wiek, odkąd opuściły Londyn, aby wrócić pospiesznie do Paryża i znów się ukrywać, jak robiła to przez całe lata. Nawet teraz, gdy próbowała od kilku dni przystosować się do dawnego trybu życia, na myśl o księciu łzy napływały jej do oczu i drżały wargi.

— Dlaczego nie postąpiłam tak, jak chciał? — pytała siebie bez przerwy w ciemnościach nocy.

Pytanie to dręczyło ją także w ciągu dnia, nie potrafiła więc skoncentrować się na niczym oprócz własnego cierpienia.

Kiedy uciekała na oślep z domu lorda Marstona, prosząc lokaja w holu, aby wezwał dla niej dorożkę, była dzieckiem, szukającym pomocy kobiety, która opiekowała się nią od niemowlęctwa. Dopiero gdy powóz zajechał przed pensjonat w Islington, przypomniała sobie, że nie powinna

denerwować ani niepokoić Andy i zaczęła zastanawiać się gorączkowo, jak wyjaśni swój powrót do domu.

Weszła do środka i nie widząc nikogo pobiegła na górę do pokoju Andy. Chwyciwszy za klamkę w drzwiach wciągnęła głęboko powietrze i przemogła się z trudem, by wejść powoli i cicho. Andy nie spała. Od niechcenia odwróciła głowę, najwyraźniej spodziewając się zobaczyć Marie. Na widok Lokity zawołała:

— Dlaczego tu jesteś? Po co wróciłaś? Dobierając starannie każde słowo, które miała wyrzucić, Lokita podeszła bliżej i uklękła przy łóżku.

— Przyszedłam prosić cię o... radę, moja najdroższa Andy — oznajmiła cicho.

— O radę? — zdziwiła się Andy.

— Nie wiem, co mam zrobić, jak powinnam postąpić.

Powiedziała to z tak dziecięcą szczerością, że panna Anderson instynktownie wyciągnęła rękę i położyła na jej dłoni.

— Jesteś przygnębiona i przestraszona — stwierdziła, mówiąc jakby do siebie. — Nie tego chciałam.

— Tylko ty... możesz mi poradzić... — rzekła Lokita.

— W jakiej sprawie? — zapytała panna Anderson, choć wiedziała już, o co chodzi.

Lokita spuściła wzrok patrząc na białe prześcieradło.

— Lord Marston mówił, że chcesz, żebym... za niego wyszła — powiedziała powoli — ale... nie mogę tego zrobić, Andy.

— Dlaczego?

— Ponieważ go nie kocham, ani on mnie. Panna Anderson milczała, więc Lokita ciągnęła dalej:

— Wiem, jak bardzo tata kochał mamę. Kiedy o niej mówił, promieniowała z niego miłość. Opowiadałaś mi też zawsze, jak bardzo mama go kochała. — Lokita ujęła w obie dłonie rękę Andy. — Jak mogę... wyjść za lorda Marstona albo... za jakiegokolwiek człowieka, którego nie darzę... taką miłością?

— Musisz być bezpieczna, moja najdroższa — odparła panna Anderson, ale jej głos brzmiał niepewnie.

— Nie chciałabyś przecież, żebym była... nieszczęśliwa albo... przerażona.

— Lord Marston jest dżentelmenem. Zaopiekowałby się tobą.

— Nie kocha mnie tak, jak... księżę. Wypowiedziała te słowa niemal szeptem, ale panna

Anderson usłyszała je.

— Księżę nie może zaproponować ci małżeństwa — oznajmiła ostro.

— Rozumiem to — odparła Lokita. — Ale czy byłoby wielką... niegodziwością, gdybym została z nim... skoro tego pragnę?

— Ojciec i matka nigdy by ci tego nie wybaczyli — odrzekła panna Anderson wyraźnie zbolalym głosem.

Lokita podniosła pociemniałe z rozpaczy oczy.

— Więc co mam zrobić? — zapytała. — Byłaś zawsze taka mądra, zawsze się o mnie troszczyłaś. Powiedz mi, Andy, bo sama... nie potrafię podjąć decyzji.

Przez chwilę panna Anderson leżała nieruchomo, po czym rzekła:

— Wezwij Marie i Serge'a.

— Ale po co? — zapytała z niepokojem Lokita.

— Ponieważ ci każą. Potrzebuję ich tutaj — natychmiast! Wracamy do Paryża!

— Do Paryża? — Lokita z trudem wymówiła te słowa.

Ale od tej chwili cokolwiek powiedziała, jej protesty, pytania, argumenty, wszystko przestało się liczyć. Panna Anderson wzięła krople, które zapisał jej sir George Lester i jakimś sposobem Lokicie i Marie udało się ją ubrać. Pomogło również kilka łyków brandy. Marie, będąc Francuzką, uważała, że to skuteczniejszy środek niż specyfiki przepisywane przez lekarzy. Z pewnością dodał sił panie Anderson podczas długiej podróży.

Wyjechali z dworca Victoria pociągiem, który wyruszał o siódmej, a gdy dotarli do Paryża, panna Anderson miała silne bóle i robiła wrażenie na wpół żywej. Siłą woli trzymała się jednak na nogach.

— Czy mam powiedzieć woźnicy, żeby zawiózł nas do domu? — zapytała Lokita, gdy

ułowali pannę Anderson w dorożce, a Serge pomógł ułożyć stertę bagaży.

— Nie! — brzmiała odpowiedź. — Pojedziemy do madame Albertini.

Lokita była zaskoczona, ale nie chciała spierać się z Andy, widząc, jak bardzo źle wygląda.

Panna Anderson znalazła jakoś siłę, żeby wyjaśnić madame, dlaczego wróciły do Paryża i zapytać, czy zaopiekuje się Lokitą, ponieważ nie ma kto tego zrobić.

Madame zdumiała się na ich widok.

— Jak mogłaś tak po prostu wyjechać? — zapytała Lokitę podniesionym głosem. — Kiedy w poniedziałek nie zjawiałaś się w teatrze, wszyscy przybiegli mnie pytać, co się stało.

Wyrzuciła ręce w powietrze w typowym dla Francuzów geście.

— Cóż mogłam powiedzieć, skoro nic nie wiedziałam?

— Przykro mi, madame — stwierdziła panna Anderson znużonym głosem. — Lokita wyjaśni, dlaczego wyjechałyśmy.

Na chwilę zaległo milczenie, zanim Lokita powiedziała cicho:

— To dlatego, że... ksiązę Iwan Wołkoński wydawał dla mnie... przyjęcie... a Andy... nie chciała, żebym na nim była.

— Olała! — zawołała. — Rozumiem. Ksiązę ma swoją sławę, a wykupywał co wieczór królewską lożę, żeby patrzeć, jak tańczysz. — Zaśmiała się krótko. Zabrzmiało to jak westchnienie. — A więc dlatego uciekłaś. Mogłam się domyślić. *C'est toujours l'amour.*

Zawsze ta miłość! — Lokita powtórzyła w myśli jej słowa i robiła to potem stale przez wszystkie kolejne dni.

Miłość, miłość, miłość! Słowa te zdawały się ją prześladować. Płacząc w nocy czuła silne ramiona księcia i dotyk jego ust, wzbudzający doznania, o których istnieniu nawet nie śniła. Całym ciałem odczuwała jego brak. Miała wrażenie, że wydarto jej serce z piersi pozostawiając otwartą ranę. Rozumiała równocześnie, dlaczego nie zataił przed nią prawdy i było to nierozłącznie związane z powodem jej ucieczki. Tańcząc dla niego czuła obok siebie obecność ojca, tak bliską, że zdawało się, iż jest kimś równie rzeczywistym co ksiązę. Towarzyszył mu ktoś, w kim rozpoznała swoją matkę, choć nie potrafiła wyobrazić sobie jej twarzy. Potem, w trakcie tańca, pojawiła się jeszcze trzecia osoba, ktoś, o kim wiedziała, że nie należy do niej, lecz do księcia. Miłość promieniująca od tej kobiety była równie żywa i rzeczywista, co miłość jej ojca.

Lokita tłumaczyła sobie w duchu, że ksiązę to wiedział i rozumiał, a ponieważ ich myśli biegły jednym torem, nie mogli się wzajemnie

okłamywać ani sprzeniewierzać się ideałom rodziców. Zbliżyła ich miłość, prawdziwa i doskonała, ale również miłość, czysta i święta, oddaliła ich od siebie. Płacząc po ciemku na wąskim łóżku w pokoiku, który zajmowała na górze w domu madame Albertini, Lokita modliła się, by pewnego dnia mogła znowu zobaczyć księcia i by kiedyś mogła należeć do niego ciałem, tak jak należała umysłem i duszą.

Skręciły z Marie z Boulevard de la Madeleine w boczną uliczkę, gdzie znajdował się dom madame.

Był to wysoki szary budynek z drewnianymi okiennicami, identyczny jak wszystkie inne na tej ulicy.

Lokita otworzyła drzwi, gdyż Marie niosła pełny kosz zakupów i kilka pakunków. Gdy weszły do środka, Marie skręciła w kierunku kuchni, a Lokita pobiegła po schodach do niewielkiego pokoju na pierwszym piętrze, do którego zaprowadziły po przyjeździe pannę Anderson. Zanim otworzyła drzwi, dobiegły ją jakieś głosy. Jak mogła się spodziewać, madame Albertini przemawiała ożywionym, choć chwilami piskliwym głosem, a Andy, leżąc na poduszkach, słuchała jej.

— A, jesteś, Lokito! — powiedziała madame, gdy Lokita weszła do pokoju. — Mówiłam właśnie pannie Anderson, że mimo tego jak się zachowałeś Théâtre Imperial du Chatelet chce cię zaangażować do następnego przedstawienia.

— Nie mogę niczego zrobić, dopóki Andy nie wyzdrowieje — odparła Lokita. Mówiąc to napotkała wzrok madame i ujrzała w jej oczach

zrozumienie, że rzecz nie w tym, kiedy Andy wyzdrowieje, lecz kiedy umrze. Musiała pozostać przy niej, aż to się stanie.

— Przypuszczałam, że tak powiesz — odrzekła energicznie madame. — Ale nie ma pośpiechu. Możesz być spokojna. Zapewniam cię, że możesz dostać rolę nie tylko w Théâtre Imperial.

Jakby chcąc szybko zmienić temat, Lokita podała jej trzymaną w ręce gazetę.

— Oto „*La Presse*”, którą miałam dla pani kupić — powiedziała do madame.

— Dobra dziewczyna! Cieszę się, że pamiętałaś — stwierdziła madame. — Uwielbiam plotki, a żaden inny dziennik nie dostarcza ich tak wiele. — Odbierając gazetę podniosła się i dodała: — Wczoraj dowiedziałam się z „*La Presse*”, że twój wielbiciel, książę, powrócił do swego pałacu na Polach Elizejskich.

Lokita milczała. Spojrzała tylko z niepokojem na Andy, ale chora kobieta chyba nie dosłyszała tych słów. Miała zamknięte oczy, a jej policzki były niemal równie białe jak poduszki, na których spoczywała. Nie chcąc rozmawiać p księciu, Lokita powiedziała pospiesznie:

— Podano dziś okropną wiadomość. Wszyscy gazeciarze wykrzykują, że jakiś anarchista zamordował Wielkiego Księcia Fryderyka z Kraśnika.

Madame Albertini prychnęła szyderczo.

— Ach, ci anarchiści! — stwierdziła. — Ciągłe groźni! Nigdy nie wiadomo, który monarcha będzie...

Przerwał jej głos dobiegający z łóżka.

— Powiedziałaś, że kto... został zamordowany... Lokito?

— Wielki Książę Fryderyk z Kraśnika. Jechał...

— Niech zobaczę — przerwała jej panna Anderson. — Proszę mi dać tę gazetę.

Wyciągnęła rękę, a jej głos brzmiał ponagląco. Madame podała jej gazetę nie ukrywając zdziwienia.

Wiadomość o zabójstwie widniała na pierwszej stronie.

WIELKI KSIĄŻĘ ZASTRZELONY PRZEZ ANARCHISTĘ *Thum*
rozrywa zabójcę na strzępy.

Panna Anderson dość długo wpatrywała się w gazetę, po czym rzekła do Lokity:

— Przyprowadź tu natychmiast księcia Iwana!

— K... księcia... Iwana? — powtórzyła Lokita, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

— Słyszałaś, co powiedziałam. Idź natychmiast! Weź ze sobą Marie albo Serge'a, ale szybko mi go tu sprowadź. Nie ma czasu do stracenia!

Skończywszy mówić, opadła na poduszki i Lokita krzyknęła zrozpaczona:

— Jej krople, madame! Szybko! Jej krople! Madame Albertini wiedziała, co robić i w ciągu kilku sekund przytknęła łyżkę do bladych warg panny Anderson. Uczyniwszy to, rzekła do

Lokity:

— Rób, co ci każe, ma *petite*. Przyrowadź księcia. Wiem, że ma mu coś do powiedzenia.

Od powrotu do domu z Marie Lokita nie zdjęła jeszcze czepka, zbiegła więc od razu po schodach. Spotkawszy w holu Serge'a nie traciła czasu na szukanie kogoś innego.

— Chodź ze mną, Serge! — powiedziała.

Uśluchał jej jak zawsze, nie zadając żadnych pytań, i w kilka minut później jechali po Boulevard de la Madeleine w kierunku Pól Elizejskich.

Kiedy Lokita opuszczała księcia, ten siedział zagłębiony w fotelu, walcząc z pokusą, by pochwycić ją w ramiona i błagać o pozostanie.

Zamierzał nigdy nie wyjawiać jej prawdy, ale cała wrażliwa, duchowa sfera natury Iwana Wołkońskiego zareagowała na nieodparte wrażenie, że Lokita przywołuje swym tańcem ducha jego matki. Czuł jej bliskość, jak to się już nieraz zdarzało od czasu jej śmierci.

Kiedyś ostrzegła go przed niebezpieczeństwem. Innym razem powstrzymała go, gdy zamierzał popełnić czyn niegodny siebie i swojej pozycji.

Miała na niego zawsze o wiele większy wpływ niż ktokolwiek poza samym księciem mógłby sądzić. Nie ożenił się, choć tego pragnęła, ponieważ nie spotkał dotąd kobiety o tak głębokiej wewnętrznej dobroci i wrażliwości jak jego matka. Mówił sobie teraz w duchu, że to głos sumienia nakazał mu powiedzieć Loki-cie o popełnionym oszustwie i

zapobiegł kontynuowaniu ich fikcyjnego małżeństwa.

— Ona mnie kocha! Wiem, że mnie kocha! — przekonywał sam siebie, czekając, aż wróci do pokoju, w którym siedział.

Uznał, że musi pozwolić jej się zastanowić i uświadomić sobie siłę ich przemożnej, wzajemnej miłości. Zrozumie wtedy tak jak on, że wszystko inne jest bez znaczenia i liczy się naprawdę tylko to, by byli razem.

Na kominku tykał zegar, a księżę siedział nieruchomo, ciągle czekając. Dopiero w ponad godzinę później, gdy nie mógł już dłużej znieść napięcia, wstał i wyszedł do holu, gotów udać się na górę, do sypialni Lokity. Nie wierzył, by zamknęła przed nim drzwi. Skłonny był w razie potrzeby paść przed nią na kolana i błagać, żeby z nim została, ponieważ nie może bez niej żyć. Postawił już nogę na schodach, gdy lokaj pełniący służbę w holu zapytał:

— Przepraszam, Wasza Wysokość, czy pani będzie wracała?

Księżę odwrócił się, mając wrażenie, że krew odpływa mu z serca.

— Co powiedziałaś? — zapytał. Ton jego głosu przeraził służącego.

— Może to impertynencja z mojej strony, Wasza Wysokość, ale nocny stróż jest stary i głuchy, pomyślałem więc, że gdyby pani miała wracać, zaczekałbym na nią.

— Mówisz o panie Lawrence — o damie, z którą jadłem obiad i która tu zamieszkuje?

— Tak, Wasza Wysokość. Wyszła z salonu wkrótce po obiedzie i poprosiła mnie, żebym wezwał jej dorożkę.

— I zrobiłeś to?

— Tak, Wasza Wysokość.

Księżę z trudem panował nad swoim głosem.

— Dokąd... kazała się... zawieźć?

— Nie słyszałem, Wasza Wysokość. Powiedziała coś cicho do woźnicy na koźle, kiedy trzymałem otwarte drzwi.

Księżę miał wrażenie, że zamienia się w głąz. Później, gdy dotarł do salonu — nie pamiętając, jak tam szedł — zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, dokąd pojechała Lokita.

Nie było powodu, żeby lord Marston podawał mu jej adres. Wspomniał tylko, że panna Anderson po niego posłała. Gdy pojechał tego dnia, zgodnie z planem księcia, by przywieźć Lokitę do jego domu, nie mówił, dokąd się udaje.

Książę przyłożył rękę do czoła, jakby chciał zmusić swój umysł do sprawnego działania.

Lord Marston wiedziałby, oczywiście, gdzie jest Lokita. Książę miał niemal pewność, że uciekła jak mała dziewczynka do kobiety, która przez całe życie się o nią troszczyła, będąc jej jedyną opiekunką i obrończynią. Książę nie orientował się również, gdzie spędza wieczór lord Marston. Kiedy przygotowano już wszystko zgodnie z planami księcia do jego fikcyjnego małżeństwa z Lokitą, lord Marston stwierdził z uśmiechem:

— Znikam, jak tylko skończy się ta „ceremonia”.

— Oczywiście — zgodził się książę. — Kiedy znowu cię zobaczę?

— Zjawię się jutro rano — odparł wymijająco lord Marston. — Nie ma potrzeby, żebyś wyjeżdżał z Lokitą do Marston House przed lunchem. Dotrzecie tam w dwie i pół godziny.

Jeśli powiedział coś jeszcze, książę już tego nie usłyszał, Pochłaniała go bez reszty Lokita i miłość, którą do niej żywił.

Teraz stwierdził z rozpaczą, że nie potrafi sobie uzmysłwić, gdzie lub z kim może przebywać lord Marston. Był pewien, że sam znalazłby w takiej sytuacji z tuzin kobiet, które zaprosiłyby go z otwartymi ramionami do swoich domów i łóżek. O ile się jednak orientował, jego przyjaciel nie był związany z żadną damą. Pozostawała, oczywiście, możliwość, że lord Marston udał się do jednego ze swoich licznych klubów. Książę dobrze je znał, wsiadł więc w powóz i zaczął odwiedzać je po kolei: White, St James i Kawaleryjski, stwierdzając jedynie, że wśród obecnych tam osób nie ma

lorda Marstona. Było już wówczas dobrze po północy, lecz mimo swego zdesperowania książę nie ośmielił się zrywać z łóżek nielicznych krewnych lorda Marstona, o których wiedział, że mieszkają w Londynie.

Pozostało mu tylko wrócić do domu, by czekać z niecierpliwością i niepokojem nadejścia świtu. Wiedział, że jego przyjaciel musi się zjawić w ciągu paru godzin. Wróciwszy o jedenastej rano lord Marston pojechał z księciem prosto do domu w Islington.

— Zostań w bryczce, Iwanie — powiedział stanowczo, kiedy zatrzymali się na placu. — Jeśli wpadniesz z impetem do domu i zdenerwujesz pannę Anderson, a ona z tego powodu umrze, Lokita nigdy ci nie wybaczy.

— Zaczekam tutaj — zgodził się książę.

Lord Marston spojrział na przyjaciela z z troskaniem. Widywał księcia w różnych nastrojach, ale ten, w którym się on aktualnie znajdował, był czymś nowym i niepokojącym.

Wysiadłszy z bryczki, wszedł do pensjonatu i dowiedział się od właściciela, że Lokita wraz z panną Anderson i dwojgiem służących wyjechała przed kilku godzinami do Paryża. Niełatwo było przekazać tę wiadomość księciu, a jeszcze trudniej powstrzymać go od zastrzelenia się.

— Straciłem ją! Straciłem ją, Hugo! — powtarzał w kółko. — Nie potrafię bez niej żyć!

Jego typowo rosyjski temperament sprawiał, że książę przyjmował z większym niż inni tragizmem i dramatyzmem cios, który na niego spadł.

Lord Marston próbował obudzić w nim utraconą nadzieję.

— Skoro masz zamiar ze sobą skończyć, Iwanie — powiedział —
zaczekaj, aż wyjaśnimy sekret Lokity. Wiemy, że panna Anderson zna
tajemnicę jej pochodzenia, wiemy też, że przelała swoją wiedzę na papier.
— Przerwał, dodając niewzruszonym tonem:

— Nieistotne, czy nam o wszystkim powie, czy też przeczytamy to, co
napisała. Ważne, żebyśmy poznali fakty.

— A jeśli nic z nich nie wyniknie?

— Mam przeczucie, że jednak — odparł spokojnie lord Marston. —
Każdy, kto zetknął się z Lokitą, zdaje sobie sprawę, że jest to osoba
wyjątkowo niezwykła i piękna. Kiedy prawda wyjdzie na jaw, może
będziesz miał szansę się z nią ożenić.

Lord Marston sam nie bardzo w to wierzył, ale musiał pocieszyć jakoś
księcia i powstrzymać go od strzelenia sobie w głowę.

— Musimy ruszać natychmiast do Paryża! — oznajmił książę.

— Mogę jechać dopiero jutro — zaproponował lord Marston. — Dziś po
południu mam spotkanie z premierem.

Chciał, żeby przyjaciel jechał bez niego, ale książę zaczekał i wyruszyli
następnego dnia porannym pociągiem, tym samym, w który wsiadły dzień
wcześniej Lokita i panna Anderson.

Zaraz rankiem po przyjeździe do Paryża zawitali do domu w pobliżu Bois. Drzwi otworzył znany im już stary dozorca, nie miał jednak pojęcia, że panie wróciły do Paryża i stwierdził, że jeśli tak się nawet stało, nie były z nim w kontakcie.

— Co teraz zrobimy? Co zrobimy, do diabła? — pytał księżę, kiedy ruszyli.

— Pojedziemy do teatru i zobaczymy, czy wiedzą coś na jej temat — powiedział bez specjalnej nadziei lord Marston.

— Jedźmy tam zaraz!

— O tej porze? — zdziwił się lord Marston. — Wiesz równie dobrze jak ja, Iwanie, że nikogo tam teraz nie będzie, nawet sprzątaczek.

Księżę przygryzł wargę. Miał podkrążone oczy. Lord Marston wiedział, że niemoże spać, odkąd opuściła go Lokita.

Okrażali Bois, a księżę spoglądał między drzewa i na ścieżki, mając nadzieję, że jakimś cudem zobaczy jadącą w jego kierunku Lokitę.

— Zaczynam być głodny — stwierdził w końcu lord Marston. — Zabieram cię do domu, Iwanie.

— Nie mam Ochoty najedzenie! — odparł księżę.

— Ale ja mam! — powiedział stanowczo lord Marston. — Wycieńczając się głodówką nikomu nie pomożesz, a już najmniej Lokicie, gdyby cię przypadkiem potrzebowała.

— Ona mnie potrzebuje! Wiem o tym!— powiedział z pasją książę. — Tylko ten przeklęty bazyliszek trzyma ją ode mnie z daleka.

Lord Marston przypomniał sobie, że gdy po raz ostatni widział pannę Anderson, nie wyglądała bynajmniej na bazyliszka, za którego uchodziła. A jednak raz jeszcze, wzbudzając jego podziw, zebrała całą energię i wszystkie siły, aby wywieźć Lokitę potajemnie w miejsce, gdzie nie mogliby jej znaleźć.

Gdy przejechali przez Pola Elizejskie, lokaje w kolorowych książęcych liberiach otworzyli pozłacane u szczytu bramy pałacu. Lord Marston zatrzymał konie przed frontowymi drzwiami mówiąc:

— Muszę przyznać, Iwanie, że powożenie twoimi rumakami to przyjemność!

Książę był zbyt przygnębiony, by odpowiedzieć. Podążył za lordem Marstonem po schodach w kierunku frontowych drzwi. Gdy dotarli na górę, usłyszeli za sobą powóz, który pojawił się na podjeździe. Była to odkryta dorożka. Gdy ciągnący ją stary koń zatrzymał się za bryczką księcia, lord Marston nagle krzyknął. Zobaczył Lokitę, ale książę ujrzał ją pierwszy.

W jednej chwili przemienił się z osowiałego cierpiętника w człowieka tryskającego energią i z błyskiem w oczach zbiegł po schodach w kierunku dziewczyny.

— Lokita! — Jej imię zadrżało na jego wargach. Przyglądała mu się, także poruszając ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Książę wyciągnął ręce i pochwycił jej dłonie. Ścisnął je aż do bólu, jakby musiał

się upewnić, że naprawdę mają przed sobą. Kiedy pomógł jej wysiąść z dorożki, powiedziała:

— Przyjechałam... po ciebie. Prosiła o to... Andy. Chce cię zobaczyć...
Natychmiast!

— Chce mnie zobaczyć? — powtórzył książę. Uczynił to niemal machinalnie, gdyż spojrzenie miał utkwione w twarzy Lokity i wpatrywał się w nią z taką miłością i tęsknotą, że dziewczynę przeszedł dreszcz.

— Proszę... przyjeźdź — powiedziała cicho.

— Oczywiście — odparł książę.

Jego bryczka czekała nadal przed frontowymi drzwiami. Usłyszawszy ich rozmowę, lord

Marston zajął miejsce dla woźnicy i pochwycił lejce.

— Dokąd mamy jechać? — zapytał.

Lokita odpowiedziała nieprzytomnie, jakby trudno jej było pamiętać o czymkolwiek poza tym, że jest przy niej książę. Siedziała między dwoma mężczyznami. Gdy wjechali na Pola Elizejskie, książę objął ją ramieniem.

— Jak mogłaś narazić mnie na takie męki? — zapytał.

— Wybacz mi... — powiedziała błagalnym tonem — Poszłam do Andy, żeby... poprosić ją o radę, a ona... postanowiła jechać natychmiast... do Paryża.

— Czułem, że to musiało być coś takiego — stwierdził książę. — Nie wierzyłem, że przestałaś mnie kochać.

— Wiesz, że cię kocham! — odrzekła. — Cierpiałam... cierpiałam nieopisane katusze... że opuściłam cię w taki sposób.

Patrzyli na siebie z twarzami ściągniętymi i naznaczonymi cierpieniem, ale emanująca z ich oczu miłość promieniowała oślepiającym wręcz blaskiem.

Lord Marston dowiózł ich szybko i bez słowa na uliczkę wychodzącą z Boulevard de la Madeleine.

Stajenny siedzący z tyłu bryczki podbiegł przytrzymać konie za uzdy.

Lokita poprowadziła księcia i lorda Marstona do wysokiej, szarej kamienicy, a potem w górę po schodach. Dopiero gdy dotarli do pokoju panny Anderson, lord Marston odezwał się:

— Może nie życzy sobie mnie widzieć.

— Chcę, żebyś tu był — odparł książę. — Chcę, żebyś posłuchał, co ma do powiedzenia.

Lokita weszła do pokoju.

— Odnalazłam księcia Iwana, Andy — oznajmiła. — Lord Marston też tu jest.

Mówiąc to zobaczyła, że madame Albertini podaje pannie Anderson łyżkę z kroplami.

Dostrzegła na jej twarzy niepokój.

— Podejdź tu! — powiedziała panna Anderson mocnym już teraz głosem.

Madame Albertini odeszła na bok, a Lokita podbiegła i uklękła przy łóżku.

— Księżę już przyjechał, Andy! — powiedziała.

— Ale jeśli nie masz dość siły, by z nim rozmawiać, Jego Wysokość zaczeka.

— Muszę z nim pomówić — i to zaraz! — odparła panna Anderson.

Jakby przeczuwając czego sobie życzy, obaj mężczyźni przysunęli krzesła blisko łóżka, zaś madame Albertini wyszła z pokoju.

Księżę zasiadł obok Lokity, która klęczała na podłodze, a lord Marston po przeciwnej stronie łóżka.

— Mam wiele do powiedzenia — zaczęła panna Anderson — i bardzo mało czasu.

Lokita cicho krzyknęła.

— Andy!

Panna Anderson z widocznym wysiłkiem położyła rękę na jej dłoni.

— Nie rozpaczaj, moja najdroższa — powiedziała.

— Zrobiłam, co należało i bałam się tylko, że umrę, zanim będę mogła wyjawić ci prawdę. Teraz nie obowiązuje mnie już milczenie. — Lokita otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, więc panna Anderson wyjaśniła: — Przyrzekłam to twojej matce i ojcu i, dzięki Bogu, zdołałam dotrzymać słowa. — Jej głos brzmiał cicho, ale wyraźnie. Po chwili mówiła dalej do księcia. — Wiem, że zastanawiał się pan, kim jest Lokita i dlaczego jej przeszłość utrzymywana jest w tajemnicy. No cóż, teraz mogę to panu powiedzieć. Jest córką lorda Leightonstone'a i Jej Wysokości księżniczki Nataszy!

Księżę wydał pełen zdumienia okrzyk.

— Czyżby miała pani na myśli... moją kuzynkę? Panna Anderson skinęła głową.

— Pańską kuzynkę, Wasza Wysokość, córkę Wielkiego Księcia Borysa.

Księżę wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

— Jak to możliwe? — rzekł.

Panna Anderson podniosła rękę, aby go uciszyć, po czym zaczęła mówić, powoli i z trudem. Chwilami jej głos był tak słaby, że obaj mężczyźni musieli się pochylać, aby nie uronić ani słowa. Zdarzały się jednak momenty, gdy jakaś ukryta wewnętrzna moc dodawała jej jakby siły i wtedy mówiła wyraźnie, niemal z werwą.

Wszystko zaczęło się w 1847 roku, gdy księżniczka Natasza, jedna z najpiękniejszych dziewcząt na rosyjskim dworze, zakochała się w mało znaczącym, młodym dyplomacie z brytyjskiej ambasady — Michaelu

Leightonie. Spotykali się potajemnie i jakimś niezwykle szczęśliwym trafem nikt w Pałacu Zimowym nie miał pojęcia, co się dzieje. Tylko guwernantka księżniczki Nataszy, panna Anderson, która zajmowała się nią od wczesnego dzieciństwa, zdawała sobie sprawę, że odwzajemniona miłość Nataszy do młodego Anglika wymyka się spod kontroli.

Car Mikołaj rządził swymi krewnymi i całym dworem, słynąc nie tylko z żelaznej ręki, ale i z okrucieństwa, które napawało wszystkich panicznym przerażeniem. Z obawy, by księżniczka Natasza się nie zdradziła, panna Anderson wyraziła zgodę na wyjazd z St Petersburga do Odessy, gdzie Wielki Książę zbudował pałac w nowej prowincji Besarabii.

Nawet ona nie знаła zamiarów księżniczki: kiedy były zaledwie siedemdziesiąt kilometrów od stolicy, dołączył do nich Michael Leighton. Pobrali się w małym miasteczku w obecności księdza, który nie miał pojęcia o pozycji księżniczki i jej królewskim pochodzeniu. Pojechali dalej razem, a podróż, choć nużąca i pełna komplikacji, pozwoliła im przeżyć długie tygodnie niewiarygodnego szczęścia i radości.

Kiedy zakochani dotarli do spokojnej pięknej Odessy i zamieszkali w pałacu Wielkiego Księcia, mając przy sobie tylko zorientowaną w sytuacji, wierną służbę, był to dla nich raj na ziemi. Panna Anderson nie widziała nigdy dwojga ludzi tak szczęśliwych i tak szaleńczo, bez reszty w sobie zakochanych.

Księżniczka Natasza uzasadniała konieczność przebywania w promieniach ciepłego południowego słońca słabym zdrowiem a Michael Leighton skorzystał z tego samego pretekstu. Usprawiedliwiając się

chorobą, zrezygnował z obowiązków dyplomaty i panna Anderson miała wrażenie, że wszyscy zapomnieli o tych dwojgu młodych ludziach i nikogo nie obchodziło, co się z nimi dzieje.

Ojciec Nataszy, Wielki Książę, znalazł sobie niedawno nową żonę, która była zazdrosna o pasierbicę i chętnie się jej pozbyła. Nikt więc nie zadawał pytań ani nie ingerował w ich sprawy i kiedy w rok później urodziła się Lokita, panna Anderson została jej chrzestną.

— Musisz opiekować się Lokitą tak jak mną, Andy — powiedziała swym miękkim głosem księżniczka Natasza — a ponieważ jest owocem miłości, może pewnego dnia będzie równie szczęśliwa jak ja.

Księżniczka i jej mąż tak szaleńczo się kochali, że zostawili Lokitę pod opieką panny Anderson, aby nadal być tylko we dwoje.

I nagle pewnego dnia — pewnego straszliwego dnia, który na zawsze wrył się pannie Anderson w pamięć — przybył pospiesznie z St Petersburga ich zaufany służący. Pędził dzień i noc, aby do nich dotrzeć i oznajmił, że tuż za nim jedzie ochrana, czyli tajna policja.

Słuchając go panna Anderson zrozumiała, że żyli przez cały czas w poczuciu złudnego szczęścia. Było rzeczą nieuniknioną, że wcześniej czy później car albo otaczający go pochlebcy nabiorą podejrzeń. Dowiedzieli się teraz ze zgrozą, że ktoś podsunął carowi przypuszczenie, iż jego kuzynka, księżniczka Natasza, nie jest sama. Tajna policja miała rozkaz zabić natychmiast każdego zastanego przy niej mężczyznę. Nie było mowy, by mógł domagać się łaski czy sprawiedliwości. Oszalała ze strachu nie

tylko o męża, ale i o dziecko, księżniczka Natasza nalegała, by tej samej nocy wsiadł z Lokitą na statek, który płynął z Odessy do Konstantynopola. Panna Anderson powiedziała, że będzie im towarzyszyć. Trzymając dziecko w ramionach wyszła z domu; nie widziała przez łzy twarzy dziewczyny, którą kochała i kształciła od najmłodszych lat.

Ból rozłąki był dla Michaela Leightona niemal nie do zniesienia, wiedział jednak, że musi ocalić życie córki. Z Konstantynopola wyjechali najszybciej jak mogli do Cannes, na południu Francji, gdzie Natasza miała przesłać im wiadomość.

Dopiero po miesiącu oczekiwania Leighton dostał list. Nadszedł za pośrednictwem brytyjskiego konsula, który otrzymał go pocztą dyplomatyczną z ambasady brytyjskiej w St Petersburgu. Przeczytawszy, co napisała jego żona, Michael Leighton o mało nie oszalał. Car kazał Nataszy wrócić do St Petersburga, ponieważ chciał ją wydać za Wielkiego Księcia Fryderyka z Kraśnika. Natasza pisała Michaelowi, że błagała cara, by nie zmuszał jej do poślubiania człowieka, którego nie kocha, ale dostała jedynie polecenie, że ma być posłuszna.

Michael Leighton wiedział aż za dobrze, że jeśli ktoś nie wykonywał natychmiast rozkazów cara, zsyłano go na Syberię albo — co gorsza — uznawano za niepoczytalnego. Natasza nie miała wyboru. Ujawniając, że jest już mężatką, podpisałaby wyrok śmierci na Michaela i Lokitę.

To panna Anderson przekonała w końcu oszalałego z rozpaczyny młodego człowieka, że najlepiej zrobi podejmując na nowo pracę. Wrócił do

Londynu i został wysłany najpierw do ambasady brytyjskiej w Rzymie, a potem w Brukseli.

Panna Anderson zdecydowała, że będzie najlepiej dla Lokity, jeśli osiedlą się w Paryżu.

Zdawała sobie sprawę, że we Włoszech, w Belgii, czy w stolicy każdego w istocie kraju ludzie z łatwością dowiedzą się szczegółów prywatnego życia młodego dyplomaty. Paryż był wyjątkiem. W mieście, gdzie każdemu, bez względu na zawód, zdarzało się mieć jakiś romans, nikt nie uzna za rzecz niezwykłą faktu, że dom na skraju Bois należy do młodego Anglika.

Michael Leighton szybko awansował w dyplomatycznym świecie. Przed śmiercią otrzymał tytuł szlachecki i został lordem Leightonstone. Jedynie panna Anderson wiedziała, jakich potwornych cierpień przysparzała mu świadomość, że kobieta, którą kochał całym sercem, poślubiła innego mężczyznę.

Natasza widziała Lokitę tylko jeden raz, będąc już od ponad pięciu lat Wielką Księżną z Kraśnika. Zawiadomiła Michaela Leightona, że wyjeżdża sama na wakacje do Odessy. Trudno opisać, ile musiało dla niej znaczyć ujrzanie znowu swego prawdziwego męża, a dla Michaela to, że mógł trzymać ją w objęciach.

Pannie Anderson załamał się głos, a oczy zaszyły nagle łzami i słuchający zrozumieli, jak bardzo wzruszające było to spotkanie, kiedy jacht zawinął pewnej nocy do portu w Odessie.

Wielka Księżna z Kraśnika zmarła, kiedy Lokita miała czternaście lat, ale nadal konieczne było zachowanie tajemnicy. W 1855 roku następcą cara Mikołaja został jego bardziej liberalny syn, Aleksander II. Nie trzeba się już było obawiać, że tajna policja trafi na ślad Lokity i zamorduje ją i jej ojca, jak mogłoby się zdarzyć w przeszłości, ale żył nadal Wielki Książę i mogło dojść do skandalu, który zaszkodziłby monarchii w jego i Nataszy ojczyźnie.

Panna Anderson była zatem związana przysięgą, wiedziała jednak, że jej życie dobiega kresu i musi zabezpieczyć Lokicie przyszłość. Próbowała z desperacją wydać ją za lorda Marstona, gdyż czuła, że gdyby — idąc w ślady matki — wyszła za Anglika, uniknęłaby przynajmniej umizgów ze strony rozwiązłych mężczyzn, uganiających się za nią tylko dla jej urody. Nie przewidziała jednak, że Lokita, podobnie jak jej matka, zakocha się do szaleństwa i bez reszty, gdy ujrzy przeznaczonego sobie przez los mężczyznę.

Z jakąż desperacją panna Anderson próbowała przeciwstawić się księciu i Lokicie! Ale teraz, dopowiedziawszy koniec swej historii bardzo słabym i ledwie słyszalnym głosem, miała na ustach uśmiech.

— Skoro zna pan już prawdę — zwróciła się do księcia — czy zadba pan o przyszłość Lokity?

Książę pochylił się, aby ująć dłoń panny Anderson.

— Mogę tylko pani podziękować — odpowiedział swym głębokim głosem — za całą ofiarowaną Lokicie miłość i troskę. Wiem, że

usłyszawszy o tym, co się stało, car da nam zezwolenie na ślub. Poświęcę jej całe moje życie. Jeszcze tej nocy wyruszę do Rosji.

Pochylił głowę i ucałowawszy dłoń panny Anderson poczuł, że przez chwilę zacisnęła palce na jego ręce.

Potem odwróciła twarz w kierunku Lokity i w tej samej chwili jakby ciężko westchnęła opadając na po-duszki. Przez moment nawet lord Marston nie pojął, co się stało. Nagle w pokoju rozległ się krzyk Lokity: — Andy! Andy!

Był to krzyk zagubionego w ciemnościach dziecka. Księżę wziął ją w ramiona, przytulił, ukoił.

ROZDZIAŁ 7

— Pamiętam! Pamiętam to miejsce! — wykrzyknęła Lokita.

Była na pokładzie jachtu, który wpływał do portu w Odessie. Stojący obok lord Marston uśmiechnął się, zauważywszy jej podniecenie.

Port rzeczywiście wyglądał w słońcu bardzo pięknie. Za nim widać było gmachy uczelni, operę i wspaniałe nowe budynki, które zbudował książę Woroncow, zostawszy generalnym gubernatorem Nowej Rosji i Besarabii. Car wysłał go na południe, aby stworzył nową prowincję i dopiero wtedy ujawniły się jego wybitne zdolności organizatorskie. Żaden architekt nie znalazłby lepszego pola do realizacji swych zamierzeń. W związku z

zaludnieniem opustoszałych stepów na północ od Morza Czarnego i wprowadzeniem parowców rejon Odessy był w rozkwicie.

Kiedy zbliżali się do tego pięknego miasta, Lokita przypomniała sobie, że lord Marston opowiadał jej, jak księżę sprowadzał z Anglii bydło i zatrudniał licznych francuskich specjalistów, aby zagospodarowali i nadzorowali nowe krymskie winnice. Interesowała się bardzo wszystkim, co mówił lord Marston, gdyż nie potrafiła nawet przez parę minut myśleć o czymś, co nie dotyczyłoby księcia. W ciągu całej podróży z Paryża do Odessy lord Marston miał wrażenie, że z dnia na dzień Lokita jest coraz bardziej zakochana i coraz piękniejsza, aż w końcu zaczął się zastanawiać, czy może istnieć na całym świecie cudowniejsza kobieta.

Księżę dotrzymał obietnicy złożonej pannie Anderson i niemal natychmiast po jej śmierci wyruszył do Rosji. Pogrzebem zajął się lord Marston. Musiał pocieszać nie tylko Lokitę, ale również Marie i Serge'a. Kiedy wrócili z małego angielskiego cmentarza, oznajmił Lokicie, co zaplanował dla niej księżę.

— Gdy tylko poczuje się panj na siłach, żeby wyruszyć w podróż — powiedział — pojedziemy do Marsylii, gdzie będzie czekał na nas jego jacht.

— Dokąd popłyniemy? — zapytała Lokita, a jej oczy, przygaszone z powodu łez, jaśniały teraz nowym światłem.

— Do miejsca, w którym była pani dwa razy w życiu, chociaż wątpię, by je pani pamiętała — odparł z uśmiechem lord Marston.

— Odessa! — Lokita z trudem zdołała wymówić to słowo.

Lord Marston skinął głową.

— Księżę ma tam pałac, ale w ciągu ostatnich lat rzadko w nim bywał.

— Odessa! — powtórzyła Lokita niemal bez tchu. Lord Marston wiedział, że miejsce to kojarzy jej się nie tylko z ojcem, którego tak bardzo kochała, ale także z matką.

Pozostali jednak przez jakiś czas w Paryżu, aby Lokita mogła skompletować garderobę.

Lord Marston skontaktował się w jej imieniu z adwokatem ojca i dowiedział się, że czeka na nią spora suma pieniędzy i pensja, którą ma otrzymywać co miesiąc. Była niewielka w porównaniu z tym, co zapisał jej już księżę aranżując ich rzekome małżeństwo. Lord Marston nie wspomniał o tym jednak, oświadczając jedynie Lokicie, że może wydawać, ile chce. On za wszystko płacił.

Udała się do Wortha, ponieważ nikt inny w Paryżu nie miał takiej wyobraźni, ani nie potrafił wymyślić równie baśniowych kreacji, pasujących do tego, co przedstawiała w swym tańcu. Od chwili, gdy poznała słynnego angielskiego krawca, ten skoncentrował cały swój kunszt na tworzeniu oprawy dla jej niezwyklej urody.

Worth ogłosił właśnie, że modne od ośmiu lat krynoliny mają zniknąć i suknie będą teraz upięte z tyłu, a stosowane tkaniny — delikatne koronki, tiul i satyna — szczególnie Lokicie odpowiadały. Ponieważ wybierała suknie, które miała zakładać dla ukochanego mężczyzny, znosiła cierpliwie długotrwałe przymiarki, a każdej gotowej kreacji przydawała aurę tajemniczości, jakiej nie osiągnęłaby żadna inna kobieta.

Przyglądając się teraz jej lśniącem w cudownych promieniach słońca jasnym włosom i harmonizującej z zielenią oczu jasnozielonej sukience, lord Marston pomyślał, że choć księżę wyróżniał się osobowością, Lokita w niczym mu nie ustępowała.

Darzył księcia oddaniem od czasów dzieciństwa i wiedział, że jego przyjaciel znalazł w Lokicie partnerkę, która nie tylko jest go warta, ale która wyzwoli uśpione w nim jeszcze wielkie możliwości.

— Czy możemy zejść na brzeg? — zapytała z ożywieniem Lokita.

— Musimy poczekać na instrukcje — odparł lord Marston uśmiechając się.

W każdym porcie, w którym zatrzymywali się po drodze do Odessy, czekały na Lokitę listy, kwiaty i prezenty od księcia. Tak bardzo pragnęła od niego wiadomości, że bez względu na porę dnia czy nocy, o jakiej przybijali do brzegu, choćby nawet i wczesnym rankiem, wypatrywała zawsze z pokładu posłańca; wiedząc, że będzie stał na molo. Wprawdzie listy docierały do nich pociągiem ekspresowym, ale dla Lokity były one tak podniecające i romantyczne, jakby dostarczali je jeźdźcy, galopujący po

dzikim pustkowiu. Spodziewała się niemal ujrzeć, jak wpada na molo posłaniec na koniu, unosząc się w strzemionach i trzymając w zębach lejce, a w każdej ręce kindżał albo szablę. Lokita wiedziała, że w ten sposób popisują się jeździeckim kunsztem kaukascy gwardziści, zwani „Dzikimi Orłami”.

Lord Marston opisywał jej, jak księżę tak właśnie szarżował ze swoim oddziałem.

Otrzymując korespondencję, bez względu na to, jaką drogą, dostawała wypieków, a wyraz szczęścia w oczach dodawał jej jeszcze urody. Nigdy nie sądziła, że będą do niej przychodziły tak pełne ekspresji listy miłosne, pisane z taką pasją i żarliwością, że miała wrażenie, jakby księżę był obok niej i przemawiał swym głębokim głosem, który poruszał jej serce.

Nie tylko listy, ale i kwiaty, którymi zasypywał ją aż w nadmiarze, zawierały specjalne posłanie, które tylko ona rozumiała. Gwiazdziste orchidee, nieskalane lilie, róże w pąkach, tuberozy, jaśminy i białe bzy — wszystkie coś dla niej znaczyły i przekazywały jej słowa księcia.

Były również prezenty, przedmioty, o których posiadaniu nigdy nawet nie śniła: sznury pereł, drobnych i doskonałych, lśniących przezroczyście na tle jej skóry. Zamknięte w etui trzy małe, diamentowe broszki w kształcie motyli, mniej ekstrawaganckie niż ta, którą posłał jej, zanim się poznali, lecz doskonałe w każdym szczególe — miniaturowe arcydzieła. W jednym z portów czekała niewielka klatka z ptakiem, który śpiewał, gdy nacisnęło się małą dźwigienkę, a wykonany był po mistrzowsku z drogich kamieni.

Teraz jacht zacumował przy nabrzeżu, spuszczone trap i na pokład wszedł posłaniec w lśniącej książęcej liberii. Zanim zdążył pokazać, co trzyma w ręce, Lokita zapytała niecierpliwie:

— Masz list od Jego Wysokości?

— Oto on, kniazna — odparł, zwracając się do niej w ten sam sposób, jak robił to zawsze Serge.

Podał Lokicie dużą kopertę, po czym kłaniając się wręczył drugą lordowi Marstonowi.

Lokita pobiegła do salonu, aby mogła być sama. Gdy otwierała kopertę, serce waliło jej jak młotem, a palce drżały. Spodziewała się długiego listu, a było tam tylko parę słów.

Dziś wieczorem, moja najdroższa, moja kochana, moja gwiazdo, którą ubóstwiam, będziemy razem.

Iwan.

Ucałowała list i przycisnęła go do piersi. Gdy lord Marston wszedł do salonu, stała tam z twarzą promieniejącą szczęściem.

— On tu jest! — oznajmiła, zanim zdążył coś powiedzieć. — Czy możemy zejść na ląd i spotkać się z nim?

— Dostałem bardzo szczegółowe instrukcje, co mamy robić — odparł lord Marston. — Księżę wierzy chyba w stary przesąd, że panna młoda nie powinna w dniu ślubu widzieć pana młodego, dopóki nie spotkają się przy ołtarzu.

— Zostanę jego żoną... dzisiaj! Lokita z trudem wyszeptała te słowa.

— Dziś wieczorem — potwierdził lord Marston. — I wnioskując z pudeł, które są wnoszone na statek, księżę przysłał ci mnóstwo prezentów.

— Chcę tylko jego... — powiedziała Lokita niemal bezgłośnie, ale lord Marston usłyszał ją.

— Sądząc z tego, co mi napisał, jest równie niecierpliwy jak pani.

— Och, Hugo! — wykrzyknęła Lokita. — Sądzi pan, że mam wystarczająco piękną suknię? A jeśli będzie zawiedziony, gdy mnie znowu zobaczy?

— Nie przypuszczam, żeby musiała się pani o to martwić — odparł lord Marston, przypominając sobie pełne żaru słowa księcia, które paliły niemal papier.

Choć Lokicie wydawało się, że zostało jeszcze bardzo dużo czasu, zanim będą mogli wreszcie zejść na ląd, miała sporo do zrobienia. Wśród prezentów księcia, jak się okazało, była biżuteria, na której widok zaparło jej dech w piersiach. Dostała do ślubu rosyjski diadem w tradycyjnym stylu,

który wyglądał jak aureola, okalająca głowę. Tworzyły go gwiazdy wysadzone diamentami. Na szyję miała założyć kolię o takim samym wzorze.

Jakby przewidując, że dziewczynę będą zdobiły wspaniałe klejnoty, pan Worth zaprojektował dla niej stosunkowo prostą suknię ślubną. Uszyta z najdelikatniejszej koronki odsłaniała jej subtelne kształty, upodabniając ją z przodu do greckiej bogini, z tyłu zaś długi tren z lekkimi falbankami wieńczyła duża kokarda z białej satyny. Lokita wyglądała w tej sukni bardzo młodo i zwiewnie, ale założywszy do niej biżuterię olśniewała prezencją i — jak powiedział jej lord Marston — przypominała księżniczkę.

— W istocie jest nią pani — stwierdził. — Widząc jej pytające spojrzenie, wyjaśnił: — Car nie tylko wyraził zgodę, by wyszła pani za księcia, ale specjalnym ukazem do senatu nadał pani tytuł księżniczki Lokity Kuriewskiej. To oczywiście rodowe nazwisko pani matki.

Lokita klasnęła w dłonie. Niełatwo było wytłumaczyć nawet lordowi Marstonowi, jak wiele to dla niej znaczyło. Ponieważ tak długo ukrywano jej pochodzenie, miała poczucie, że księżę żeni się w istocie z niegodną siebie osobą, z kimś bez znaczenia, na kogo jego rodzina będzie patrzyła z góry. Teraz jednak uzyskała swe prawa i wiedziała, że może wysoko nosić głowę i nie wstydzić się swego pochodzenia.

Ekscytowała ją i w pewnym sensie sprawiała ulgę świadomość, że ze strony ojca była szlachetnie urodzoną Lokitą Leighton, choć nigdy dotąd nie mogła używać tego nazwiska.

Teraz stała się jednak także księżniczką, osobą równą człowiekowi, którego zamierzała poślubić. I aczkolwiek mówiła sobie, że księżę nie przywiązuje do tego wagi, fakt ten wpłynąć miał na jej pozycję w Rosji i, o czym myślała lekko się rumieniąc, ułatwić życie ich dzieciom, gdy przyjdą na świat.

W końcu Lokita, której Marie pomagała się ubrać, była gotowa i weszła do salonu, gdzie czekał lord Marston popijając szampana. On również prezentował się niezwykle elegancko i szykownie. Ujrawszy go, Lokita otworzyła szeroko oczy z podziwu. Nigdy dotąd nie widziała lorda Marstona w stroju dyplomaty. W jedwabnych pończochach, krótkich spodniach zapiętych pod kolanami i surducie ze złotym haftem wyglądał tak jak jej ojciec, gdy opuszczał czasami dom w Bois, aby udać się do ambasady brytyjskiej albo do Tuileries. Wtedy nie zabierał jej ze sobą, ale tego wieczoru miała wejść w nowy świat, świat, którego progu nigdy jeszcze nie przekroczyła.

— Wygląda pani cudownie, Lokito! — stwierdził lord Marston.

— Naprawdę? — zapytała.

Wiedział, że nie domaga się komplementów, tylko pragnie zaprezentować się jak najlepiej pod każdym względem człowiekowi, który będzie na nią czekał.

— Nie wierzę, by gdziekolwiek na świecie istniała piękniejsza panna młoda!

Welon, który założyła Lokita, nie zakrywał jej twarzy, lecz przymocowany został do diademu i spływał z tyłu nad włosami, sięgając do podłogi. Spowijał ją niemal jak obłok i lord Marston był przekonany, że księżę będzie musiał odnieść wrażenie, iż to bogini zstąpiła z nieba, by zostać jego żoną. Podał Lokicie kieliszek szampana.

— Proszę się napić — poradził. — Nabożeństwo nie potrwa długo, ale jestem pewien, że będzie to nie lada przeżycie.

— Myślę tylko o tym, że zobaczę... Iwana — rzekła cicho Lokita.

— On na pewno też myśli o pani — zapewnił lord Marston.

Jakby coś sobie nagle przypomniawszy, Lokita powiedziała:

— Na wypadek, gdyby później mi to umknęło, chciałam podziękować panu już teraz, Hugo, za pańską dobroć. Nikt nie był dla mnie tak pełen zrozumienia i tak wspaniałomyślny jak pan.

Lord Marston uśmiechnął się.

— Zastanawiałem się podczas naszej wspólnej podróży, czy fakt, że Iwan pozostawił panią samą pod moją opieką, uznać za komplement czy obelgę.

Lokita zaśmiała się krótko.

— Wiedział, że ma w panu przyjaciela, a mnie nie interesują inni mężczyźni. — Zamilkła, po czym dodała z czułością w oczach: — Ale chociaż moje serce należy do Iwana, jest w nim dla pana zawsze specjalne

miejsce. — Powiedziała to w tak wzruszający sposób, że lord Marston podniósł do ust jej dłoń.

— Mam jedynie nadzieję — powiedział — choć może jestem zbyt optymistą, że pewnego dnia znajdę żonę, która będzie nie tylko tak cudowna, ale i tak słodka jak pani.

— Och, Hugo, ja też mam tę nadzieję! — odparła Lokita.

Uśmiechnęli się do siebie, po czym lord Marston podniósł szal, który Lokita miła założyć i zarzucił go jej na ramiona.

Skończył się upalny dzień, ale było nadal bardzo ciepło, a dachy i wieżyczki domów Odessy lśniły w słońcu jak połyskujące złoto. Lord Marston zszedł z Lokitą po trapie.

Czekała już na nich trojka, nie tylko kunsztownie rzeźbiona, wymalowana i pozłocona, ale także ozdobiona kwiatami. Ciągnęły ją trzy wspaniałe konie z ukwieconymi grzywami i girlandami wokół szyi.

— Jakie piękne! — zachwyciła się Lokita.

Kiedy lord Marston pomagał jej wsiadać, Zgromadzony na nabrzeżu tłum wiwatował i życzył dziewczynie szczęścia.

— Rozumiem wszystko, co do mnie mówią — stwierdziła z podnieceniem.

Podczas całej podróży uczyła się rosyjskiego i codziennie konwersowała przez kilka godzin z Serge'em. Lord Marston pomyślał, że ma najwyraźniej zdolności do języków, co było naturalne. Rosyjski był zarazem trudny i

skomplikowany, zwłaszcza ze względu na rozmaite dialekty i dlatego dziękował Bogu, że rosyjska arystokracja mówiła zawsze po francusku. Ale językiem tym władał książę, a Lokita postanowiła być biegła we wszystkim, co go dotyczyło.

Trojka popędziła z właściwą sobie szybkością. Widzieli teraz wszędzie kwiaty i górujące nad okolicą wysokie, smukłe, romantyczne cyprysy. Dwa pierwsze zasadziła caryca Katarzyna, odwiedzając z Po-tiomkinem posiadłości na południu. Ze szczepek tych drzew powstały wszystkie cyprysowe gaje i alejki, tak charakterystyczne dla pejzażu Krymu.

Minęli miasto i znaleźli się w okolicy, którą lord Marston uważał zawsze za krainę baśni, pełną blasku i nierealną. Jechali wzdłuż wybrzeża. Nagle Lokita ujrzała pałac. Wznosił się na urwisku, czterdzieści pięć metrów nad powierzchnią Morza Czarnego, a jego dachy i wieżyczki lśniły ponad okalającymi budowlę drzewami. Widok ten zaparł jej dech w piersiach. Lord Marston rozumiał, że była tak samo jak on poruszona pięknem pałacu. Rysował się na tle lśniącej, złotoszarłatnej kuli zachodzącego słońca, wyglądając tak okazale, a zarazem pięknie, jakby został przeniesiony wprost z baśni tysiąca i jednej nocy.

Trojka, pędząc teraz z niewiarygodną wprost szybkością, przemknęła przez wielką bramę na szeroki podjazd, obsadzony wspaniałymi kwiatami i wielobarwnymi krzewami. Ujrzeli kolumny i marmurowe schody.

Cały pałac wydawał się ogromnie okazały, miał jednak swój nieodparty, dyskretny urok.

Prowadził ich majordom wystrojony w imponującą złotą szarfę, a ubrani w liberie służący stali w rzędach. Marmury, lazuryty, onyksy, jaspisy i malachity z pałacowych wnętrz oraz wszystkie drogocenne przedmioty były niemal zasłonięte mnóstwem białych kwiatów.

Robiło to ogromne wrażenie i prowadząc Lokitę za majordomem przez hole i szerokie korytarze, lord Marston czuł lekkie drżenie jej ręki.

Zza otwartych drzwi kaplicy napłynęły dźwięki muzyki i zapach kadzidła. Pojawił się lokaj, by wręczyć Lokicie bukiet. Wzięła go spuszczać oczy, jakby nagle onieśmielona i trochę przestraszona, co ją czeka.

Lord Marston, prowadząc ją pod ramię, położył rękę na jej dłoni w uspokajającym geście, po czym bardzo powoli weszli razem do kaplicy.

Muzyka rozbrzmiała jak dziękczynny pean. Zobaczyli siedem lśniących, srebrnych lampek sanktuarium, rzędy płonących oślepiającym blaskiem świec, kwiaty, haftowane szaty kapłanów oraz ikony.

Lokita podniosła wzrok, aby spojrzeć na księcia. Oczekiwał ich u stopni ołtarza. Lord Marston, który widział księcia w wielu różnych strojach, nie pamiętał, by kiedyś wyglądał równie Wspaniale. Miał na sobie, stosownie do okazji, długą, spiętą wysoko pod szyją bluzę, która stanowiła tradycyjny, rosyjski ubiór, była jednak biała i na wysokości bioder obszyta futrem z białych lisów. Na piersiach księcia błyszczały medale, dodając mu powagi i znaczenia, wzbudzając respekt. Ale dla Lokity liczyła się tylko jego obecność i fakt, że go kocha. Ujrawszy płomień w jego oczach zrozumiała,

że pragnął jej i tęsknił za nią przez te dni rozłąki, które czasami wlokły się bez końca. Rozpoczęło się nabożeństwo, a gdy wypowiadali słowa małżeńskiej przysięgi, Lokita wiedziała, że mają przy sobie ludzi, których kochają i którzy ich darzą miłością. Czuła obecność swoich rodziców, a także matki Iwana. Byli przy nich, gdy kapłan udzielał im ślubu i całą kaplicę wypełniła miłość i uwielbienie Boga.

Ściskając w rękach zapalone świece i mając nad głowami dwie korony, otrzymali w końcu błogosławieństwo Boga i Kościoła. Potem, gdy księżę poprowadził Lokitę wzdłuż krótkiej nawy z powrotem do pałacu, wszyscy jakby gdzieś zniknęli i małżonkowie zostali sami.

Księżę nic nie mówił, tylko zabrał ją do okrągłej komnaty, ozdobionej gwiazdzistymi orchideami, które tak wiele dla nich obojga znaczyły. Delikatne kwiaty okrywały stół, pięły się po ścianach i zwieszały wieńcami z sufitu. Księżę przysunął krzesło, aby Lokita mogła zająć miejsce przy stole, po czym usiadł obok, patrząc jej w oczy.

— Moja... żono! — Wypowiedział te słowa niemal bezgłośnie, ale dotarły do niej.

Słysząc było granie skrzypiec, nie widzieli jednak muzyków. Ubrani na biało lokaje przynieśli im posiłek.

Lokita nie miała pojęcia, co je i pije, wiedziała tylko, że drży na całym ciele z powodu bliskości księcia i nawet gdy rozmawiali o błahych sprawach, każde słowo miało ukryte znaczenie i serce przemawiało do serca, dusza do duszy. Nie potrafiła przypomnieć sobie później jego słów.

Miała wrażenie jednak, że opowiedziała mu historię swego życia aż do momentu, gdy się spotkali i wspomniała, jak bardzo za nim tęskniła podczas trwającej całe wieki podróży z Marsylii do Odessy.

W końcu zjedli kolację i gdy służba odeszła, zostali sami. Książę usiadł wygodnie w zwieńczonym krzyżem, rzeźbionym fotelu i podniósł do ust kieliszek.

— Marzyłem, żeby cię tu zobaczyć — oznajmił cicho — jako moją żonę i ukochaną, wiedząc, że mamy przed sobą całe życie.

— Co powiedział... car? — zapytała Lokita. Przypuszczalnie powinna była wcześniej zadać to pytanie, ale wydawało jej się mało istotne.

— Jego Wysokość okazał duże zrozumienie — odparł książę. — Masz teraz zapewnione miejsce na dworze, nie tylko jako moja żona, ale także ze względu na twoją matkę.

— Nie będzie żadnego... skandalu? Książę pokręcił głową.

— Nie musisz się obawiać. Znalaziono uzasadnienie twojej dotychczasowej nieobecności. Nie będę cię tym teraz zamęczał. Chcę mówić tylko... o nas. — Ostatnie słowa wypowiedział niskim głosem i Lokita wstydliwie spuściła wzrok. — Mamy sobie tyle ważnego do powiedzenia — stwierdził książę.

— Chodźmy tam, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał. Przygotowałem, moja prześliczna, specjalne miejsce dla ciebie i dla naszej miłości.

Lokita spojrzała na niego pytająco. Książę wstał od stołu, wyciągając rękę. Podała mu dłoń.

Długie oszklone drzwi pokoju wychodziły na ogród. Książę odciągnął zasłaniające je koronkowe firanki i Lokita wyszła na taras. Słońce zaszło już za horyzont i widać było jedynie szkarłatną poświatę. Zapadał zmierzch. Na czarnym niebie pojawiały się właśnie gwiazdy, a ogród pełen był tajemniczych cieni i muzyki. Lokita rozpoznała, że to muzyka cygańska. Nie słyszała porywających, wysokich tonów skrzypiec, tylko dźwięk cymbałów i brzmienie akordeonów.

Kiedy tak stała obok księcia, oparłszy przez chwilę dłonie o kamienną balustradę, jakby na dany sygnał ogród nagle ożył. W oddali zapłonęły światła, a potem zapalały się coraz bliżej nich. Lord Marston wspominał Lokicie, że podobnie niesamowity efekt uzyskiwano w ogrodach Pałacu Zimowego. Ten znajdował się jednak pod gołym niebem i trudno było sobie wyobrazić coś piękniejszego. Lokita dostrzegła, że w całym ogrodzie rosą lilie i wszystkie są od dołu podświetlone. Widziała teraz, że okalające pozostałą część ogrodu ozdobne krzewy kwitną na biało. Wszystko lśniło nieskazitelną bielą. Lokita zdawała sobie sprawę, że ma to dla nich obojga szczególną wymowę.

— To... cudowne! Bardzo... bardzo piękne! — powiedziała.

— Jak ty, mój drogocenny kwiecie — odparł książę. — A ponieważ nie mamy dzisiaj rosyjskiego przyjęcia, które ominęło cię w Paryżu, stworzyłem odpowiednią scenerię dla twojej urody i doskonałości.

Podniosła na niego wzrok, lekko się uśmiechając, a księżę dodał z zapalem:

— Jesteś doskonała — jak żadna inna kobieta. Mówiłem ci już, że nie potrafię wyrazić, ile dla mnie znaczysz.

Lokita poczuła, że te pełne namiętności słowa wywołują w niej dreszcze. Księżę sprowadził ją z tarasu po szerokich schodach do ogrodu. Poruszali się w rytmie muzyki i miała wrażenie, że tańczy w powietrzu wśród pachnących lilii. Pomyślała, że przypominają zaczarowane morze, a ona i księżę też są zaczarowani.

Poszli między oświetlonymi kwiatami i krzewami na koniec ogrodu, gdzie w niewidocznym z domu miejscu stał niewielki biały pawilon. Nie został zbudowany z marmuru, jak mogła się spodziewać, lecz ze specjalnego drogiego kamienia, który wydobywano na Uralu. Był tak niezwykle i piękny, że skojarzył jej się od razu z płatkami gwiaździstej orchidei.

Gdy księżę wprowadził ją do środka, zobaczyła wewnątrz pawilonu duży pokój, który miał tylko trzy ściany, a miejsce czwartej zajmował mrok nocy. Poniżej opadało do morza urwisko, a przed oczami rozpościerał się widok na połączony z niebem horyzont. Nie sposób było określić, gdzie przebiegała dzieląca je granica.

Lokita stała przez chwilę urzeczona tym, co zobaczyła. Potem spostrzegła, że pokój, podobnie jak ten, w którym jedli kolację, ozdobiony jest białymi kwiatami, nie były to jednak orchidee, lecz róże i tuberozy,

uznawane za symbol namiętności. Jedyne umeblowanie stanowiła duża kanapa, obsypana białymi płatkami. Z sufitu opadały co kilka sekund na ziemię jak przesłanie miłości kolejne płatki, delikatne i pachnące. Zapach kwiatów w połączeniu z muzyką, która brzmiała Lokicie w uszach, sprawiał, że czuła się podekscytowana jak nigdy w życiu. Światło, ukryte i przyćmione, dochodziło zza ścian, było jednak wystarczająco silne, by Lokita mogła dostrzec twarz księcia i wyraz jego oczu.

Kiedy odwróciła się, aby na niego spojrzeć, słowa, które chciała wypowiedzieć, zamarły jej na ustach i czuła tylko, że nie wykonując nawet żadnego ruchu zbliżają się do siebie i łączą w jedno.

— Kocham cię! — powiedział chrapliwym głosem książę. — Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cię kocham — i ile dla mnie znaczysz!

— Tak bardzo się... boję, że... śnię — wyszeptała Lokita. — Tylko sen może być taki piękny i ty... mógłbyś w nim być.

— Jestem tutaj! — powiedział książę.

Powoli, jakby starając się okazać dużą delikatność, wyciągnął ramiona i przygarnął ją do siebie. Spojrzał dziewczynie w oczy. Spodziewała się, że ją pocałuje, ale tego nie zrobił.

Zdjął jej za to z głowy diamentowy diadem i welon, rzucając je niedbale na podłogę, między płatki kwiatów. Rozpiął naszyjnik, po czym uniósł ręce i wyjął szpilki z jasnych włosów Lokity, aby opadły jej na ramiona. Poczwała, że wciągnął głęboko powietrze.

— Taką chciałem cię zobaczyć — powiedział. — Takiej cię pragnę i nigdy w życiu nie byłem bardziej przerażony niż wtedy, gdy myślałem, że cię utraciłem.

— Wcale siebie... nie utraciliśmy — rzekła cicho Lokita. — Wzięliśmy ślub... i jestem... jestem twoją żoną.

Powiedziała to niemal ze zdziwieniem, czując obrączkę na palcu, a nie mogąc wciąż uwierzyć, że naprawdę ma nazwisko i tożsamość. Należała do kogoś, kogo kochała i kto nie musiał Się jej wstydzić.

Jakby odgadując jej myśli, książę powiedział:

— Koniec z przeszłością. Zapomnij o niej. Nadchodzący czas przyniesie nam obojgu tak wiele, serce mego serca, moja doskonała miłości. — Dotknął jej włosów. — Muszę ci tyle rzeczy wynagrodzić — oznajmił. — Lata samotności, niepewności, strachu, sekretów, których nie znosi żadna kobieta, a nade wszystko, moja najdroższa, obawy o przyszłość.

— Ale... znalazłam ciebie — powiedziała cicho Lokita — i teraz ty jesteś... moją przyszłością. Mogę zapomnieć o wszystkim, co się kiedyś wydarzyło.

— Pomogę ci zapomnieć — odparł książę. — Będiesz pamiętała tylko o tym, że cię kocham i że należymy do siebie. Że jesteś moja teraz i na wieczność.

Odgarnął dziewczynie włosy z ramion i pochylił głowę. Nie pocałował jej, jak oczekiwała, lecz musnął ustami delikatną skórę. Już wcześniej, gdy dotykał wargami jej palców, odczuwała podniecenie, ale teraz dreszcze

przechodziły ją falami. Doznania te w połączeniu z muzyką i zapachem kwiatów sprawiały, iż miała wrażenie, że nie jest już sobą i poza nim nie istnieje.

Zauważywszy, że dziewczyna drży nie z obawy, lecz z emocji, książę wykrzyknął triumfalnie:

— Jesteś podniecona, mój najdroższy kwiatuszku! Lokita zarumieniła się.

— Kocham cię... — wyszeptała.

Ton jej głosu sprawił, że w oczach księcia rozgorzał płomień. Prysnął czar, pod którego działaniem pozostawali od chwili złożenia przysięgi w kaplicy.

Książę objął Lokitę mocniej, a jego pocałunki stały się zaborcze i namiętne. Była coraz bardziej wzruszona i podniecona, a on całował kolejno jej ramiona, potem szyję, a na końcu usta.

Miała wrażenie, jakby zbliżała się burza, nadciągająca powoli i potężniejąca z każdą sekundą, a gdy wreszcie książę zamknął jej usta pocałunkiem poczuła, że porywają wiatr. Była to potężna, nieodparta siła, Lokitę ogarnęła jednak niewysłowiona, niewyobrażalna wprost ekstaza. Wiedziała, że książę stracił swe żelazne opanowanie, które sprawiało, iż jej dotąd nie tknął. Poczowała też, że ustąpiły wszelkie zahamowania i lęki, a nawet wstyd, który zniewalał ją jak pęta.

To było życie, to była miłość tak wszechmocna i nieodparta, że pozostawało jedynie uznać jej majestat.

Pocałunki księcia stawały się coraz bardziej namiętne, gwałtowne i zaborcze, a jednak wcale nie czuła strachu. Poddała się całkowicie, ofiarowując mu nie tylko swe ciało, ale także serce, duszę i umysł. Nie istniała już jako jednostka. Należała do niego, posłuszna woli księcia i ciesząca się z jego dominacji.

— Kocham cię! Boże w niebiosach, jak ja cię kocham! — wykrzyknął książę.

Lokita poczuła, że rozpina jej sukienkę, a gdy ta opadła na ziemię jak snop księżycowego światła, wziął dziewczynę na ręce. Zaniósł ją na obsypaną płatkami kanapę i ostrożnie tam położył, przyglądając się przez chwilę z góry jej spływającym na nagie ciało jasnym włosom, szeroko otwartym i pełnym czułości oczom oraz wargom, wyczekującym z drżeniem jego ust.

— Kocham cię! — powtórzył książę, nie miała jednak pewności, czy mówił po rosyjsku, po francusku czy po angielsku. Język, którego używali, był językiem bogów, a miłość, wyrażana przez ich usta, serca i ciała, odzwierciedlała tę, którą ludzie i bogowie znali od początku dziejów.

— Jesteś moja! — zawołał książę. — Moja, od czubka twojej jasnej główki po skórę drobnych stóp. Ubóstwiam cię, moja najdroższa! I pragnę cię, jak mężczyzna pragnie należącej do niego kobiety!

— Ja też ciebie... pragnę — chciała odpowiedzieć Lokita, ale uniemożliwiły jej to usta księcia.

Poczuła dotyk jego rąk i coś cudownie podniecającego rozpałiło jak płomień jej wnętrze, harmonizując z żarem ust i każdego oddechu księcia. Wiedziała, że to cząstka ich miłości, równie święta i doskonała jak uczucia, które ją ogarniały, gdy wznosiła ręce do gwiazd. To była miłość, pochłaniająca wszystko, wszystkiego żądna. Miłość, która obalała nie tylko każdą przeszkodę, ale także wszelkie uprzedzenia i ograniczenia.

Usta księcia były natarczywie zaborcze. Lokita miała świadomość, że należy do niego cała, tak jak cudowna, szalona namiętność, którą w nim wzbudziła, stanowiła cząstkę jej samej.

— Kocham cię, moja najdroższa, moja družko, mój kwiecie, moja żono!

Czuła na piersi bicie jego serca i miała wrażenie, że oprócz światła zza ściany rozjaśnia pokój jakiś inny blask. Był to blask miłości, boska jasność, płynąca z ich dusz...

— Kocham cię... Kocham!

— Jesteś moja! Daj mi siebie!

— Jestem twoja... twoja...

— Moj kwiecie, moja gwiazdko, moja duszo!

Potem pozostał już tylko szum morza, opadające powoli z sufitu płatki i gwiazdy, które wyłaniały się jedna po drugiej na wielkim nieboskłonie i odbijały w wodzie.